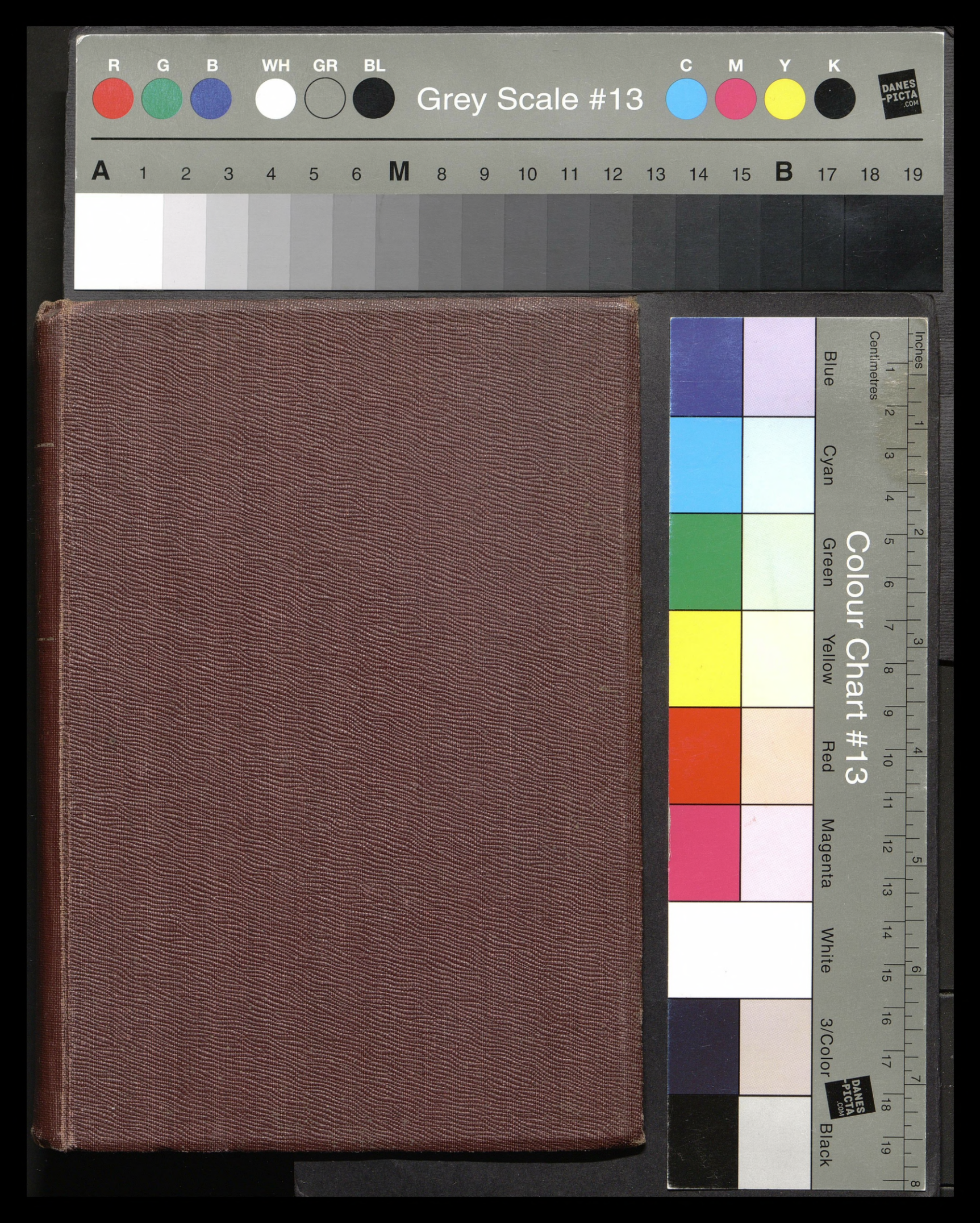

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

PISMA - MOWY - ROZKAZY

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2

JÓZEF PIŁSUDSKI

2067.

PISMA-MOWY-ROZKAZY

WYDANIE ZBIOROWE PRAC
DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM VI

INSTYTUT BADANIA
NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI
WARSZAWA MCMXXXI
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „POLSKA ZJEDNOCZONA"

Biblioteka Uniwersytecka
DUBLET
w Warszawie
Dubl. 6519

Komitet Redakcyjny:
MICHAŁ SOKOLNICKI I JULJAN STACHIEWICZ

Sekretarz Redakcji:
WŁADYSŁAW MALINOWSKI

3241/D
Dublet Biblioteki Narodowej WAP

Biblioteka Wojsk. Inż. Politechn.
16278/1
im. K. Demetrykiewicza

x. 663/57
12x1

WSTĘP DO TOMÓW VI, VII i VIII.

Zabójstwo Prezydenta Narutowicza w dniu 16 grudnia 1922 wytworzyło w Polsce sytuację, wymagającą natychmiastowego opanowania i złamania nastrojów antypaństwowych, które do mordu tego doprowadziły. Pod tym hasłem powstał rząd generała Sikorskiego. Po jego utworzeniu Marszałek Piłsudski objął stanowisko szefa Sztabu Generalnego, poświęcając się w zupełności pracy nad organizacją i wyszkoleniem wojska oraz przygotowaniem obronnem państwa. Praca ta trwała przez pół roku do czerwca 1923. W tym czasie bowiem stronnictwa prawicy (Chrześcijańska Jedność Narodowa) wspólnie ze stronnictwem „Piasta“ zawarły pakt polityczny, na podstawie którego, uzyskawszy słabą większość w sejmie, obaliły rząd Sikorskiego i utworzyły rząd własny z Wincentym Witosem na czele. Piłsudski, uważając te właśnie sfery prawicowe za sprawców mordu Narutowicza, działających w Polsce stale na szkodę państwa, usunął się ostentacyjnie od udziału w życiu publicznem, uzasadniając swoją decyzję w mowie, wypowiedzianej na bankiecie w dniu 3 lipca, którym go żegnali przyjaciele i współpracownicy polityczni.

Zdala od pracy publicznej pozostawał Piłsudski do maja 1926 roku, nie przestając być ani na chwilę postacią centralną, na którą przy wszystkich prze-

mianach, jakie Polska przez ten okres przechodziła, zwracały się oczy całego społeczeństwa. Rząd prawicowo-piastowy w pierwszych odrazu aktach swojej władzy wystąpił przeciw Marszałkowi Piłsudskiemu. Minister spraw wojskowych tego rządu, generał Szeptycki, bez porozumienia się ze Ścisłą Radą Wojenną, na której czele stał Piłsudski i do której sprawy organizacji władz naczelnych z natury rzeczy i prawnie należały, wniósł w dniu 28 maja do sejmu projekt organizacji najwyższych władz wojskowych, zupełnie sprzeczny z dotąd obowiązującym w tej sprawie dekretem, wydanym przez Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa, w dniu 7 stycznia 1921 roku, oraz sprzeczny z opinją Piłsudskiego.

Sprawa ta nie została załatwiona przez sejm przez cały czas rządów Witosa, to znaczy do 14 grudnia 1923 roku, w którym to dniu rząd, po utraceniu większości w sejmie, podał się do dymisji. Rozpoczynały się czasy, w których sprawa powrotu Piłsudskiego do pracy państwowej mogła się stać aktualną; odchodził bowiem rząd, z którym Piłsudski w żadnym wypadku współpracować nie chciał, a który ze swej strony do jego pracy państwowej i do jego osoby odnosił się wrogo. Po nieudanej próbie utworzenia gabinetu przez Stanisława Thugutta, objął rządy gabinet Władysława Grabskiego z generałem Sosnkowskim, jako ministrem spraw wojskowych. Generał Sosnkowski zwrócił się niezwłocznie po objęciu władzy do Marszałka Piłsudskiego z propozycją powrotu do wojska. Piłsudski postawił swoje warunki, których jednakże nie przyjął Prezydent Wojciechowski, uzależnił bowiem ich przyjęcie od załatwienia

sprawy organizacji najwyższych władz wojskowych przez sejm.

W ten sposób uśpiona za czasów rządu Witosa sprawa ustrojowa organizacji władz wojskowych i przygotowania wojska i narodu do wojny wchodziła ponownie na forum dyskusyj sejmowych i publicznych; weźmie w niej udział bardzo żywy Marszałek Piłsudski, zabierając w tej sprawie publiczny głos w licznych artykułach, mowach i wywiadach.

W dniu 17 lutego 1924 roku ustąpił generał Sosnkowski ze stanowiska ministra spraw wojskowych i miejsce jego zajął generał Sikorski. Nowy minister sprawę ustawy o najwyższych władzach wojskowych, podjętą przez generała Sosnkowskiego, poruszył odrazu po objęciu ministerstwa. W dniu 26 lutego wycofał z sejmu leżący tam oddawna projekt generała Szeptyckiego z 28 czerwca 1923 roku i przeprowadził na Radzie Ministrów w dniu 10 marca nowy projekt ustawy we własnem opracowaniu.

Z natury rzeczy sprawa uchwalenia takiej czy innej ustawy o najwyższych władzach wojskowych łączyła się bezpośrednio ze sprawą powrotu Piłsudskiego do służby czynnej. On bowiem jedyny był brany pod uwagę, jako Naczelny Wódz na wypadek wojny, co w czasie pokoju wyrażać się miało w funkcji Generalnego Inspektora wojsk. To też we wszelkich rozważanych wówczas projektach ustawy decydującem stawało się zapytanie, czy Piłsudski uzna za możliwe wziąć odpowiedzialność za pracę na stanowisku przyszłego Wodza Naczelnego w ramach ustawy, która była proponowana.

W jakim stopniu generał Sikorski swój projekt ustawy z Marszałkiem Piłsudskim uzgodnił, nie było z początku wiadomem; dopiero na zjeździe legjonistów w Lublinie w sierpniu 1924 sprawa została postawiona wyraźnie i otwarcie i wywołała enuncjację z jednej strony generała Sikorskiego, z drugiej zaś Marszałka Piłsudskiego, z której wynikało jasno, że Marszałek Piłsudski projektu ustawy generała Sikorskiego nie aprobował, a tem samem na zasadzie tej ustawy do wojska wracać nie ma zamiaru.

Sytuacja jednak przez dłuższy czas nie wyjaśniała się wyraźnie i zdecydowanie. Rząd był w owym czasie zaabsorbowany reformą finansową państwa, z drugiej zaś strony na terenie sejmowym uzyskiwały coraz to wzrastający wpływ poszczególne grupy i partje; premjer rządu wdał się w grę parlamentarną, której podstawą stała się arytmetyka głosów poselskich, a celem rachunku — zdobycie większości tych głosów. W ten sposób koncesjami i ustępstwami zdobywał Władysław Grabski na terenie sejmowym swobodę dla dokonania reformy skarbowej, ale system ten stawał się katastrofalny dla sanacji życia gospodarczego. Ponieważ lewica nie mogła popierać tego systemu rządzenia państwem, premjer szukał oparcia na prawicy, to znaczy w grupie Narodowej Demokracji i jej satelitów, dochodząc wreszcie do tego, że wiosną 1925 r. blokiem rządowym stawała się, podobnie, jak za rządów Witosa, prawica i „Piast".

Przez cały okres tej metamorfozy rządu na stanowisku ministra spraw wojskowych pozostawał generał Sikorski, który w rządzie odgrywał rolę o wiele szerszą, niż mu nakreślał jego resort, a przytem w zmianie orjentacji rządu przechodził wszyst-

kie jej fazy. Przywitany w lutym 1924 burzą ze strony prawicy sejmowej, nazwany przez nią człowiekiem sztandarowym stronnictw lewicy, już teraz na wiosnę 1925 był tej prawicy ścisłym współpracownikiem, nie przestając zresztą wytwarzać pozorów zgody i współpracy z Piłsudskim.

Tej fałszywej atmosferze niedomówień kres położył wreszcie Piłsudski. Na zjeździe legjonistów w Warszawie w sierpniu 1925 roku w gwałtownej mowie wystąpił przeciw metodom autoreklamy, stosowanym przez Sikorskiego na gruncie historji. W kilka dni później opublikował swój list do Sikorskiego z przed półtora roku, z którego jasno wynikało, że cała akcja Sikorskiego w sprawie ustawy o najwyższych władzach wojskowych była prowadzona od samego początku wbrew opinji Piłsudskiego, a więc z wyraźną świadomością odcinania mu w ten sposób możności powrotu do pracy wojskowej, wbrew temu, co na ten temat ze sfer, zbliżonych do ministra spraw wojskowych, stale opinji było sugerowane. W szeregu twardych i mocnych wystąpień publicystycznych piętnował system pracy Sikorskiego, który doprowadzał do rozkładu wojska, system protekcji i poniżania godności armji. I kiedy w listopadzie 1925 roku przychodzi upadek rządu Władysława Grabskiego, a z nim generała Sikorskiego, Piłsudski w świadomości swego prawa do odpowiedzialności za losy państwa staje przed Prezydentem Rzeczypospolitej z ostrzeżeniem przed pominięciem interesów moralnych armji w rozważaniach przy rozwiązywaniu kryzysu. Niepodobna żądać — mówi — aby w państwie naszem wojsko służyło partjom politycznym i ich prywatnym interesom. Niepodobna także sądzić, iżby wojsko, przeznaczone, by być walczącą

reprezentacją narodu w razie konieczności obrony zbrojnej granic państwa, mogło być posłusznem i utrzymanem w honorze służby, gdy ma pracować jako objekt przetargów pomiędzy poszczególnymi ambicjonującymi generałami czy posłami. Sztandary nasze, pokryte chwałą zwycięstw, mogą schylać czoła jedynie przed reprezentantem państwa i przed tymi, co wojskiem dowodzą.

Z przesilenia listopadowego 1925 roku wyszedł rząd Aleksandra Skrzyńskiego z generałem Żeligowskim, jako ministrem spraw wojskowych. W tej dziedzinie głos ostrzegawczy Piłsudskiego odniósł skutek. Poza tem jednak był to rząd o charakterze koalicyjnym, jednak nie koalicji, stworzonej przez stronnictwa dla prowadzenia pozytywnej pracy państwowej, a jako wypadkowa targów i narad partyjnych. Okazało się też niebawem, że w rządzie tym, jak w poprzednim, idą wpływy prawicy, w życiu gospodarczem prowadzące do coraz cięższej sytuacji, w życiu wojskowem zaś paraliżujące usiłowania nowego ministra spraw wojskowych w kierunku postawienia sprawy najwyższych władz wojskowych w myśl postulatów Piłsudskiego. Marszałek Piłsudski był w stałym kontakcie z ministrem spraw wojskowych, generałem Żeligowskim. Wojsko odczuwało rękę ministra, dbałego o jego dobro i o walory moralne. Jednakże sprawa ustawy organizacji władz wojskowych nie postępowała naprzód. Wreszcie w enuncjacji z dnia 8 lutego 1926 roku Marszałek zerwał swoje rozmowy z rządem, dowiedziawszy się o próbie aktywowania tej ustawy z pewnemi odmianami i dodatkami. Postanowił bowiem „nie znosić nadal ubliżającej w stosunku do mnie i wojska gry handlowania między stronnictwami i partjami oraz

prezesem Rady Ministrów". Ten stan rzeczy wynikał z charakteru rządu. Weszło już bowiem wówczas w zwyczaj, że każda decyzja państwowa była wynikiem umów partyjnych, kompromisu interesów nie państwa, lecz stronnictw sejmowych. W tych warunkach upadek gospodarczy państwa postępował ze zdumiewającą szybkością, łamały się podstawy zdrowej pracy dla państwa i jakiegokolwiek planu jego rozwoju. Państwo przestało być kierowane, żyło z dnia na dzień, staczając się coraz silniej w chaos, z którego dzieje narodów znają jedyne możliwe wyjście — przewrót.

To przecięcie beznadziejnej sytuacji państwa w sposób gwałtowny wziął na siebie Józef Piłsudski. Kiedy z początkiem maja 1926 roku rząd koalicyjny Skrzyńskiego upadł, a po władzę sięgnął ponownie Wincenty Witos z prawicą, o którym wiadomo było, że będzie kontynuował dawne metody, dezorganizujące życie państwowe, Marszałek Piłsudski wystąpił przeciwko temu z bronią w ręku i siłą zmienił kierunek życia państwa.

* *
*

Okres życia Józefa Piłsudskiego, w którym on, usunąwszy się od życia publicznego, zamieszkał w Sulejówku, jest najpłodniejszym w jego pracy publicystycznej. Praca ta szła w dwóch kierunkach. Od pierwszego nieomal dnia, kiedy wycofanie się z urzędu umożliwiło mu publiczne mówienie o pracach, przez siebie przeprowadzonych, zaczął on w licznych wykładach i pismach dawać analizę swoich prac i przeżyć, zarówno w Legjonach, jak i na stanowisku Naczelnego Wodza i Na-

czelnika Państwa. „Nie chcę dopuścić, by, gdy oczy zamknę, mego głosu przy tworzeniu mojej postaci brakowało, mego stwierdzenia własnej mojej pracy...“ — mówi w jednym z wykładów historycznych w Wilnie. W roku 1923 mówi we Lwowie o swojej pracy, związanej z obroną Lwowa, w Wilnie daje szczegółową analizę swych przeżyć, jako Naczelnego Wodza, w dobie wyprawy wileńskiej i, jako Naczelnika Państwa, w akcji politycznej, związanej z Wilnem. W roku 1924 pisze największą swą książkę *Rok 1920,* wykłada w Krakowie o swojej pracy w dniach wyzwalania się Polski. Przez cały ten okres w licznych artykułach i wykładach mówi o swojej pracy wojennej w Legjonach, przygotowuje do druku w twierdzy magdeburskiej przed kilku laty pisane *Moje pierwsze boje.* Wraca do studjów swych nad rokiem 1863, dając analizę tego okresu naszych dziejów w kilku wykładach w Warszawie i Wilnie.

Do tej wreszcie dziedziny pracy zaliczyć należy walkę publicystyczną, jaką stoczył w tym czasie Piłsudski o sposoby pracy Biura Historycznego Sztabu Generalnego nad historją ostatniej wojny.

To jedna strona działalności publicystycznej Piłsudskiego w tym okresie czasu. Druga związana jest z wypadkami bieżącemi, których widownią stała się Polska w tych latach. Przez cały ten okres czasu bowiem sprawa powrotu Piłsudskiego do roli czynnej w państwie i wojsku była jednem z najważniejszych zagadnień publicznych. Obozy prawicowe, zwalczające Piłsudskiego przez cały ciąg dziejów odrodzenia Polski, po dojściu do władzy odrazu wytworzyły stosunki, uniemożliwiające Piłsudskiemu pracę w wojsku. Został zniesiony wydany przez niego, jeszcze jako Naczelnika

Państwa, dekret o najwyższych władzach wojskowych. Na jego miejsce, bez porozumienia się z Piłsudskim i bez zapytania go nawet o zdanie, wprowadzał generał Szeptycki projekt nowy, z punktu widzenia interesów państwa niemożliwy do przyjęcia. Następca Szeptyckiego, generał Sikorski, wycofał wprawdzie ten projekt i na jego miejsce wprowadził nowy, który posyłał Piłsudskiemu do opinji; wprowadził go jednak do sejmu pomimo, że Piłsudski wogóle odrzucił dyskusję nad nim, jako źle ułożonym i szkodliwym dla interesów obrony państwa. Ta gra Sikorskiego wspierana była wpływami prawicy sejmowej, w atmosferze przetargów partyjnych, koncesyj i szeptów na terenie sejmu.

Walce o zgodne z interesem państwa postawienie sprawy jego obrony i władz naczelnych poświęcił Piłsudski w tym okresie znaczną część swej pracy publicystycznej. Początkowo w wykładach i pracach teoretycznych starał się wyjaśniać publicznie powagę tego zagadnienia. Później, kiedy osoba jego stała się przedmiotem bezpośrednich targów w łonie rządu i partyj, wystąpił w szeregu listów i wywiadów dziennikarskich w obronie swego stanowiska w sprawie zasad urządzenia najwyższych władz wojskowych, a jednocześnie w obronie własnej godności.

* * *

Obfitą działalność publicystyczną Józefa Piłsudskiego z okresu od początku roku 1923 do maja 1926 obejmują trzy ostatnie tomy *Pism — Mów — Rozkazów*. Wszystkie wystąpienia publicystyczne

zostały tu podane w porządku ściśle chronologicznym. Tom pierwszy, a szósty w ogólnej kolejności wydawnictwa, obejmuje rok 1923 i początek 1924, do marca tego roku, kiedy to Piłsudski zabrał się do pracy nad *Rokiem 1920*. Tom siódmy obejmuje *Rok 1920*, tom ósmy wreszcie — prace, powstałe po napisaniu tego dzieła, aż do maja 1926 roku. Dalsza praca Marszałka, nie należąc jeszcze do historji, nie jest też objęta niniejszem wydawnictwem.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

I

WYWIADY REDAKTORA „KURJERA POLSKIEGO"

(1922/1923)

WYWIAD I.

(31 grudnia 1922).

— *Na wyrażenie nadziei, że w gmachu Sztabu Generalnego, w którym Marszałek obecnie urzęduje, łatwiejsze będzie prowadzenie rozmowy, niż to było w Belwederze, odpowiedział Piłsudski:*

— Przeciwnie, jestem obecnie oficerem w czynnej służbie i tem bardziej muszę być powściągliwy w wyrażaniu opinji o obecnej sytuacji politycznej. Ale mogę mówić o wszystkiem, co się odnosi do epoki, w której byłem Naczelnikiem Państwa, tak, jak i o rzeczach wyłącznie osobistej natury.

— *Pozwoli mi Pan Marszałek rozpocząć od końca i zapytać o jego wrażenia z wczorajszej rozprawy?*

— Owszem. Wrażenia te, wrażenie zwłaszcza zeznania zabójcy, że chciał właściwie zamordować mnie, jest podwójne. Przedewszystkiem uczucie bardzo bolesne, że za mnie zginąć miał kto inny, przyjaciel. Ale poza tem uderza mnie ten fakt aberacji moralnej, polegającej na zrzuceniu z taką łatwością odpowiedzialności personalnej z jednej osoby na drugą. Jeśli ja mam być tak odpowiedzialny, że ktoś uważa za swoje prawo strzelać do mnie, to uważam to za niezgodne z duchem naszej rasy zastrzelić kogoś innego i nie wstydzić się tego, chociaż tamten nie dźwiga na

sobie odpowiedzialności. To jest duch Wschodu. Czy za moje uczynki kto nie zastrzeli mi córki, czy ona ma odpowiadać za ojca?

Ta aberacja należy do szeregu zjawisk, które obserwowałem z pewnem przerażeniem przez cztery lata na stanowisku Naczelnika Państwa, gdzie się wiele widzi i ma się czas nad wielu rzeczami rozmyślać. Dla ludzi tego zwłaszcza zaboru wpływ Wschodu był fatalny. Nie chcę tego Wschodu poniżać, przedstawia on swoją własną kulturę; nie mówię, żeby była od naszej gorsza, ale jest inna. W swej pogoni za absolutem wyklucza indywidualność, zaciera indywidualną odpowiedzialność. Takich stygmatów Wschodu jest u nas mnóstwo. Starałem się bronić społeczeństwo przed niemi. Jako iluzjonista, tęskniąc do normalnego przejawu życia narodowego, jakiem jest państwo polskie, szukałem czynników, danych, które niesie ze sobą rasa polska, w których się czuje dobrze, które potęgują siły jednostki i narodu. Bo cudza dusza — to rzecz niebezpieczna.

Stygmat obcego ducha istnieje we wszystkich trzech zaborach. Dla mnie upokarzająca w sprawie Niewiadomskiego jest ta tajemnica Wschodu w nas.

Co do samego faktu, muszę powiedzieć — żałuję, że Niewiadomski nie napisał do mnie. Byłbym z pewnością przyjechał do Baryczków po tę polską kulę; zgodnie z mojem szczęściem byłaby mnie pewnie ominęła, ale w zbiorze kul, do mnie zmierzonych, byłaby jedyną narodową kulą polską! Śmierć Narutowicza jest w tych warunkach dla mnie tem smutniejsza, że był to przyjaciel, którego nie chciałem narażać nawet na pracę, która go cze-

kała na jego stanowisku, a naraziłem na śmierć niezasłużoną.

Przed wyborami Narutowicz był u mnie z zapytaniem, jakbym się zapatrywał na jego kandydaturę? Odpowiedziałem, że byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdyby ją przyjął. Powód przemilczałem. bo był czysto osobistej natury. Narutowicz był bardzo ciężko chory i już w pracy swej jako minister doszedł do takiego zmęczenia, że nie sypiał po nocach i z trudnością wstępował na schody. Wiedziałem zgóry, że na stanowisku Prezydenta spotkać go muszą rzeczy i zjawiska. do których człowiek europejskiej kultury i przyzwyczajeń dopiero z latami i z trudnością przywyka, jak, naprzykład, łatwość w przechodzeniu do porządku dziennego nad osobistem życiem człowieka, nad jego czcią i honorem. Do tego potrzeba bardziej, niż jego, wytrzymałej konstrukcji nerwowej i dłuższego przyzwyczajenia do powietrza politycznego Polski. Przed samym wyborem Narutowicz raz jeszcze przyszedł do mnie i raz jeszcze powtórzył swoje pytanie, a ja raz jeszcze mu odradziłem. Wówczas zrzekł się kandydatury, jak mi to sam powiedział. Wybrano go więc wbrew jego woli, z tą wschodnią łatwością rozporządzania nazwiskiem, które przecież należy do osoby. i osobą, która przecież należy do siebie.

Po wyborze Narutowicz przybył do mnie i powiedział, że nie widzi możności zrzeczenia się. Wzruszył mnie przytem nieoczekiwanem powiedzeniem, że patrząc na moje położenie, dziwił się spokojowi, z jakim je wytrzymywałem, że zdecydowany jest znosić je krócej, ale nie chce się wstydzić przed sobą samym, by miał się cofnąć, gdy raz już to na niego spadło.

Muszę przytem zauważyć, jak dziecinne są u nas bazy myślenia politycznego. W zwykłych europejskich warunkach wybór prezydenta budzi ogromną ciekawość. Wszyscy pytają i chcą wiedzieć — kto on? — schodząc aż do najdrobniejszych szczegółów jego przeszłości i życia. Ale tam starają się ludzie dowiedzieć prawdy. U nas, odwrotnie. szukają przedewszystkiem kłamstwa. I wierzą w to kłamstwo, i na niem budują swoje budowy polityczne. Rodzinę Narutowiczów znam oddawna. jako starą osiadłą szlachtę z tych samych stron, co i ja, z Kowieńszczyzny. Rodzina bez innych tajemnic. jak te, które znane były wszystkim sąsiadom. znajomkom i krewnym. Tu dowiedziałem się innej prawdy, że Narutowicz, który nosił imię Gabrjel. pochodzić miał z rodziny żydowskiej. Starzy Narutowicze musieli się chyba przewracać w swych grobach familijnych! Ale na tem kłamstwie budowano daleko idące przypuszczenia, a w słabych głowach skutecznie działa metoda kłamstw, plotek i potwarzy...

Narutowicz był znakomitym inżynierem i profesorem, znanym w Europie, jako specjalista konstrukcyj wodnych. Do Polski przyszedł z chęcią oddania swych sił na rzecz, która stamtąd, zdaleka, wydawała mu się tak łatwa, na rzecz budowy państwa polskiego. Znałem go mało. Metody jego pracy w resorcie robót publicznych należały do tych, które nie umiały znaleźć mojej aprobaty, — polegały na wytwarzaniu odrazu rzeczy najlepszych w świecie, na tem dążeniu do wykwitu prawa, techniki, urządzeń państwowych, które naprawdę istnieją tylko w książkach. a w zetknięciu z rzeczywistością, z brakiem środków, niedokładnością w pracy narzędzi ludzkich dają rezul-

taty nikłe. Niezadawalniały one też mojego zmysłu praktycznego i celowego. Byłem więc zdumiony, gdy ten niepraktyczny idealista po powrocie z konferencji w Genui, przy zdawaniu sprawy przez delegację, złożył dowody, że obcując z Europą, jest w swoim żywiole, że ocenia bardzo prosto i jasno zawiłe nieraz tendencje polityczne, ujmuje bardzo trafnie personalną ich stronę i zachowuje przytem to, co u nas jest tak rzadkie, — *une tête froide et un jugement juste des forces et les moyens propres et de celles des autres.* To też, gdy mi zaproponowano jego nominację na ministra spraw zagranicznych, przyjąłem to i poparłem, bo jeśli gdzie, to tu, w ciągu lat czterech, spostrzegłem, że żyjemy w tak niezwykłych fantazjach, w świecie tak dziecinnych iluzyj in plus i in minus, że ten resort należał u nas zawsze do najsłabiej prowadzonych. Był też Narutowicz jedynym dotąd polskim ministrem spraw zagranicznych, który po europejsku pojmował swoje obowiązki także wobec Naczelnika Państwa. Uważał za obowiązek informować go i radzić się w rzeczach, w których czteroletnie moje doświadczenie mogło mu dać większą pewność siebie...

WYWIAD II.

(6 stycznia 1923).

Redaktor naszego pisma zaznaczył, że powszechne zainteresowanie wzbudziła w społeczeństwie naszem teza, którą w pierwszej rozmowie sformułował Pan Marszałek, mianowicie — teza o kłamstwie, jako podstawie myśli politycznej u nas. Zapytał więc Pana Marszałka, czy nie byłby łaskaw zilustrować tę tezę faktami, zaczerpniętemi z bogatego doświadczenia czterolecia, w którem stał na czele państwa polskiego?

— Zgoda. Stawiając tę tezę, nie chciałem twierdzić, że zjawisko to jest u nas powszechne, że cała Polska wytwarza sobie swoje pojęcia polityczne na tej podstawie. Ale jest to zjawisko bardzo rozpowszechnione. I co mnie zawsze najbardziej dziwiło — to, że to, co my nazywamy plotką, żartem czy wymysłem, może mieć u nas tak niezwykłą siłę sugestywną, siłę jednakową w stosunku do warstw wykształconych i niewykształconych, nawet w stosunku do ludzi, którzy powinniby chyba mieć podstawę do sądzenia inaczej, bo są częścią ogólnej naszej maszyny państwowej, naprzykład — członkowie sejmu.

Osobiście, jako Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa, spotykałem się nieustannie z tem zjawiskiem. Rozumiałem, że osoba moja, która wyszła

na powierzchnię naszego życia publicznego, osoba, zanadto może rzucająca się w oczy, a z drugiej strony może niełatwo zrozumiała, musiała wzbudzić w społeczeństwie polskiem wiele pytań. Ale przejawy tego zainteresowania się moją osobą miały tak dziwaczny i śmieszny charakter, że chyba doskonale zilustrują tę ogólną prawdę, iż kłamstwo jest często u nas poważną podstawą politycznego myślenia.

Oto, naprzykład, fakt, który, przyznam się panu. wzbudził we mnie tak wielkie zdziwienie, że przez pewien czas rady sobie z nim dać nie mogłem. Gdy pan prezydent Ponikowski po raz ostatni podał się do dymisji i zainaugurował przez to znany, długi kryzys, na posiedzeniu konwentu senjorów w sejmie jeden z poważnych posłów sejmowych, którego nie mogę podejrzewać o złośliwe intencje, zapytał mnie, czy prawdą jest, że dymisja, dana panu Ponikowskiemu, jest związana z rozkazami mobilizacyjnemi, które już są wydane i mają się za kilka dni ukazać? Sformułowałem sobie wówczas wrażenie bardzo ujemne albo dla siebie, albo dla otoczenia; myślałem, że albo mnie mają za warjata, albo ja jestem w szpitalu warjatów. Samo tego rodzaju przypuszczenie o tak lekkim stosunku do niezwykle ciężkiej pracy mobilizacyjnej. która nigdy nie może łączyć się z wywołaniem kryzysu ministerjalnego, oznaczającego bądź co bądź osłabienie państwa, jest tak dziecinne i tak niezmiernie ubliżające albo mnie, albo instytucji sejmowej, która w ten sposób sądzić może o zadaniach państwowych. że dotąd nie mogę zapomnieć dziwnego wrażenia. które odniosłem wówczas. Dodam, że pan Skulski, którego potem widziałem i któremu komunikowałem ubliżające dla

mnie czy też dla owego pana posła określenie, ostrzegał mnie, żebym tak spokojnie i tak lekko nie traktował tej rzeczy, bo owo zapytanie stanowi poważną część trwóg i niepokojów, ogarniających ludzi, i że właśnie wyjaśnienie tego pytania miałoby wielkie znaczenie dla zmniejszenia niepokoju, który wzbudziło przesilenie. Oto jeden z licznych przykładów — a mógłbym ich przytoczyć o wiele więcej — płytkości ujęcia zagadnień państwowych; sugestywna siła plotki robi z widocznego, zdawałoby się, dla każdego fałszu podstawę myślenia i sądu politycznego.

Co do swojej osoby w przeszłości, mógłbym przykładów takich przytoczyć tuzinami. Chcę panu opowiedzieć najbardziej drastyczne, które mogą posłużyć za naukę rozsądniejszym ludziom w Polsce, a zarazem przyczynić się do wyjaśnienia ostatnich czterech lat naszej historji. Zacznę od dziwnego dla mnie igrania z prawdą historyczną w wypadku historycznego boju pod Warszawą.

Mogę panu otwarcie powiedzieć, że ta bitwa nie zadawalniała mnie nigdy pod względem swej koncepcji strategicznej i konstrukcji organizacyjnej. A to dlatego, że dla mnie, jako Naczelnego Wodza, była raczej położeniem przymusowem, niż swobodnym wyborem między różnemi możliwościami. Już sam rozkład sił, przeznaczonych do boju, naruszał bardzo poważnie zdrowe zasady strategji. Musiałem na obronę dać ogromną większość sił, zostawiając względnie słabe dla decydującego ataku. Gdym koncepcję tej bitwy stwarzał, wypowiadałem otwarcie swe zdanie o tym nonsensie strategicznym Powiedziałem to generałom: Rozwadowskiemu, Weygandowi i Sosnkowskiemu, których zostawiałem w Warszawie. Dodałem, że

atak w tych warunkach jest trudny do zmontowania i że wobec tego, jak zwykle podczas wojny, biorę na siebie rzecz najtrudniejszą, to znaczy dowodzenie atakiem decydującym ze słabemi względnie siłami. Zaznaczyłem też, co mogę teraz otwarcie powiedzieć, że chybionej konstrukcji bitwy poprawiać było niesposób, gdyż poza wojskiem miałem do czynienia z niezwykle nerwowym stanem całego społeczeństwa, koncentrującego resztki swej siły moralnej nie gdzieindziej, jak w obronie stolicy, że zatem, wbrew sensowi strategicznemu, trzeba było dać możliwie silną oporę dla tych resztek sił moralnych w postaci większych, niż trzeba, wojskowych środków obrony.

Dnia 12 sierpnia wyjechałem z Warszawy do Puław. W parę dni potem dowiedziałem się — nie ze zdumieniem, bo byłem już do tego przyzwyczajony, lecz jakby dla stwierdzenia mego poglądu na sugestywność plotki u nas — że opuściłem Warszawę, bo... stchórzyłem. Jak daleko taka plotka sięga i jakie wywołuje efekty, osądzi pan z tego, że już po zwycięstwie prokuratura w któremś z miast wielkopolskich zwróciła się do mnie, jako do Naczelnika Państwa, z zapytaniem, czy ma ścigać z mego upoważnienia paru ludzi, którzy publicznie wyrazili się o tym fakcie, że uciekłem z miljardami, danemi mi prawdopodobnie przez bolszewików!

Jeśli pan chce innych dowodów, to przytoczę je z dwóch naszych miast kresowych, Wilna i Lwowa, które były przedmiotem specjalnych operacyj myślowych w przeciągu bardzo długiego czasu, wytwarzając, o ile wiem — jeszcze dotąd, podstawy do politycznego myślenia i sądu.

Naprzód więc moje kochane Wilno. W roku 1919 popełniłem również błąd strategiczny, nie oczekując na tamtym terenie dostatecznego wyschnięcia dróg na wiosnę. Miałem bowiem przeciw sobie ogromne wzburzenie w łonie ówczesnego Sejmu Ustawodawczego, które dochodziło do tego, że zmarły poseł Skarbek przybiegł do sztabu, grożąc rewolucją w razie, jeśli swoje zdrożne plany w stosunku do Wilna wykonam. Operacje więc wileńskie podjąłem w czasie feryj sejmowych bez względu na inne okoliczności natury czysto technicznej i strategicznej. Zdobyłem wówczas Wilno, i pierwszą rzeczą, z którą się spotkałem po moim powrocie do Warszawy, było nieodparte twierdzenie, że zrobiłem to, ażeby się stać wielkim księciem litewskim. Zamiar, coprawda, wielce ambitny, ale niesłychanie sprzeczny z prawdą i zrozumieniem człowieka, któremu przecież były wówczas, jako Naczelnikowi Państwa i Naczelnemu Wodzowi, powierzone losy państwa.

Przyszły potem z Wilnem nowe próby i nowe dość ciężkie międzynarodowe zawikłania. Stanowiło Wilno przedmiot długich, nieraz zawiłych bardzo i trudnych pertraktacyj, toczonych w różnych stolicach świata, w różnych wielce poważnych instancjach, jak Rada Pięciu, Liga Narodów. Za mną, jako przedstawicielem i wyobrazicielem siły fizycznej państwa, stały fakty tak jaskrawe, jak wzięcie Wilna, jak jego osłona od wszelkich zakusów, skądkolwiekby pochodziły, wreszcie te wszystkie decyzje, które chroniły fizycznie Wilno w epoce Żeligowskiego od jakiejkolwiek próby rozstrzygnięcia tej kwestji bez nas lub przeciw nam. I niech pan sobie przypomni scenę w sejmie, gdy postawiłem w kwestji sejmu wileńskiego spra-

wę terenu, z którego miały się odbyć wybory. Postawiłem ją zgodnie ze zobowiązaniami, któreśmy mieli jako państwo, prowadząc swój spór międzynarodowy o objekt, określony w ten a nie w inny sposób. Nie chciałem zadać kłamu rocznej już pracy paru rządów państwa, pracy, w takim właśnie prowadzonej kierunku. Nigdy nie zapomnę wrażenia, gdy dowiedziałem się, że takie moje stawianie kwestji jest jakoby wypływem nie tego, co twierdziłem, lecz pochodzi z całkiem innych pobudek i motywów, począwszy od gwałtownego pożądania federatywnych stosunków w młodem państwie polskiem, a kończąc na bardzo poziomych pobudkach, którym dali wyraz liczni posłowie, rzucający przy wychodzeniu z sali sejmowej po głosowaniu pod moim adresem słowa tak piękne, jak: sprzedawczyk i targowiczanin! Ta chęć doszukiwania się zawsze pobudek niskich, brudzących istotę moralną, jest rzeczą, nad którą myślałem, szukając jej przyczyn. Różne nasuwały mi się hipotezy, wreszcie przyszło mi na myśl, że prawdopodobnie jest to proces myślowy, zgodny z przysłowiem rosyjskiem: *wsiakij mierit swoim arszinom...*

— *Pan Marszałek obok Wilna wymienił także Lwów.*

— Tak. Niech pan sobie zestawi dwie rzeczy z naszej historji, które, zdawałoby się, są tak rzucające się w oczy i tak jaskrawe, że w żadnem społeczeństwie na świecie nie mogłoby być pod tym względem dwóch zdań. U nas było akurat przeciwnie. Więc — z jednej strony niewątpliwy wysiłek dla obrony Lwowa, prowadzony z niesłychanie małemi środkami. Gdy sobie przypomnę to mnóstwo wówczas formacyj ochotniczych, w których ogromną część stanowili peowiacy, tych żołnierzy, którzy

napół boso i napół nago wytrzymywali zimę w obronie miasta; gdy sobie przypomnę niesłychanie ciężkie kłopoty, które spadły na mnie i moich pomocników w postaci rozstrzygnięć co do zaopatrzenia, amunicji — tej brak był taki, że liczyło się ją na godziny, a nie na dnie — w związku z bardzo trudnemi problematami organizacyjnemi w stosunku do całego wojska, któremu brakowało wszystkiego, a które jednak staczało boje w obronie zagrożonej dzielnicy i granic, dając krew, a nieraz, zbyt często, zdrowie swe na ofiarę — i gdy zestawię ten fakt z istnieniem poza granicami państwa w tym czasie nierozporządzalnej dla mnie wielkiej ilości żołnierzy polskich, ubranych i wyekwipowanych do ostatniego sznurka, uzbrojonych w porównaniu z nami z luksusem, mających możność techniczną zrobienia tej naszej walki skuteczną i pewną, — to trzeba naprawdę przypisać istnieniu bardzo głębokiej aberacji moralnej i brakowi wstydu moralnego, by robić winnymi tych, co z takim wysiłkiem i takiem przeciążeniem sił i zdrowia skutecznie obronę przeprowadzili, a bohaterami obrony tych, którzy z własnej czy nie z własnej winy trzymali środki tej obrony w niemożności ich użycia, znając zarazem szczupłość środków w rozporządzeniu istotnej, prawdziwej obrony miasta i dzielnicy. A jednak pamięta pan, jak w ciągu roku 1918 osią pojęć politycznych i wyobrażeń nie gawiedzi, lecz bardzo odpowiedzialnych czynników w państwie było nie co innego, jak ten misterny w swej konstrukcji absurd logiczny i ta w wartości swej głęboko niemoralna myśl polityczna. Głęboko niemoralna, bo jest w tem chęć zatarcia poczucia odpowiedzialności, bez któ-

rego żadna budowa państwa trwałych rezultatów dać nie może.

Opowiedziałem panu tylko trzy fakta. Fakta, tyczące się mnie osobiście. Przekonany jestem, że każdy, biorący u nas udział w pracy publicznej, mógłby przytoczyć takich przykładów tysiące. Wszystkie one dają wyraz temu, co mówiłem na początku, — łatwości przyjęcia kłamstwa jako podstawy politycznej myśli i politycznych sądów o ludziach i faktach, łatwości stwarzania sytuacji, przy której rzeczowa rozprawa jest bardzo trudna. Na tej podstawie spotykać nas musi pewna z zewnątrz brutalność określeń, jako jedyny sposób wyrażenia chęci i prób pracy...

II

SPRAWA OBRONY PAŃSTWA

(1923)

O obronie granic państwa nie chcę mówić aforyzmami, a omawiać zagadnienia te głębiej jest u nas nadzwyczaj trudno z powodu bardzo pod tym względem niskiego *niveau* pojęć naszego ogółu. O sprawach strategicznych, sprawach obrony, wojska, wojny ogół nasz nie nauczył się jeszcze myśleć, ani nawet słuchać.

Ci, którzy nad sprawami strategicznemi pracują, nie wytworzyli jeszcze nowych pojęć, bo i samo państwo nasze — tak samo zresztą, jak i inne państwa w swych granicach powojennych— nie jest jeszcze strategicznie scałkowane.

Baza istnienia wojska z przed roku 1914 zanika. Trzeba dziś szukać nowych dróg. Przed wojną główną wytyczną był pościg za liczbą, za masą; dziś dalszy wysiłek w tym przedewszystkiem kierunku jest trudny, ze względu na niesłychaną kosztowność dzisiejszego, powojennego wojska.

Pracuję już trzeci rok nad stworzeniem baz myślenia o obronie tego nowego tworu strategicznego, jakim jest Polska, która pod względem strategicznym jest zlepkiem dawnych pogranicznych obszarów państw zaborczych, obszarów, urządzanych przez szereg lat w ten sposób, by były terenem walk przeciw sobie.

Sytuacja strategiczna nasza jest, zgrubsza biorąc, podobna, jak sytuacja Niemiec w ubiegłej epoce. Tak samo posiadamy dwa fronty do obro-

ny. Ale nie posiadamy w całej machinie państwowej tej sprężystości, która pozwalała Niemcom wytrzymać tak długo i która umożliwia wygrywanie na tak zwanych wewnętrznych linjach strategicznych. Nie posiadamy tej sprężystości ani w rozbudowanej gęsto i celowo sieci komunikacyjnej, ani w administracji, ani w urządzeniach, specjalnie wojskowych, jak magazyny, umocnienia i tym podobne.

Dla uzmysłowienia tych trudności, tej niespójności strategicznej naszego państwa, które otrzymaliśmy w spadku po zaborcach, dość wskazać na fakty, najłatwiejsze do spostrzeżenia dla każdego. Ile mamy przepraw kolejowych przez Wisłę? Wszakżeż jest ona tak wyzyskana, że niczego nie łączy, a wszędzie jest przeszkodą strategiczną. A jak się przedstawia u nas stosunek rozwoju dróg komunikacyjnych do gęstości zaludnienia? Wbrew oczywistej potrzebie stosunek ten prawie wszędzie jest odwrotny — im gęstsze zaludnienie, tem rzadsza sieć komunikacyjna. Rzadziej zaludnione Poznańskie ma sieć rozwiniętą, gęściej zaludnione Dowództwo Okręgu Korpusu Łódź lub Przemyśl mają sieć nadzwyczaj rzadką, bo obejmują dawne pogranicza, gdzie zaborca kolei i dróg celowo nie budował.

Oto skąd biorą się te ogromne trudności technicznego myślenia i planowania strategicznego w Polsce, trudności, z któremi trzeba sobie dawać radę, by pokonać zasadniczą trudność zadania, polegającą na tym fakcie, że mamy ogromnie rozwinięte granice, a w stosunku do nich mało wojska.

Przy tem wszystkiem — jak mówiłem — mamy do czynienia w społeczeństwie naszem z tak niskiem *niveau* myślenia o rzeczach wojska i obrony, że mówiąc o owych trudnych zagadnieniach, mówi się, jak w próżnię, — tak trudne zadania stawiając, nie znajduje się odzewu. Jest to jeszcze jedna dziedzina, w której triumfy święci u nas specjalnego rodzaju analfabetyzm.

W czasie wojny nieraz się przekonałem, że ludność nasza, gdy myśli o wojsku, to czyni to jak człowiek, któryby, przystępując do rozwiązywania jakiegoś zadania arytmetycznego, nie wiedział, czy mu wypadnie zero, czy miljony — i któryby nie dostrzegał różnicy pomiędzy wynikiem jednym, a drugim. Inteligencja nasza jest pod tym względem jeszcze gorzej dysponowana, bo posługuje się pewnemi słowami bez należytego ich zrozumienia, a skutkiem tego zamiast rozjaśniać — zaciemnia sobie jeszcze bardziej istotę rzeczy. Mówiąc żartem — z naszym ogółem można na temat wojska i wojny flirtować; flirt ten bywa wesoły, lub — jak dla mnie — przeważnie przykry; porozumiewać się poważnie — jeszcze nie można.

Jest to rzecz zupełnie zrozumiała. W psychice i moralności społeczeństwa naszego niewola polityczna poczyniła takie same spustoszenia, jak w strategicznem urządzeniu kraju. Stąd płynie to nasze niezrozumienie istoty wojska i wojny, ten analfabetyzm i to niewyrobienie naszego społeczeństwa pod względem moralnym w dziedzinie wszelkich zjawisk, związanych z wojną.

Dlatego za najważniejszą rzecz uważam, żeby wszelkiemi sposobami w społeczeństwie wyrobić odporność na panikę i nieuleganie plotkom.

Obie te wady wynikają u nas na tle owego analfabetyzmu wojennego, a jak wpływają na wojsko, o tem w czasie wojny mieliśmy się sposobność przekonać. Panika w czasie wojny, gdy się dostaje do wojska, jest najgorszą demoralizacją, a nieprzyjaciel z niej korzysta, rozmyślnie rozpuszczając odpowiednie wieści, — jak to czynił w roku 1920. Te nastroje u nas są elementem tak dalece groźnym, że chcąc brać je na przyszłość w rachubę, muszę w czasie gier wojennych dawać dowódcom specjalne zadania, jak mają opanowywać panikę.

Dla obrony granic państwa społeczeństwo winno dać przedewszystkiem to, co w języku wojennym nazywa się *morale*. Naród, który owej *morale* nie ma dość mocno wyrobionej, ma w każdej wojnie zgóry olbrzymie szanse przegranej.

Niewątpliwie jesteśmy pod tym względem na dobrej drodze. Mam nadzieję, że powszechna służba wojskowa oraz jak najszersze rozpowszechnienie w społeczeństwie elementarnych wiadomości i umiejętności wojskowych będą działały dodatnio na tę stronę naszej psychiki. Ustąpi stopniowo ów nasz analfabetyzm w rzeczach wojennych, zaniknie płynąca zeń podatność na plotki i na panikę.

W sprawie ustawodawstwa i ogólnej administracji państwowej, nie dotykając wcale szczegółów, uważam, że najważniejszem i najpilniejszem zadaniem jest wprowadzenie jednolitości. Istnienie odrębnych w każdej byłej dzielnicy ustaw, przepisów i zwyczajów — w różnych dziedzinach życia państwowego, nietylko w ściśle wojskowych — jest tem, co hamuje pracę woj-

skową nad przygotowaniem obrony państwa. W czasie wojny — żeby przytoczyć charakterystyczny szczegół — temi punktami, w których systematycznie tworzyły się zatory wszelkich transportów wojennych, były dawne stacje graniczne. Działał tu czynnik psychiczny. Poprostu służba kolejowa dawnych dzielnic, choć przecież mówiła po polsku, nie mogła się porozumieć. Dziś oczywiście tak źle już nie jest. Istnieje jednak jeszcze wiele różnic, działających może nie tak bezpośrednio, ale równie dezorganizująco.

Wogóle postęp w ciągu tych trzech lat uczyniliśmy olbrzymi, tak w dziedzinach technicznych, jak zwłaszcza w wyszkoleniu. Ale do przepracowania pozostaje jeszcze niezmiernie wiele — szczególnie w tych dziedzinach, które wchodzą w zakres *morale* wojennej, a więc należą przedewszystkiem do społeczeństwa.

III

PRZEMÓWIENIE DO MARSZAŁKA FOCHA

(4 maja 1923)

Panie marszałku! Kapituła naszego orderu „Virtuti Militari", której mam zaszczyt przewodniczyć, jako były Wódz Naczelny w czasie naszej ostatniej wojny, postanowiła jednomyślnie mianować ciebie kawalerem „Virtuti Militari" pierwszej klasy. Uchwałę tę potwierdził dekret Prezydenta Rzeczypospolitej.

Według statutu, którego brzmienie w ostatecznej formie obecnie ustalamy, krzyżem tej klasy odznacza się wodzów naczelnych, którzy wygrali wojnę. Wojnę — nie jedną bitwę.

Wezwano ciebie, panie marszałku, do odegrania rozstrzygającej roli, w chwili krytycznej dla wojsk, na czele których stanąłeś dla prowadzenia do zwycięstwa armij, złożonych z kilku państw, rozlicznych narodów, miljonów walczących, olbrzymiej ilości armat i wszelkiego rodzaju sprzętu wojennego; nie szukano wówczas posiłku ilościowego — ale szukano człowieka.

W chwili ciężkiej, gdy zwątpienie przejmowało ludzi i serca słabły, znaleziono ciebie, by zmienić słabość w siłę, zastąpić rozpacz — nadzieją, a wątpliwość — decyzją.

Panie marszałku, ty — także jesteś człowiekiem, ty także mogłeś mieć chwile słabości, godziny wahania — i oto w olbrzymim wysiłku, przezwyciężywszy siebie samego, udało ci się przywrócić funkcjonowanie porządku „z miarą i wagą".

Udało ci się usunąć zgiełk namiętności. Zanim świat ujrzał zwycięstwo, wypisane na karcie Europy bagnetami twoich żołnierzy, jużeś był je odniósł w twej duszy i mózgu.

Panie marszałku, w dziejach ludzkości niema wydarzeń wojennych w takim rozmiarze, jak te, któremi kierowałeś.

Przyjmij tedy, panie marszałku, ode mnie i Kapituły Orderu wyraz naszej głębokiej czci, do której dołącza się wielka radość, że od dziś dnia, ozdobiony naszym najwyższym orderem wojskowym, wstępujesz w grono rodzinne walecznych mężów Polski i to nietylko jako wielki wódz, którego imię chwalebne należy do historji, ale także jako nasz wielki przyjaciel.

IV

POŻEGNANIE W SZTABIE GENERALNYM

(13 czerwca 1923)

Panowie! Odchodząc ze służby, którą pełniłem razem z wami, z powodów, niezależnych od pracy w Sztabie Generalnym, dziękuję panom za współpracę i zapewniam was, że zawsze wspominać będę ją z wielką przyjemnością i pewnem wzruszeniem, gdyż znalazłem w was lojalnych, często oddanych współpracowników, tem uczuciem koleżeńskiem, o którem pan generał w przemowie wspomniał. Odchodząc, daję panom ostatnie swoje zlecenie. Jest niem honor służby, to najsilniejsze i często najcięższe dla żołnierza uczucie.

Honor służby staje nieraz w sprzeczności z honorem osobistym. Ale, moi panowie, honor służby jest jak sztandar żołnierza, z którym żołnierz rozstaje się wraz z życiem. To uczucie było zawsze moim przewodnikiem w pracy w wojsku, którego budowie poświęciłem wiele lat swego życia. Bez honoru służba wojskowa zawsze jest bez duszy i traci siły.

Dowidzenia, panowie. Życzę wam powodzenia w dalszej pracy...

V

PRZEMÓWIENIE DO KRÓLA RUMUŃSKIEGO FERDYNANDA I

(25 czerwca 1923).

Kapituła naszego orderu „Virtuti Militari“ poleciła mi w charakterze swego przewodniczącego przedłożyć Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej te motywy, któremi kierowała się Kapituła, wręczając Waszej Królewskiej Mości order „Virtuti Militari“ pierwszej klasy. Klasa ta przeznaczona jest przedewszystkiem dla tych wodzów naczelnych, którzy, wygrywając wojnę, okryli swą armję sławą i ocalili państwo przed wszystkiemi nieszczęśliwemi skutkami przegranej wojny.

Wasza Królewska Mość uczyniłeś to podczas ostatniej wojny dla swojej armji i dla swego państwa. Oceniając czyn wojskowy Waszej Królewskiej Mości, Kapituła poleciła mi skierować uwagę Pana Prezydenta Rzeczypospolitej nietylko na epizody pełne chwały, jak bitwa pod Maracesci, ale przedewszystkiem na tę siłę moralną, którą Wasza Królewska Mość wykazała w najcięższym okresie wojny.

Armja rumuńska miała przed sobą nietylko wielkie trudności na froncie, ale znajdowała się również w centrum rozkładu armji sprzymierzonej. Wielu z pośród członków Kapituły osobiście obserwowało i przeżyło tę sytuację. W całkowitem uznaniu dla wysiłku moralnego, którego w tym wypadku należało wymagać od wodza, Kapituła ocenia nietylko wagę wypadków, ale i zwycięstwo, uzyskane przez Waszą Królewską Mość, jako naczelnego wodza armji rumuńskiej, dzięki któremu

Wasza Królewska Mość umiała zachować w tych okolicznościach w swej armji te najwyższe cnoty wojskowe, które wypisane są w haśle: Honor i Ojczyzna. Oddalony od wszelkiej pomocy, wobec wroga silnego i zwycięskiego, wśród dzikiego piekła, gdzie żołnierz zatracił wszelkie poczucie obowiązku, Wasza Królewska Mość pozostał mimo wszystko na miejscu, poto, by wykorzystać pierwszą słabość wroga, czego wynikiem jest, że jego państwo i jego armja zbierają owoce zwycięskiej wojny.

Opierając się na tych głębokich przyczynach, Kapituła naszego orderu „Virtuti Militari" postanowiła prosić Pana Prezydenta Rzeczypospolitej o nadanie Jego Królewskiej Mości, Królowi Rumunji, Ferdynandowi I, krzyża orderu „Virtuti Militari" pierwszej klasy.

VI

PRZEMÓWIENIE NA BANKIECIE W HOTELU „BRISTOL"

(3 lipca 1923)

Szanowni panowie!

W przemówieniach, które słyszałem, brzmiały nuty, których nie chcę poruszać, nuty tej natury, od której się już odzwyczaiłem. W przeciągu pięciu lat prawie pędziłem czas na pracy, przy której swobodny nigdy nie byłem, swobodny być nie mogłem, gdyż urząd, który w Polsce pełniłem, nakładał mi zawsze na usta pieczęć milczenia. Byłem bowiem reprezentantem, a źle spełnia reprezentant swoją rolę, gdy tylko pamięta o sobie, a nie pamięta o innych, nie pamięta o tych, których reprezentować jest obowiązany. Dzięki temu musiałem żyć w otoczeniu najrozmaitszych potwornych baśni, najrozmaitszych legend, najrozmaitszych śmiesznych nieraz opowiadań, które mnie się tyczyły, które ze mnie wyrastały, a tak dalekie były od tego rzeczywistego skromnego człowieka, który tu przed wami stoi. I jeśli dziś, w dniu, w którym, jak sobie mówię, staję się obywatelem wolnego i łatwego dla siebie powietrza, to w tej chwili chcę serdecznie podziękować inicjatorom dzisiejszego bankietu, że w tej pierwszej, dziewiczej, że tak powiem, swobodnej mowie, mogę swobodnie niektóre zdania powiedzieć, które przedtemby wyglądały, jak zdania nieodpowiednie w ustach człowieka, pełniącego urząd reprezentacyjny.

Szanowni panowie! Pomimo woli biegnie się do przeszłości, mając w swem wspomnieniu pięć lat życia, pięć lat życia, przebytego w takim wirze wypadków, w takim chaosie zdarzeń, w takim przewrocie dotychczasowych ludzi i rzeczy, w takiem dziwnem życiu! Szuka się w „zamierzchłej" przeszłości początków tego okresu, okresu, gdy Polska powstawać zaczęła. I wobec tego, że to jest tak znacznie oddalone, że można mówić o rzeczach prawie jak o historji i że jestem człowiekiem, który historję lubi, który nad historją się zastanawiał i który w niej nieraz szukał rozwiązania zagadnień teraźniejszości i wskazówek dla przyszłości, więc w tej pierwszej mojej mowie zatrzymam się na tych pięciu latach, jak na historji. A że historja tak jakoś zdziałała, że w przyszłym skorowidzu historyka, który o tych latach pisać będzie, imię moje będzie powtarzane i cały szereg cyfr i cyferek oznaczać będzie stronice, na których imię moje jest wspomniane, przypuszczam, że mogę zaspokoić swój egoizm, zupełnie naturalny, i o sobie z okresu tych pięciu lat parę słów powiedzieć.

Moi panowie! W listopadzie 1918 roku stał się wypadek bynajmniej nie historyczny, ale taki sobie zwykły. Mianowicie — z dworca wiedeńskiego, jak się to zawsze ze wszystkimi teraz dzieje, przeszedł przez ulicę Marszałkowską i tak dalej na ulicę Moniuszki człowiek, którego będziemy nazywali Józefem Piłsudskim. Szedł w tym mundurze, w jakim obecnie mnie panowie widzicie. Wracał, coprawda, z niezupełnie zwykłej podróży, wracał z Magdeburga. Wracali też w tym czasie z tych czy innych obozów dla internowanych

i inni. I w tem też nic niema niezwykłego, w tem też nic niema historycznego. Historja zaczyna się później, historja niezwykła, nad którą nieraz się zastanawiałem w ciągu tych pięciu lat i szukałem odpowiedzi na pytania, które, przypuszczam, przyszłych historyków będą męczyły jeszcze bardziej wobec tego, że nie będą mieli naocznych świadków tych zdarzeń. Stała się rzecz niesłychana. Mianowicie — w przeciągu kilku dni, bez żadnych ze strony tego człowieka starań, bez żadnego z jego strony gwałtu, bez żadnego podkupu, bez żadnych koncesyj, czy to leśnych, czy jakichkolwiek innych, bez żadnych wogóle i jakichkolwiek „legalnych", że tak powiem, rzeczy, stał się fakt najzupełniej niezwykły. Człowiek ten stał się dyktatorem. Wtedy, kiedy się przygotowywałem do dzisiejszego przemówienia, zastanawiałem się nad tem określeniem: „dyktator". Nie chcę użyć jakiegoś wyszukanego słowa, nie chcę szukać dla siebie jakiejś specjalnej nazwy, szukam tylko, jako historyk, określenia zjawiska, którego inaczej nazwać nie można. Bo człowiek ten wydawał edykty, powszechnie słuchane, człowiek ten wydawał rozkazy, słuchane biernie z chęcią czy z niechęcią, ale które były wykonywane, człowiek ten mianował urzędników wojskowych i cywilnych. Czy on robił źle czy dobrze, ja w tej chwili tego nie dotykam, idzie mi o sam fakt, o fakt ścisły, o fakt historyczny. Inaczej tego określić nie mogę, jak tylko mianem dyktatora. Bo wszystko wtedy zależało od jego dobrej woli, od jego decyzji, od jego złej czy dobrej kalkulacji. Biernie czy czynnie, chętnie czy niechętnie, miljony mu ulegały, miljony jego jednego wyniosły w górę,

miljony ludzi zdobyły się na akt dziwaczny, na akt, niezrozumiały dla zwykłej analizy, aby tak niezwykłą władzę dać temu człowiekowi bez żadnych z jego strony gwałtów lub narzucania. Dziś, gdy tyle jest praw i prawidełek, gdy tyle jest ograniczeń i zakazów, gdy panowie posłowie tak produkcyjnie pracują — rzecz ta wygląda tak niezwykle, że godna jest zatrzymania uwagi. Jestem przekonany, że i przyszły historyk nad tem właśnie będzie musiał się zatrzymać. Dlaczego, poco i naco i z jakiej racji? Dlaczego ten, a nie inny? Skąd i co za przyczyna? Skąd to dziwne zjawisko, które nagle w Polsce zaistniało?

Moi panowie! Analizując potrosze to zjawisko, nie sięgając głębiej, biorąc rzecz po ludzku, biorąc rzecz tak zwykle, jak się szklankę wody wypija, jak się myśli, jak się decyduje, nie mogę nie powiedzieć, że gdyby ten osobnik nie był nikomu absolutnie znany, gdyby nagle ni stąd, ni zowąd był wziętym, to ten fakt nie byłby możliwy. Czemu należy to, moi panowie, przypisać, gdzie szukać tej przyczyny, że temu człowiekowi, znanemu potem w skorowidzu historycznym, jako Józef Piłsudski, oddano tę władzę? Dlaczego jemu w sposób, tak sprzeczny z rozumem, rozsądkiem, logiką teraźniejszą władzę oddano? Skąd ten dyktator Polski, nie narzucający swojej władzy żadnym gwałtem, żadną pracą agitacyjną, nie robiący sobie popularności zapomocą takich czy innych wystąpień? Skąd to zjawisko? I gdy szukałem dla siebie wyjaśnienia, zawsze znajdowałem tylko jedno — nie w tych obrazach, które mi przyjemność sprawiały osobiście, a któremi mój przyjaciel, doktór Michałowicz, wywo-

łał, lecz w czemś innem. Za jedną rzecz ten człowiek był witany, za jedną rzecz niezwykłość jego mogła być uznaną, za jedną rzecz, powtarzam, mógł on mieć prawo moralne do zajęcia tego stanowiska, zato, moi panowie, że nosił ten mundur, zato, że był Komendantem I Brygady. Jedyną wartością, którą ludzie wówczas mieli, jedyną moralną siłą, która ludzi do posłuszeństwa zmuszała, jedyną moralną siłą, która miljony ludzi w ręce mu oddawała, był fakt, że był on Komendantem I Brygady i wracał z Magdeburga.

Szanowni panowie! Jeśli użyję tu wyrażenia — dyktator, to dlatego, że przypuszczam, że nawet niektóre z jego edyktów i dekretów jeszcze teraz działają, jeszcze teraz moc prawną mają, jeszcze teraz są ludzie, którzy muszą ulegać edyktom, przez niego wydanym i podpisanym jego nazwiskiem. Bardzo mnie to cieszy. I mógł on tworzyć złe czy dobre rządy, wyznaczać oficerów, urzędników, przerzucać ich z miejsca na miejsce, pewnych ludzi na śmierć posyłać, dawać rozporządzenia mądre lub nie — to jest obojętnem, faktem jest, że był władcą absolutnym nowotworzącego się państwa polskiego. Faktem też jest, że dzięki temu nieprzymuszonemu zjawisku, dokonanemu bez żadnego gwałtu i bez żadnego przewrotu, imię tego człowieka zostało wysunięte w górę. Nowa Polska dała słusznie czy niesłusznie przy swoim pierwszym kroku symbol swój w postaci człowieka, ubranego w szary, dość obszarpany mundur, zaplamiony w więzieniu magdeburskiem.

Moi panowie! Pozwólcie, iż nad tym faktem, dość ważnym, uwagę waszą zatrzymam. Jest on faktem ścisłym, jest on faktem historycznym i po-

mimo, iż należy do bardzo zamierzchłej przeszłości, to jednak oczy wasze ten fakt widziały, jednak świadkami jego byliście i bez względu na to, jak tam w tej czy innej redakcji, w tym czy innym gabinecie, w tej czy innej rozmowie do tego faktu odnoszono się, to jednak fakt był faktem. Zastanawiałem się trochę nad nim, jako nad zjawiskiem moralnem. Znając historję dyktatur wszelkiego rodzaju i z operetki, i nie z operetki, z dramatu i tragedji całej ludzkości, zastanawiałem się nad tem, jak się dyktatury tworzyły. Zwykłe drogi są tu dwie — jedna gwałtu i narzucenia swojej woli dzy — te wypadki w historii narodów są częste: druga — swobodnego wyboru, wyboru ludzi, którzy w chwili ciężkiej, gdy najbardziej potrzeba woli indywidualnej, gdy umysły są zatrwożone, szukają jednego człowieka, żeby jemu los swój w ręce oddać. Tu nie było ani jednego, ani drugiego wypadku. Nie było ani wyboru, nie było też gwałtu. Stał się fakt całkowicie inny, fakt moralnej pracy narodu, znajdującego się, coprawda, w wyjątkowej sytuacji i położeniu.

Moi panowie! Ten fakt moralnej pracy, której dokonał w tym czasie naród, nie jest moją historją, jest historją wszystkich tych miljonów ludzi, którzy wtedy tego dyktatora słuchali, którzy nawet z minami czy grymasem niechętnym jemu się poddawali. Faktem jest, że tak było. Ta moralna praca, której dokonał wtedy wielomiljonowy naród, jest faktem niezwykłym. Był on jakgdyby zaprzeczeniem tej smutnej dalekiej tradycji i tej smutnej sławy, którą naród nasz miał w przeszłości. Polska, sami Polacy to twierdzili,

nierządem stoi. Polska to jest prywata, Polska to jest zła wola, Polska to jest anarchja. I jeśliśmy po upadku mieli sympatję dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie. Nie zaufanie, a niepewność wzbudzaliśmy i stąd chęć narzucania nam opiekunów, wyznaczonych dla narodu anarchji, niemocy, samowoli. dla narodu który się do upadku doprowadził prywatą, nieznoszącą żadnej władzy. I w tym narodzie powstał fakt tak niezwykły i tak dla niego oryginalny.

Moi panowie! Dumny jestem z tego faktu, dumny jestem nietylko dlatego, że mnie ten zaszczyt spotkał, ale dumny byłem również ze swego narodu. Nie idzie mi, raz jeszcze powtarzam, o moją wartość lub o moją bezwartość, nie idzie mi o ocenę krytyczną tej czy innej mojej pracy, o wskazanie tego lub innego błędu lub tej czy innej cnoty Idzie o sam fakt historyczny, który swoją nowością w Polsce i swoją niezwykłością metody zastanawiać będzie musiał każdego historyka.

Przyjmując za podstawę tego faktu moją poprzednią pracę w I Brygadzie, dumny jestem z tej mojej pracy.

Szanowni panowie! Dyktatorem byłem kilka miesięcy. Decyzją moją głupią czy rozumną, to jest wszystko jedno, postanowiłem zwołanie sejmu, oddanie władzy mojej w jego ręce i stworzenie legalnej formy życia państwa polskiego. Była to moja decyzja. Decyzja ta została usłuchana. Panowie posłowie, którzy potem nieraz przeciw mnie występowali, zostali wybrani na mój rozkaz, tego rozkazu usłuchali, wybór przyjęli, na określony przeze mnie termin do

Warszawy się stawili wyborcy w odpowiedniem miejscu, również przeze mnie wyznaczonem, zebrali się i głosy swe oddali; urzędnicy, wyznaczeni przeze mnie, oceniali sprawność wyborów. Wybory były nieprzymuszone, nie szukałem w nich, jak i poprzednio, mojej osoby.

Sejm się zebrał 8 lutego. Otworzyłem go, moi panowie, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, przemówiłem do sejmu w tym samym mundurze, przy boku miałem szablę, ofiarowaną mi przez oficerów I Brygady, nie byłem niczem innem, jak tem, czem byłem poprzednio.

W parę tygodni potem stał się nowy fakt historyczny, nowy akt wybrania mnie jednogłośnie w sejmie na Naczelnika Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza wojsk, znajdujących się w tym czasie w Polsce. Ten fakt również wzbudził we mnie zastanowienie. Z jednych zaszczytów szedłem do drugich.

Po kilku miesiącach najśmielsze marzenia któregokolwiek Polaka w niewoli ziściły się we mnie. Gdyby ktokolwiek miał najśmielszą ambicję, gdyby ktokolwiek chciał władzy, gdyby ktokolwiek per fas et nefas szukać jej chciał w Polsce, to ziszczeniem tych marzeń byłoby to stanowisko, które mi wówczas dano, wbrew mojej woli i chęci, bo ja tego nie szukałem, ja się nawet targowałem, gdyż życzyłem sobie czego innego i szukałem czego innego. Szukałem wojska i szukałem dla siebie łatwego powietrza i łatwej pracy wojskowej. Dano mi wszystko do rąk. Dla upiększenia mojej pracy, dla upiększenia moich wspomnień, dla honoru i zaszczytu moich dzieci dano mi miano, które u nas dziecko, nieledwie, gdy wy-

mawiać słowa polskie zaczyna, wspomina je ze czcią — dano mi nazwisko „Naczelnika", imię, które łzy wyciska, imię człowieka, który pomimo, że umarł, żyje zawsze, wielkie imię Kościuszki. To imię Naczelnika nowotworzącego się państwa. Naczelnika, który w jednym ręku władzę cywilną i władzę wojskową ma piastować, któremu wyjątkowe prawa nadano, ażeby mógł w wyjątkowej sytuacji wyjątkową pracę dawać, to imię zostało mnie ofiarowane. Znowu, moi panowie, stwierdzam, że żadnego gwałtu, żadnej korupcji, żadnej koncesji, żadnej próby zmuszania kogokolwiek, żeby w tej chwili rękę za mną podniósł czy głos swój za mną oddał — nie było. I znowu, panowie, stanąłem w tym samym mundurze, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, nie znając żadnego innego w Polsce zaszczytu, oprócz mojej poprzedniej dyktatury.

Proszę panów! Zaszczyty, honory, zaufanie, jednozgodnie wyrażone, znowu wywołały mi gdzieś z zamierzchłej przeszłości wspomnienia dawne, wspomnienia przeklęte, gdzie były te sejmy, które kiedyś, bezdarne i krzykliwe, o jednozgodność wołały i nigdy tej jednozgodności nie miały, gdyż jeden człowiek przez swawolę, jeden człowiek, płatny szpieg, o duszy pełnej brudu, mógł pracę państwa zniweczyć. Gdzie te wspomnienia, gdzie posłowie i dygnitarze, na obcym żołdzie, w obcych kieszeniach, w obcych będący rękach, obcych słuchający rozkazów, płaszczący się, jak gad, przed obcymi, a tak dumni, a tak panoszący się w domu?! Gdzie te wspomnienia? Pierzchły, zginęły, bo znowu był akt moralny, akt odrodzenia. Znowu jest jednozgodność, ta nie-

gdyś żądana, ta niegdyś wymarzona, ta niegdyś krzyczana i okrzyczana, ta jednozgodność w jednym akcie. Czy ktokolwiek to robił pod strachem, czy przez przyzwoitość, czy z powodu niemożności znalezienia innego wyjścia, czy kto robił to biernie, czy czynnie — to jest wszystko jedno, fakt jest, fakt historyczny, który skupił się na mojej osobie.

Powtarzam raz jeszcze, że nie znam faktu tak dziwnego, nie znam faktu tak śmiesznego w swojej prostocie, jak ten, który jednego człowieka, tak mało znanego, tak mało odczutego, tak mało zżytego z całem tem społeczeństwem — bo wśród posłów znałem może kilkunastu, wszyscy inni byli mi obcy ludzie, którzy mnie nie znali, którzy nic nigdy nie widzieli w mojem życiu — wynosi na to stanowisko bez żadnego gwałtu, przymusu, bez żadnej agitacji, a nawet wbrew jego woli, gdyż tego nie szukał, daje mu dobrowolnie władzę tak wybitną i tak wyjątkową.

Kazano mi wreszcie reprezentować siebie, wszystkich w Polsce nazewnątrz i wewnątrz. Jeżeli przedtem mogłem tłumaczyć zjawisko jakiemś zamąceniem, jakąś nieumiejętnością — to w tym wypadku ludzie wybrani, mający czas do namysłu, do narad, do krytyki każdego swego postanowienia — dają mi poza tem, co miałem poprzednio, dają mi siłę moralną, którą każdy człowiek mieć może, gdy takiem obdarzony jest zaufaniem, gdy to zaufanie w taki manifestacyjny, w taki uroczysty, w taki niezwykły sposób się wyraża. Lecz odtąd, panowie, te piękne zaszczyty, cudne jak z bajki tysiąca i jednej nocy, odtąd historja się zmienia. Postawiono mnie tak

wysoko, jak nigdy nikogo nie stawiano, postawiono mnie tak, bym cień na wszystkich rzucał, stojąc jeden w świetle.

Był cień, który biegł koło mnie, — to wyprzedzał mnie, to zostawał wtyle Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka — cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co szczędzić trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie — ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów — to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historje, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski. Nie sądźcie, panowie, że to jest tylko metafora, ja zacytuję tylko kilka faktów, takich potwornych, dzikich, że trudno pojąć, z jakiej kadzi nieczystości zarazić trzeba sobie wyobraźnię, by podobne rzeczy wymyślić.

Reprezentant narodu, wybrany przez wszystkich, reprezentujący wszystkich — kradnie! Zbiera się komisja sejmowa, aby szukać skradzionych przez tego reprezentanta insygniów królewskich. Komisja sejmowa, obradująca pod egidą czy pod

kierownictwem marszałka sejmu, szuka, śledzi, bada, poszukuje skradzionych przez tego reprezentanta rzeczy! Czy panowie coś bardziej potwornego, coś bardziej wstrętnego, coś bardziej oplutego pomyśleć możecie? Czy można mieć reprezentanta tego rodzaju? Pomyślcie sobie to gdzieindziej, wśród wolnych, swobodnych narodów: nasz reprezentant — złodziej! Nasz reprezentant zdradza kraj w czasie wojny, umawia się z nieprzyjacielem! Naczelny Wódz, prowadzący wojnę, jest zdrajcą! Gdzież na niego kara?! Czy jest próba usunięcia go? Czy jest próba pociągnięcia go do odpowiedzialności? Czy jest próba zrobienia go odpowiedzialnym za te niebywałe zbrodnie? Niema! Idzie tylko o plucie, idzie tylko o kał wewnętrzny, którego pełna musiała być dusza, jeżeli na te rzeczy się zdobyła. Idzie o jakieś niesłychanie obrzydłe zjawisko duszy ludzkiej, która w ten sposób postąpić może. Potworny karzeł, wylęgły z bagien rodzimych. Bity po pysku przez każdego z zaborców, sprzedawany z rąk do rąk, płatny. Oto ci, którzy chcą obniżyć do swego poziomu to, co zostało wzniesione wysoko.

Moi panowie, powtarzam, nie znam, gdy nad ubiegłemi latami się zastanawiam, nie znam zjawiska bardziej stałego, bardziej metodycznie prowadzonego, jak to dotykanie rodzinnych stosunków, przed któremi każdy człowiek się zatrzymuje, jak to dotykanie moich przyjaciół, mojego otoczenia, każdego nieledwie człowieka, który się do mnie zbliżył, brudnemi rękoma, brudną duszą, brudnemi słowami i brudnem, stęchłem powietrzem.

Nie znam, moi panowie, zjawiska bardziej stałego, gdy przebiegam swoją historję za ubiegłe lata!...

Miałem przyjaciół, którzy się zmęczyli i odeszli, miałem współpracowników, z którymi źle czy dobrze współpracowałem, którzy także w ten czy inny sposób ode mnie odchodzili. Ale to paskudztwo duszy, które do mnie przylepiano, było tak nieodłączne, tak systematyczne, że gdy myślę o przeszłości, zawsze się oglądam, czy ubranie moje jeszcze nie cuchnie. A plucie to chrzczono wysokiemi słowami, wysokiemi hasłami. Była to praca tak zwana narodowa, praca tak zwana patrjotyczna! Nie jest to tragizmem — dla mnie. Rzeczy takie rzadko się zdarzały na świecie, gdyż są one potworne, niemoralne, dzikie i wstrętne. Wylęgać się takie zjawiska mogą tylko w bagnie niewoli, przez które narody przechodzą.

Na rzucone mi tu przez pana Anusza pytanie, który, nie żegnając się ani witając, z niepokojem pyta, dlaczego ten nieodłączny pracownik państwa polskiego, którego niegdyś na wysokie regjony wzniesiono, ozdobiony tak wielkiem imieniem i zaszczytami, dlaczego on opuszcza swoje stanowisko — odpowiem wprost: „Szanuję swoją historję, szanuję ją dla siebie, szanuję ją dla dzieci. Szanuję ją dla przyszłych historyków, którzyby także w twarz mi napluli, gdybym razem z potwornymi karłami, którzy mnie obniżyć chcieli, — pracował". Decyzja moja była bezpowrotna. Karły próbowały w ostatnim czasie zmienić swoje grymasy na uśmiech szczęścia z powodu spotkania mnie w tem czy innem miejscu. Zastanawiałem się, moi panowie, nad swemi czyna-

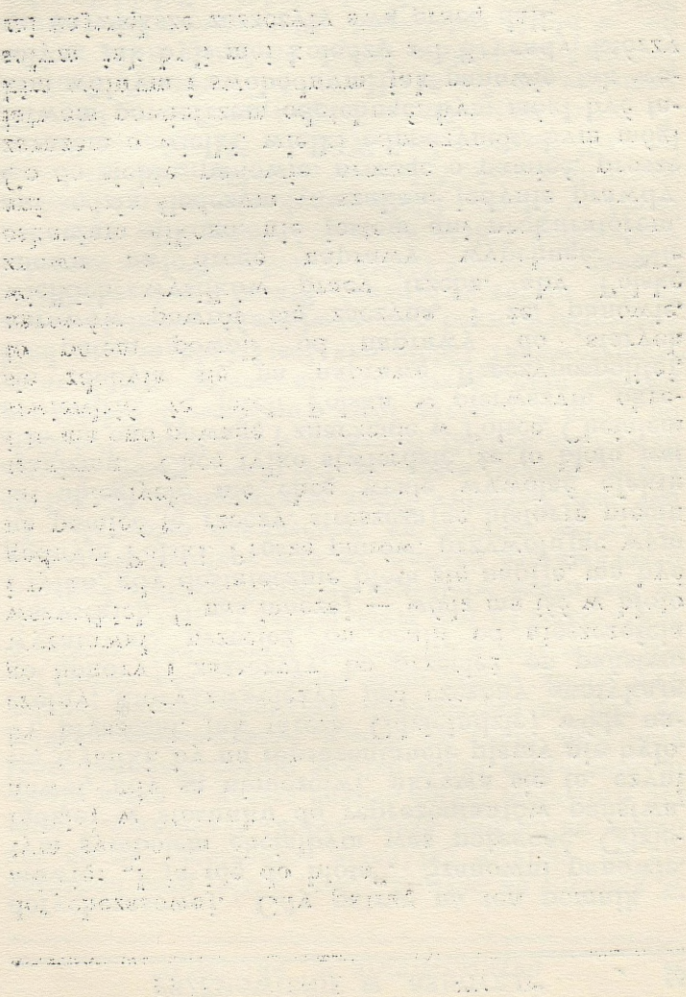
mi, nad wartością mej pracy, nad tem, co zrobiłem i czegom nie zrobił. Nie będę mówił i nie będę sobie przypisywał większych zasług, niż te, które mi świat przypisuje. Jeżeli mówią o mnie, że z narodem polskim rady sobie nie dałem — to przecież żadna krytyka, żadna śmiałość nie sięgnie po moje laury wojskowe. Okryłem chwałą oręż polski. Dałem w pierwszych dniach życia polskiego zwycięstwa tak błyskotliwe, tak nieznane, tak gdzies w zamierzchłej przeszłości słyszane, że dotąd tą sławą pierś żołnierska się koi. Doprowadziłem do zwycięstwa nad nieprzyjacielem, przed którym inni drżeli. Dlatego też zwróciłem się natychmiast po złożeniu urzędu najwyższego do pracy wojskowej. Zdolności, temperament, doświadczenie nabyte dawały mi łatwość pracy, więcej — dawały mi łatwiejsze powietrze. Moi panowie, pracę tę opuściłem, opuściłem ją zupełnie. Wniosłem dymisję i prośbę o zwolnienie z wojska. Dlaczego? Obowiązek żołnierza jest trudny. We Francji armję nazywa się *grande muette* — wielkim niemową. Wojsko milczeć musi i nieraz, panowie, swobodnie używający języka, nie wiecie, jak ciężko nieraz bywa oficerowi i żołnierzowi w kraju, gdzie tak swobodnie języki w buziach się plączą, być tylko niemym świadkiem tego, co się dzieje, ściskać w sobie serca, myśl pracującą, aby się nazewnątrz nie wydobyła, zamknąć siebie. Ostrożnie, panowie, z tym instrumentem, ostrożnie, specjalnie z językami. Żołnierze należą do kasty obywateli bez praw, wtedy, kiedy wy pełnoprawni jesteście. Wszedłem do wojska, dając swą pracę, — teraz opuszczam szeregi. Dlaczego?

W tej samej chwili, gdy Belweder, miejsce zaszczytu, miejsce honoru Polski, opuściłem, wszedł tam inny człowiek, wybrany legalnie aktem uroczystym, podpisanym przez marszałka sejmu. Oddałem mu władzę zgodnie z Konstytucją. Na moje miejsce przyszedł dla reprezentacji narodu całego i wszedł na tę ścieżkę, którą ja potrosze przetorowałem, człowiek inny. Nie rozważam jego zalet ani wad, nie omawiam jego wartości. Człowiek ten, jak ja, został wyniesiony ponad innych, dobrowolnym aktem włożono na niego obowiązek, że ma być naszym przedstawicielem, ma w pieczy mieć nasz honor, naszą godność. Ta szajka, ta banda, która czepiała się mego honoru, tu zechciała szukać krwi. Prezydent nasz zamordowany został po burdach ulicznych, obniżających wartość pracy reprezentacyjnej przez tych samych ludzi, którzy ongiś w stosunku do pierwszego reprezentanta, wolnym aktem wybranego, tyle brudu, tyle potwornej, niskiej nienawiści wykazali. Teraz spełnili zbrodnię. Mord karany przez prawo. Moi panowie, jestem żołnierzem. Żołnierz powołany bywa do ciężkich obowiązków, nieraz sprzecznych ze swojem sumieniem, ze swoją myślą, z drogiemi uczuciami. Gdym sobie pomyślał na chwilę, że ja tych panów, jako żołnierz, bronić będę, — zawahałem się w swojem sumieniu. A gdym się raz zawahał, zdecydowałem, że żołnierzem być nie mogę. Podałem się do dymisji z wojska. To są, moi panowie, przyczyny i motywy, dla których służbę państwową opuszczam.

Na zakończenie pozwólcie mi, panowie, zrobić małą symbolistykę. Długi czas pracowałem

w gmachu na Saskim placu, gdzie, przechadzając się po wielkim gabinecie, rzucałem raz po raz okiem na ciemne, szare widoki Warszawy. I zawsze widziałem jakieś dziwne rzeczy — szarą płachtę, otaczającą jakąś dziwną postać. Naprzód szedł koń. Koń, idący ku słońcu, przerywający parkan, za nim na czworakach pełznącą postać ludzką. Ten widok nieraz mnie śmieszył... Ten widok bawił mnie swoją oryginalną konstrukcją rzeźbiarską. Gdzież tu jest myśl, gdzież tu jest idea, gdzie tu jest praca wielkiego artysty? Wielkie konisko, przerywające parkan, za nim z głową schowaną, jakby ze wstydu, na czworakach człowiek. To był nasz Naczelny Wódz w przeszłości. Wrócił do kraju, szukał serca, szukał tego, czego dawno, dawno nie widział. Naczelny Wódz Wojsk Polskich, bo takim był książę Józef Poniatowski. Gdzież ten piękny ułan, gdzież jest ta postać wyśpiewana, wymalowana? Gdzie ona jest? Oddano mu hołd i sztandary przed nim powiewały, grzmiały armaty, jak nieraz w bitwach. Stanął i patrzy. „Gdzie są moi następcy? Gdzie w wolnej Polsce naczelni wodzowie? Gdzie są moi koledzy? Ja zginąłem ongiś w błocie. Błoto przykryło mi oczy, błoto zasłoniło wzrok. Gdzie są oni? Na mnie pierwszego padł zaszczyt być Wodzem Naczelnym Polski. Ja hufce stawiałem, ja je rzucałem w bój. Na pomniku są słowa: „Honor i Ojczyzna". Szukasz honoru? Znajdziesz twego następcę także w błocie, w błocie rodzimem! Błotem został napojony. Taki jest los naczelnych wodzów Polski bez honoru, Polski, której serce drgać nie umie. Panowie, ten symbol naczelnych wodzów Polski, z konieczności ginących w błocie, jest historją Polski

dotychczasowej. Gdy patrzę na ten pomnik — mówię: „I ja idę do błota". Szanowni panowie, tym symbolem chciałbym was pożegnać. Gdzieindziej w stosunku do reprezentantów państwa, nawet, gdy są nieuczciwi, ukrywa się to, czyni się wysiłki, by na reprezentancie plamy nie było, by błyszczał, jak tarcza. Gdzieindziej wódz naczelny, który zwyciężył, jest czczony, spotykają go honory i zaszczyty, bo przecież on państwo wyratował, przecież on ocalił od nieszczęścia wszystkich. U nas inaczej — wódz ma iść w błoto i tylko, gdy dostatecznie błota się napije, ma być godnym Polski. Proszę panów, przywołując wam na pamięć te rzeczy, streszczając historję pięciu lat ubiegłych, nie chcę wcale wywołać efektu tragizmu. Chcę tylko stwierdzić, że to błoto jest i że ma ono powagę i znaczenie w Polsce. Chciałem stwierdzić, że jeżeli Polska w pierwszym okresie zdobyła się na naprawę Rzeczypospolitej, to potem powoli od naprawy do starych nawyków powrót się zaczyna, i że, panowie, wielkich wysiłków pracy trzeba, aby Polskę znowu na drogę naprawy wypchnąć. Nie oskarżam nikogo, nie jestem ani prokuratorem, ani sędzią śledczym — szukam jedynie prawdy. Co do siebie, panowie, prosząc o pamięć, proszę zarazem o wielki, wielki odpoczynek, bym mógł łatwem powietrzem odetchnąć, bym mógł być takim wolnym i swobodnym, jak panowie, tak wesołym, jak byli moi koledzy z I Brygady, którzy mi największe zaszczyty swą pracą dali.



VII

WSPOMNIENIA O GABRJELU NARUTOWICZU

(lipiec 1923).

O Gabrjelu Narutowiczu słyszałem względnie bardzo dawno. Rodzina Narutowiczów pochodzi z tych samych stron, co moja — ze Żmudzi, i należy do tej samej ziemiańskiej, szlacheckiej sfery, w której specjalnie w tym zakątku dawnej Polski wszyscy o wszystkich wzajemnie jeżeli nie wszystko, to zawsze coś niecoś wiedzą. Stąd nazwisko Narutowicza znane mi było od dzieciństwa. Później w czasie moich wędrówek po świecie nieraz obijało mi się o uszy jego imię, wspominane przez wielu moich przyjaciół, którzy dla tych czy innych powodów przemieszkiwali lub zawadzali o Szwajcarję. Było to naturalne. Ś. p Gabrjel Narutowicz stał się w tym kraju swego rodzaju znakomitością dzięki wybitnym pracom w dziedzinie budownictwa wodnego. A że w owych czasach, czasach ciężkiej niewoli, każdy Polak, który zdobył uznanie wśród cudzoziemców, dawał wszystkim innym pewne prawo do dumy narodowej, nazwisko to przez nikogo ze spotykanych przeze mnie Polaków inaczej, jak z szacunkiem, nie było wymawiane.

Przypominam sobie, że w tych czasach uderzył mnie jeden szczegół z życia Gabrjela Narutowicza. W jednej z rozmów któryś z moich znajomych wyraził się o nim, jako o dziwaku. Zapytany przeze mnie, na czem polegać ma to dziwactwo, odpowiedział z charakterystycznem

wzruszeniem ramion, że Narutowicz, jeszcze jako słuchacz politechniki, uczęszczał systematycznie na specjalne kursa wojskowe, istniejące przy politechnice zurychskiej dla przygotowywania oficerów armji szwajcarskiej.

Fakt ten był dla mnie nadzwyczaj zastanawiający. Było to w owym czasie, gdy w dobie popowstaniowej młodzież ulegała łatwo różnym prądom, jakie się krzyżowały w polskich umysłach, lecz wszystkie razem wykluczały absolutnie, jako rzecz zdrożną, rzecz śmieszną lub nonsensowną — jakąkolwiek pracę w dziedzinie nauk wojskowych.

Dla mnie osobiście Narutowicz, uczeń kursów wojskowych, był niejako wyrzutem sumienia, sam bowiem głęboko w sercu zataiłem, jakby grzech dzieciństwa, sentyment dla tradycyj powstańczych polskich i gryzącą mnie ustawicznie zazdrość w stosunku do ubiegłych pokoleń, które miały tak piękne wiosny w swojem życiu. Zaledwie w najszczerszych rozmowach pozwalałem sobie dotykać zagadnień wojskowych; a tu człowiek, którego imię już powtarzano, jako imię człowieka zasługi i wybitnej pracy, tak śmiało szedł po tej drodze, tak śmiało część swoich wysiłków poświęcał przedmiotowi, powszechnie skazanemu w Polsce na zapomnienie, na odepchnięcie, na zatracenie.

Nie spotykałem się nigdy w tym czasie z Gabrjelem Narutowiczem, lecz fakt ten wywołał w stosunku do niego jakąś bezwiedną sympatję, jakiś mimowolny pociąg. Nie spodziewałem się wtedy nigdy, że w dalszem życiu role nasze tak się dziwnie odwrócą. Ongiś ja jemu zazdrościłem

jego studjów wojskowych. Po kilkunastu latach on, jak chętnie nieraz zaznaczał, zazdrościł mi mojej pracy wojskowej.

Zanim drogi życiowe nasze zetknęły nas w Warszawie, spotykałem się z temi lub innemi wzmiankami o Gabrjelu Narutowiczu jeszcze z innej strony — ze strony rodzinnych stosunków, gdyż weszliśmy z sobą na drogę powinowactwa: rodzony brat ś. p. Narutowicza ożenił się z bliską moją kuzynką, Billewiczówną.

Osobiście poznałem Gabrjela Narutowicza, gdy już w czasie istnienia wolnej Polski wrócił z emigracji i został mi przedstawiony, jako kandydat na ministra robót publicznych w gabinecie pana Skulskiego.

Przy pierwszem zetknięciu się uderzyły mnie tylko jego wesołe, jakby rozradowane oczy, któremi oglądał zarówno mnie, jak i całe belwederskie otoczenie. Stosunki nasze były zrazu bardzo luźne. Ograniczały się do kilku nic nie znaczących rozmów, do wymiany jakichś urywkowych zdań. Pochodziło to stąd, że dla resortu, który objął pan Narutowicz, nie miałem nigdy ani wybitnego zainteresowania, ani wielkiego zaufania.

W początkach Rzeczypospolitej miano w tej właśnie dziedzinie — robót publicznych i odbudowy kraju — wielkie iluzje i wielkie nadzieje. Szukano w tej pracy naprawy wielu bied i wielu nieszczęść Polski. Robiono olbrzymie plany i wielkie projekty, miano powetować w krótkim przeciągu czasu tyle blizn, zadanych przez wojnę, tyle rozmyślnych opuszczeń, zrobionych przez rządy zaborcze. Miano zrobić nadzwyczajny wysiłek, by dogonić świat pod tym względem.

I jakgdyby dla większej ironji w stosunku do naszej bezsilności i może nieudolności, zostawiono tyle śladów robót rozpoczętych, nieskończonych, wyglądających tak śmiesznie, jak znakomity kanał obwodowy Warszawy, koło którego jeszcze i dziś nikt bez uśmiechu przejeżdżać nie może. W licznych podróżach moich po kraju konstatowałem wszędzie istnienie biur, zarządów i różnych instytucyj, związanych z robotami publicznemi, na które słuchać musiałem żałosnych skarg, że są one chyba stworzone dla przeszkadzania w pracy odbudowy, nie dla jej prowadzenia. Zajęty wojną lub jej likwidacją, nie miałem ani chęci, ani możności wtrącać się do szczegółów tej pracy, najwidoczniej według mnie nieudanej. Z tego też powodu nie szukałem nigdy ani rozmów, ani zbliżenia się do Narutowicza, jako do ministra robót publicznych.

Dochodziły mnie wtedy słuchy, że jest namiętnym sportowcem. Człowiek bardzo już niemłody, człowiek nauki, rozkochany w koniach i w polowaniu, jeżdżący codzień pomimo wieku konno, robiący długie wycieczki piesze, wesoły towarzysz myśliwski, przypominał mi wciąż temi cechami swego charakteru owego Narutowicza, który, będąc młodzieńcem, szukał śmiało wyrazu dla swojej z domu wyniesionej, powstańczej tradycji.

I nagle zaszedł znowu fakt, który mi Gabrjela Narutowicza w nowem postawił świetle. Było to za czasów gabinetu pana Ponikowskiego, gdy praca całego rządu ześrodkowała się całkowicie w silnych wewnętrznych tarciach w łonie rządu z powodu walki wszystkich resortowych ministrów z jednym ze swoich kolegów, z panem ministrem

Michalskim. Pan minister Michalski, uzyskawszy od sejmu pozwolenie na coś w rodzaju dyktatury finansowej, począł ją wprowadzać w nadzwyczaj oryginalny sposob. Dobrał on sobie, mianowicie, kilkunastu panów czy mężów zaufania, których formalnie postawił ponad swoich kolegów ministrow, i ci, wykorzystując swoje przywileje, zaczęli brutalnie sekować kolegów pana Michalskiego. Sprawa ta ciągle obijała się o moje uszy, jako Naczelnika Państwa, z całem mnóstwem anegdot, niezwykle dla ministrów upakarzających. Mężowie zaufania pana Michalskiego byli to często młodzi panowie, tacy sobie nadministrowie, którzy mieli prawie bezapelacyjnie decydować o każdym wydatku, zrobionym z rozporządzenia ministra. Naturalnie, byli ministrowie bardziej uprzywilejowani w oczach pana Michalskiego lub jego pomocników, byli mniej uprzywilejowani, jakby rozmyślnie sekowani, byli tacy, którzy znaleźli sobie drogę do przebłagania nietyle pana Michalskiego, ile mądrego jego męża zaufania, byli wreszcie tacy, którzy się kłócili zarówno z tymi rzeczoznawcami, jak i z panem Michalskim, którego ekonomska ręka miała jakoby uratować Polskę od niechybnej klęski bankructwa.

Rada ministrów trzy ćwierci swego czasu poświęcała w owe czasy udanym lub nieudanym próbom łagodzenia tarć, które ciągle groziły rozwaleniem się rządu z powodu podawania się do dymisji to jednego, to drugiego z pośród ministrów. Sprawy bowiem państwowe nabierały cech przypadkowości, uzależnionych od chwilowych nastrojów nietylko samego już dyktatora finansowego, lecz i jego subdyktatorów.

I wtedy nagle dowiedziałem się o jednej poważnej batalji, wygranej prawie całkowicie przez tak nieznaczący resort, jak roboty publiczne. Dowiedziałem się wtedy, że pan Narutowicz postawił spokojnie sprawę tak, jak należało ją stawiać. Zaproponował on zniesienie ministerstwa robót publicznych, jako niepotrzebnego, z chwilą, gdy fundusze, które ma w swojej dyspozycji, ledwie wystarczają na utrzymanie urzędników, bez dania jakiegokolwiek ekwiwalentu państwu w postaci pracy, związanej z celem i przeznaczeniem swego ministerjum. Batalja została wygrana, gdyż 9 miljardów, (o ile sobie przypominam, chodziło o podobną sumę) zostało przyznane ze względów personalnych dla zatrzymania istnienia ministra i jego urzędników. Obiło się to o moje uszy w bardziej szczegółowych sprawozdaniach z tego powodu, że ustępstwo pana Michalskiego w każdej dziedzinie zwykle powodowało tendencje zmniejszenia budżetu wojskowego, którym musiałem się zajmować.

Pomimo tej wygranej batalji, która mi wskazywała, że wpływ osobisty Gabrjela Narutowicza jest względnie duży, byłem niezmiernie zdziwiony, gdy usłyszałem, że pan Skirmunt, ówczesny minister spraw zagranicznych, wyjeżdżając na znaną konferencję w Genui, chciał mieć, jako wiceprzewodniczącego delegacji polskiej, właśnie Gabrjela Narutowicza. Pomimo, że interesa ekonomiczne i finansowe odegrać miały na tej konferencji wybitną i wielką rolę; pomimo, że w rządzie i w społeczeństwie żywiono jakieś nadzieje na dochody, mające wpłynąć z ruchu tranzytowego, opartego na polskich środkach komunikacyjnych,

które nie były w stanie podołać nawet naszym potrzebom wewnętrznym; pomimo wreszcie, że przed konferencją zbierano obfite materjały w różnych komisjach, w których brał udział również i Gabrjel Narutowicz — wyznaję szczerze, że wybór rządu zaskoczył mnie, jak niespodzianka.

Nie mogłem zupełnie zrozumieć motywów tego postanowienia. Tak dalekim dotąd był zawsze pan Narutowicz od wszystkich burz w szklance wody, które szalały i szaleją u nas przy każdem dotknięciu kwestyj międzynarodowych; tak dalekim wydawał mi się on od tego licznego u nas grona zawodowych autorytetów w tej dziedzinie, która należała zawsze do najdrażliwszych i do najbardziej delikatnych spraw dla każdego z rządów Rzeczypospolitej.

Wybór Gabrjela Narutowicza wydawał mi się tem dziwniejszy, że sytuacja Polski podczas konferencji genueńskej należała może do najtrudniejszych z czasów powojennych. Enuncjacje ówczesnego premjera Anglji wyraźnie i niedwuznacznie skierowane były przeciw Polsce, jasno wskazując, czyim kosztem należy zadowolić naszych sąsiadów. Natomiast trudno było się spodziewać należytej obrony ze strony innych państw, gdy w grę wchodziły tak poważne interesy, jak kwestja odszkodowań ze strony Niemiec i podniecone niezwykle nadzieje na możliwość zyskania rynków rosyjskich, przyczem konkurencja mocarstw mogła dojść do wysokiego napięcia, obniżając przez to szanse obrony interesów Polski.

Dlatego to w owe czasy radziłem bardziej skoncentrować się w obronie, nie mieszając do konferencji sprawy uznania naszych granic wschodnich,

uzyskanych przez zwycięską wojnę. Niestety, w ministerstwie spraw zagranicznych byli innego zdania i sądzili, że należy i tę sprawę postawić na porządku dziennym. Wysunięcie tej kwestji uczyniło i tak już trudną sytuację Polski na konferencji jeszcze trudniejszą. Dało to w rezultacie, jak zwykle u nas w chwilach ciężkich, bardzo podnieconą atmosferę z masą sprzecznych plotek, domysłów, inwektyw, oskarżań, reminiscencyj wszelkiego rodzaju, przechodzenia od wysokich nadziei do nagłego strachu, co z konieczności odbijać się ciągle musiało na nerwach rządu, a przez to i na nerwach naszej delegacji w Genui. Tem bardziej, że w Genui grano nieraz groźbami nowych wojen, nowych niepokojów, temi straszakami nietylko naszego życia państwowego.

Byłem więc, powtarzam, zdziwiony, dlaczego obarczono tak trudnemi zadaniami człowieka, który mi się wydawał nieprzygotowanym do prac konferencyjnych i który nie mógł mieć siły utrzymania autorytetu rządowego przy tak podnieconej atmosferze wewnątrz kraju.

Konferencja po wielu perypetjach zakończyła się względnie szczęśliwie. Uznania granic, zgodnie z mojemi przewidywaniami, nie osiągnęliśmy wcale, lecz to, co uważałem na naszą wygraną, osiągnęliśmy w zupełności, wyszliśmy z konferencji obronną ręką.

Po powrocie z Genui zebrali się u mnie w Belwederze główni nasi delegaci na konferencję dla złożenia mi sprawozdania. Wtedy po raz pierwszy miałem sposobność poznać bliżej Gabrjela Narutowicza. Byłem zdziwiony, gdym usłyszał, po raz pierwszy może, spokojną, rzeczową ocenę nietylko

szczegółów konferencji, lecz i stosunków międzynarodowych. Widać było w każdem niemal słowie, że pan Narutowicz mówi o świecie zagranicznym, jak człowiek, który świat ten zna, z tym światem się zżył i obraca się w nim ze znacznie większą swobodą, niż w świecie polskim. Długoletni pobyt w Szwajcarji, stałe obcowanie z mnóstwem ludzi, zatrzymujących się na krótko lub na długo w tym zajezdnym domu Europy, w Szwajcarji, dawały mu ten spokój w ocenie ludzi i zjawisk, dobrze mu znanych, jaki rzadko spotyka się w Polsce. Nie było w tem, co mówił, nigdy ani dziecinnych, tak często u nas spotykanych, iluzyj, ani też akcentów niechęci i rozdrażnienia w stosunku do zjawisk, wynikających z naturalnych tendencyj tego lub innego państwa.

Był on, jak to miałem sposobność zauważyć, człowiekiem, któregobym nazwał Europejczykiem w sposobie ujmowania państwa i jego zadań i oceny pracy indywidualnej ludzi, sprawujących funkcje państwowe. Czuć w nim było jakby bolesny skurcz przy każdem oskarżeniu, które mu się wydawało niesłuszne, przy każdem przypuszczeniu, które uważał za niedostatecznie uzasadnione. Prosił wtedy natychmiast o głos i prostował. Gdy zauważył po skończonej konferencji u mnie, że z postępowania delegacji w pewnych kwestjach, jak uznanie granic, pozostałem niezadowolony, prosił o specjalną audjencję, aby dodatkowemi wyjaśnieniami rozwiać moje wątpliwości i stanąć w obronie pana Skirmunta. Nie chciał przypuszczać, by postępowanie pana Skirmunta naraziło na szwank nasze interesy. Stwierdził mi, że najzupełniej nie mogło być mowy o uzyskaniu uprawnienia granic, lecz

że stosunki przy końcu konferencji ułożyły się dla nas o tyle pomyślniej, że żaden zręczny czy niezręczny początkowy krok z naszej strony nie odgrywałby najmniejszej roli, gdyż wszystkie kwestje utonęły w ogólnem wrażeniu nieudatnej pod względem zamiarów i celów konferencji.

Podczas tych paru wizyt Gabrjela Narutowicza u mnie miałem sposobność poruszać z nim i różne kwestje z dziedziny naszego życia wewnętrznego. Pan Narutowicz bowiem skorzystał z tych okazyj, aby poza służbowemi sprawami nieco więcej mówić o sobie i o swojem życiu, korzystając z łączącego nas powinowactwa.

Czuł się w Polsce dobrze — więcej — był szczęśliwy i dziwił się tylko, że ludzie, z którymi się spotyka, są ciągle czegoś skwaszeni i z czegoś niezadowoleni. Mówił mi, że od czasu swego przyjazdu do Polski nie może dotąd nastroić siebie na ten sam ton, co Polacy, i dlatego wciąż mu się wydaje, że jest emigrantem. Tęsknił do Polski tak długo, już się był nawet przyzwyczaił do myśli, że do Polski może nie wróci, szukał zużytkowania swoich sił i swojej energji w pracy dla obcych, i gdy Polska otrzymała życie swobodne i niepodległe, myślał, że oszaleje z radości. Likwidował naprędce wszystkie interesy, naprędce zrywał wszystkie nici, któremi był związany z obcym krajem i obcą służbą, przyjechał, jak odmłodzony, ze świeżą energją, chcąc, jak mówił nieco sentymentalnie, odsłużyć Polsce, chociażby na najniższem stanowisku, stracone dla niej i zmarnowane dla niej poprzednie swe lata.

Wbrew swoim oczekiwaniom objął najwyższe stanowiska w Polsce i był stanowczo szczęśliwym

człowiekiem. Męczyło go jednak pytanie, dlaczego inni tego szczęścia nie czują. Śmiał się, opowiadając mi, że przypomniał sobie swoje młode lata, chadzając na polowania po lasach i błotach i spotykając się z ludźmi prawie takimi samymi, jakich znał w dzieciństwie i młodości. Nie ma dotąd, jak mi mówił, żadnych nieprzyjaciół, ze wszystkimi żyje dobrze i sądzi, że u nas tylko istnieje jakaś dziwna nieumiejętność do współżycia pomiędzy sobą, a zdolność do kłócenia się bez żadnej przyczyny, któraby była dostatecznie zrozumiałą dla niego. Szczerze się śmiałem z niego, twierdząc ,że nie przeżył z nami czasów niewoli i że przenosi tak łatwo stosunki, do których się przyzwyczaił w najspokojniejszym kraju europejskim, w Szwajcarji, na nasze chore jeszcze od niewoli warunki życia. Śmiałem się, mówiąc mu, że może on ze swoją europejską metodą układania stosunków przejdzie i dalej swe życie bez zadraśnień i nieprzyjaciół, lecz że wówczas bodaj będzie w Polsce wyjątkiem.

We wszystkich sądach Gabriela Narutowicza o innych spostrzegałem niezwykłą w naszych stosunkach względność dla ludzi i nawet usprawiedliwienie wszystkich braków, a nawet wad. Przy pierwszem słowie krytyki jakiejkolwiek działalności natychmiast usprawiedliwiał pracowników różnemi względami i stale tłumaczył, że ten krótki czas, jakiśmy mieli do urządzenia się w Polsce, nie pozwala zbyt ostro i krytycznie oceniać dotychczasowych prac. Starałem się zanalizować głębiej tę charakterystyczną dla Gabrjela Narutowicza względność dla ludzi i dla ich pracy. Wyznał mi on wreszcie otwarcie, że podczas swego życia zagranicą przeszedł przez tyle upokorzeń z powodu

krytyk i lekceważących ocen naszej narodowości, że się poprostu wdrożył do natychmiastowej obrony przed modą poniewierania wszystkiego, co polskie. Ten rys charakteru wyrobił się u niego, jak twierdził, być może i z tego powodu, że czuł się zawsze trochę winnym wobec Polski. Przez tyle lat swego życia nic jej nie dał prócz skromnych nieraz ofiar dla celów, związanych z życiem polskiem. „Czuję niekiedy — mówił mi — tak, jakgdybym nie miał prawa moralnego robić zarzutów, gdym tak długo do niczego w Polsce ręki nie przykładał".

Nie mógł znieść łatwo nieprodukcyjności naszej pracy. Przyzwyczajony do innych, większych, niż u nas, wymagań, niełatwo dawał sobie radę z naszem przyzwyczajeniem do nieproduktywnego gadulstwa o pracy bez pracy samej. Trudne też było dla niego słuchanie nierzeczowych dyskusyj. Lecz i te najprzykrzejsze wady, z któremi się zetknął, usprawiedliwiał i tłumaczył brakiem obycia się Polaków z pracą państwową i koniecznem, zdaniem jego, w tych warunkach wnoszeniem do pracy przyzwyczajeń z czasów niewoli, w której towarzyskie gawędy zastępowały realną pracę.

Podczas kryzysu gabinetu pana Ponikowskiego przyszedł sam do mnie, prosząc mnie, bym go użył jako pośrednika dla złagodzenia przesilenia. Sądził, że krytyka moja pracy tego gabinetu była zanadto bezwzględna i dotykająca tylko pewnych przejawów życia państwowego, zatem nie ujmująca całokształtu. Odpowiedziałem mu, że osobiście nie miałem zamiaru wywoływać kryzysu, więc wobec tego jego zarzuty nie są uzasadnione. Dotykałem tylko pewnych rzeczy, które w tym wypadku mnie obchodziły, i nie dotykałem całokształtu. Nie chciał

się jednak zgodzić z memi określeniami, tyczącemi się słabości rządu i nieproduktywności pracy rządowej. A gdym mu przypomniał jego własne narzekania na ową nieproduktywność i brak decyzji, zaczynał, jak zawsze, bronić każdej instytucji polskiej przed krytyką i zarzutami.

W następnym gabinecie pana Śliwińskiego Gabrjel Narutowicz został mianowany ministrem spraw zagranicznych. Tekę tę zatrzymał również w gabinecie pana Nowaka. Teraz Gabrjel Narutowicz z urzędu wszedł w znacznie bliższy kontakt ze mną, niż to było poprzednio.

Przedewszystkiem zrobił to, co robił każdy minister spraw zagranicznych, mianowicie — oświadczył, że musi stale współpracować ze mną, gdyż jego resort jest najściślej związany z memi obowiązkami reprezentowania państwa nazewnątrz. Oświadczenie to, powtarzam, składał mi każdy minister spraw zagranicznych. Jest w tem zdrowa konieczność, uznana we wszystkich państwach, jakkolwiekby one były sformowane. Oświadczyłem mu też, jak wszystkim innym ministrom, że do tej współpracy jestem zawsze gotów.

W tem współdziałaniu ze swej strony wymagam tylko lojalności, to znaczy informowania mnie o wszystkiem tak, abym w razie niezgody z takiem czy innem wystąpieniem odpowiedzialnego ministra mógł równie lojalnie nie szkodzić jego pracy podczas swoich, koniecznych przy reprezentacji, stosunkach z przedstawicielami zagranicy. Zaznaczyłem przytem, że dotąd tej całkowitej lojalności w Polsce nie doznałem i że nieraz w trudnej znajdowałem się sytuacji, gdy czułem, że w grze politycznej mogę być wygrywany przeciwko ministro-

wi, jeżeli nie mam dostatecznych danych o jego postępowaniu.

Dalej ostrzegłem go, że staje do roboty najtrudniejszej w Polsce, gdyż na żadną lojalność pewnych czynników politycznych w tej dziedzinie liczyć nie może. Że znajdzie działające poza swemi plecami inne „ministerstwa spraw zagranicznych", które łatwo dają się zawsze wygrywać przeciwko oficjalnemu przedstawicielowi państwa polskiego.

Wreszcie zaznaczyłem, przypominając mu jego dawniejsze rozmowy, że jeżeli się tak chwalił poprzednio, że nie ma nieprzyjaciół, to z chwilą wstąpienia do gmachu na ulicy Wierzbowej wchodzi odrazu do gniazda os, które oszczędzać nie będą nietylko jego osoby, lecz również jego czci i honoru. Gabrjel Narutowicz oburzył się na mnie, jak zawsze, że wydaję tak bezwzględne sądy o stosunkach polskich. Ze śmiechem jeszcze, który mu prędko miał zamrzeć na ustach, twierdził, że może okaże się nieudolnym ministrem spraw zagranicznych, lecz pewny jest, że przez to nie utraci tych, jak mówił, przyjaznych stosunków, jakie ma we wszystkich stronnictwach, co da mu możność spokojnie i rzeczowo rozmawiać o kwestjach polityki zagranicznej. Jeżeli nie był pewnym siebie w rozwiązywaniu zawiłych nieraz problematów naszej polityki miedzynarodowej, to czuł się spokojny w stosunkach polskich i pewny co do możności załagodzenia zaciętych nieraz sporów wewnętrznych, które poprzednio obserwował. Jakby z wyrzutem w stosunku do mnie, powtarzał to kilka razy: trzeba być tylko względniejszym dla ludzi, ludzie nie są tak źli.

Nie mogę wchodzić w szczegóły pracy Gabrjela Narutowicza, jako ministra spraw zagranicznych, dotyka to bowiem zbyt świeżej przeszłości naszych stosunków międzynarodowych, zbyt może dotyczyć ludzi, którzy w tej dziedzinie i dotąd odgrywają rolę, abym uważał za możliwe odsłaniać publiczne sprawy, do których miałem dostęp z racji swego urzędu. Idzie mi bardziej o metodę pracy Gabrjela Narutowicza w jego działalności.

Przedewszystkiem wniósł on swoją namiętność do pracy. Nie było dla niego godzin urzędowych, nie było chwili wytchnienia. Dotychczasowe wywczasy myśliwskie, dalekie przechadzki i inne mniejsze lub większe rozkosze życia ustąpiły wymogom urzędu. Pracował bardzo długo, szukając zawsze zgłębienia przedmiotu i wyrobienia sobie zdania na podstawie możliwie największej ilości danych. Nie uprzedzał się przytem zgóry do żadnej opinji, do żadnego zdania, tak, jakgdyby szukał najmniejszego ziarnka prawdy w każdej głowie ludzkiej, w każdej pracy człowieka. Zajmowało mu to, naturalnie, ogromną ilość czasu. Gdy przychodził do mnie, a następowało to zawsze co parę dni, każdą kwestję znał dokładnie i mógł mi wymienić szczegóły opinji takiego czy innego naszego przedstawiciela dyplomatycznego, takiego czy innego męża stanu zagranicy. Przytem zawsze zachowywał należytą rezerwę, nigdy nie twierdząc lekkomyślnie, jak to u nas często bywało, że wie z pewnością, co w różnych stolicach Europy myślą, lub też co rozmaici mężowie stanu chcą zrobić.

Rezerwa ta, tak zrozumiała i jasna dla każdego człowieka, znającego świat, wywołała z jego strony również usilne starania, by pozbawić Warsza-

wę sławy najbardziej plotkarskiej stolicy europejskiej. Bał się ciągle, by którakolwiek z rozmów jego z przedstawicielami obcych państw nie była powtarzana, by którykolwiek z raportów naszych posłów nie stał się publiczną tajemnicą i nie skompromitował naszego przedstawiciela wobec rządu, przy którym reprezentował nasze państwo. Ta smutna sława naszej stolicy, o której nieraz mówił ze mną, ciążyła nad nim zawsze, jak zmora. Twierdził, że z pomiędzy wielu zarzutów, które z ust moich usłyszał i którym miał stale ochotę oponować, jeden zarzut plotkarstwa uważał zawsze za słuszny i zawsze się obawiał, żeśmy sami wiele przyczynili się do braku szacunku dla siebie w świecie. Twierdził, że jednym z najcięższych i najprzykrzejszych zarzutów, które słyszał w stosunku do Polski, obcując z ludźmi Europy, jeszcze jako człowiek prywatny, była opinja, że żadnemu Polakowi w niczem wierzyć nie można, gdyż zawsze kłamie. Zarzut ten zrodził się, jak sądził, nie z jakiegoś naszego organicznego wstrętu do prawdy, lecz z nadmiaru lekkomyślnego plotkarstwa, przy którem nikt wkońcu prawdy od fałszu odróżnić nie jest w stanie. Mówił mi, że od chwili, gdy objął urzędowanie, zawsze ma w pamięci moje opowiadanie o pewnym dyplomacie europejskim, który skarżył się przede mną na złośliwe przekręcanie jego rozmów w ministerstwie spraw zagranicznych, tak, że czuł się skompromitowanym wobec swego rządu, mogącego mieć do niego pretensje, iż nie wypełnił otrzymanych instrukcyj. Twierdził przytem, że w takim kraju można być tylko tak brutalnym, aby tłum plotkarzy dobitnych i jaskrawych słów nie potrafił fałszywie zrozumieć. Pra-

wie przy każdem widzeniu się ze mną Gabrjel Narutowicz pytał mnie, czy nie mam do zanotowania jakiegokolwiek zarzutu niedyskrecji i czy nie odczuwam naprawy pod tym względem.

Nie chciał się jednak zgodzić ze mną w zupełności, że tę smutną sławę zawdzięczamy w znacznym stopniu istnieniu poza rządem nieodpowiedzialnego ministerstwa spraw zagranicznych, które w ten właśnie sposób szuka zwycięstwa nie Polski, a swego, i temi też nieodpowiedzialnemi środkami ustalać chce w opinji krytyczny stosunek do każdego ministra spraw zagranicznych.

Doświadczenie, którego nabył przy pracy w ministerjum, robiło go bardziej skłonnym do słuchania moich, jakoby bezwzględnych, zarzutów. Specjalnie oburzał się na metodę obniżania niejako zgóry wartości każdego prawie naszego przedstawiciela, wyjeżdżającego, by reprezentować Polskę, twierdząc słusznie, że każdy nasz poseł czy delegat, wioząc ze sobą tak duży bagaż plotek, wersyj i insynuacyj, krążących o nim we własnym kraju, a zbieranych skrzętnie przez opinję zagranicy, ma zgóry zmniejszony autorytet, powagę i kredyt w pracy nad interesami Polski.

W stosunku do podwładnych musiał Gabrjel Narutowicz być, jak przypuszczam, bardzo względny. Przypuszczam to dlatego, że przy każdej rozmowie o którymkolwiek z urzędników ministerstwa spraw zagranicznych starał się przedstawiać mi jego zalety i jego wartości, tak, jakgdyby unikał wytykania wad i przywarów człowieka. Nawet w tych wypadkach, gdy sam przyznawał pewne niedokładności w pracy, nie chciał wyciągać z tego konsekwencyj. Poglądem jego było, że przy wiel-

kich trudnościach, jakie miał prawie każdy Polak w pracy państwowej, lepiej jest cenić nabyte już doświadczenie, niż robić nowe próby z nowymi ludźmi. Boję się jednak, że ta charakterystyczna dla pana Narutowicza względność w stosunku do ludzi była więcej skutkiem niechęci do robienia komukolwiek przykrości i konsekwencją nieco naiwnej wiary w dobrą wolę ludzi, niż ufnością w wartość owego doświadczenia, na którą się powoływał.

Twierdzę to na podstawie częstych skarg, słyszanych od niego, na brak znajomości u Polaków świata zagranicznego, jego praw i prawidełek. Mówił zawsze, że wskutek tego każdy prawie Polak może być w świecie zagranicznym łatwo oszukany, łatwo w błąd wprowadzony i łatwo stać się może narzędziem w rękach innych, gdyż z trudem rozumie istotne motywy takiego czy innego postępowania. Ta nadmierna może względność w stosunku do wszystkich ludzi czyniła go nieco słabym administratorem. Jego koledzy w Radzie Ministrów nieraz mi się na to uskarżali, twierdząc, że Gabrjel Narutowicz niezawsze daje sobie radę z podwładnymi i że nie czuć w jego ministerstwie ręki przełożonego.

Przede mną, jako przed Naczelnikiem Państwa, bronił nawet swoich wyraźnych przeciwników. I nigdy nie chciał mi wierzyć, gdy mu dawałem dowody, że w tem czy innem rozmyślnie podstawiają mu nogę. W ciągu jednak swej kilkumiesięcznej pracy stawał się coraz bardziej ostrożny. Odosabniał się bardziej od ludzi, zamykając się w pracy z bezpośredniem swojem otoczeniem. Mówił mi, że stracił dużo ze swych zdolności towa-

rzyskich, że niekiedy musi unikać swoich starych znajomych, nawet przyjaznych mu ludzi, z powodu niedyskretnych pytań i nadmiaru ciekawości, pragnącej wedrzeć się do jego odpowiedzialnych prac.

W stosunku do mnie, jako do Naczelnika Państwa, pozostał do końca wyjątkowo lojalnym ministrem. Zgodnie z początkową umową informował mnie dokładnie o wszystkich pracach w swoim zakresie i omawiał ze mną wszystkie ważniejsze swe wystąpienia. Wyznaję, że po raz pierwszy w mojem urzędowaniu czułem się swobodnie, gdym mógł bez obawy rozplotkowania powtórzyć mu każdorazową swą rozmowę z którymś z przedstawicieli państw zagranicznych i gdym mógł mu okazać zgodnie z poprzednią umową pomoc, w różnych okolicznościach, wyzyskując te wpływy, jakie, jako człowiek, zdobyć sobie mogłem w świecie międzynarodowym. Mogłem był swobodnie umawiać się z Gabrjelem Narutowiczem nawet co do metody takiej czy innej rozmowy, będąc pewnym, że będzie ona w zgodzie z jego zamierzeniami i nie wzbudzi nigdy u przedstawicieli świata dyplomatycznego podejrzenia, że dwa najgłówniejsze dla nich organy państwowe są z sobą w niezgodzie i nie działają spoiście.

Z prawdziwą wdzięcznością wspominam najtrudniejszą w tej epoce pracę, która na mnie spadła. — reprezentacji Polski w sąsiedniej Rumunji. Rola nieodpowiedzialnego przedstawiciela państwa jest w takich wypadkach bardzo ciężka i każdy brak taktu ze strony odpowiedzialnych przedstawicieli daje się boleśnie odczuć.

Z całego okresu urzędowania Gabrjela Narutowicza przypominam sobie kilka wypadków, gdyśmy się rozeszli w opinji i zdaniu co do sposobu postępowania. Są to wypadki najprzykrzejsze, które, jak wiadomo, nieraz pozostawiają głębokie i niezatarte ślady w duszy, wywołując wzajemną niechęć i rozdrażnienie. W jednym z tych wypadków, mianowicie — w sprawie naszego postępowania w kwestji Kłajpedy, bałem się nawet, że rozbieżność zdań doprowadziła do takiego właśnie rozdarcia czy naddarcia dotychczasowych dobrych stosunków. Po kilku bezowocnych konferencjach, w których Gabrjel Narutowicz próbował uzgodnić nasze zdania, zaprzestał przychodzić do mnie na konferencje. Myślałem, że zachorował, lecz gdy dowiedziałem się, że jest stale przy pracy, machnąłem ręką, jak już na wiele zawodów w mojem życiu. Po paru tygodniach przyszedł. Był nieco wzruszony i odrazu zaczął jakby przepraszać. Twierdził, że nie mógł sobie dać rady i codzień odkładał wizyty u mnie, gdyż czuł się jakby winnym przede mną, że postąpił i pracował dalej w omawianej kilkakrotnie kwestji przeciw memu zdaniu. Gdy odpowiedziałem mu, że ma do tego najzupełniejsze prawo i nie powinien brać tego do serca, gdyż ponosząc za politykę zagraniczną odpowiedzialność, musi sam, jako ostatni, rozstrzygać, co może, a czego nie może zrobić, — począł gorąco protestować. Wyszukiwał wszelkiego rodzaju argumenty i wszelkiego rodzaju dowody, aby osłonić mnie od najmniejszego uczucia upokorzenia, które jest tak częste i tak często brutalnie wykonywane w stosunku do tych, którzy zajmują stanowiska jakoby najwyższe, lecz w gruncie rzeczy

najniższe, o ile chodzi o pracę. Ten rys specjalnej delikatności charakteru człowieka o wysokiej kulturze pozostał mi na zawsze we wspomnieniu wdzięcznego serca.

Cały okres pracy Gabrjela Narutowicza w ministerstwie spraw zagranicznych należał do tej fazy naszego życia państwowego, gdy Polska po zwycięskiej wojnie na wschodzie musiała zdobywać uznanie swoich granic przez świat zagraniczny. Byliśmy jeszcze w owe czasy, że tak powiem, w defenzywie w stosunku do wielkiego mnóstwa wątpliwości, podejrzeń i byliśmy objektem wielu tendencyj, chcących umniejszyć nasze prawa w stosunku do takiego lub innego obszaru, takiego lub innego terytorjum, takiej lub innej części naszego państwa. Dlatego potrzebowaliśmy wówczas zawsze wielkiego wysiłku zbiorowej woli, nieraz spokojnych nerwów i wytrzymałości i wreszcie, co główne, podtrzymywania szacunku dla naszych urządzeń, instytucyj, a przedewszystkiem dla rządu, który Polskę nazewnątrz reprezentował.

Niestety, wewnętrzne nasze życie, przesycone jeszcze miazmatami niewoli, z łatwością szerzenia kłamstw i oszczerstw w stosunku do wszystkich, reprezentujących państwo nazewnątrz, niezwykle ułatwiało robotę każdemu, kto chciał Polsce szkodzić. Pomimo to Gabrjel Narutowicz, pracując spokojnie i z olbrzymim nakładem wysiłków, przeprowadził obronę naszych interesów skutecznie i bez zarzutu. A właśnie na czas jego urzędowania przypadło zaognienie w jednej z najdrażliwszych kwestyj, w kwestji tak zwanej „Wschodniej Galicji". W tym bowiem czasie mieliśmy do przeprowadze-

nia tam wybory i pobór wojskowy, co wywołało zamieszki w tej części kraju.

Pracując, jako minister spraw zagranicznych, ponad siły, Gabrjel Narutowicz począł po pewnym czasie zapadać na zdrowiu. Serce miał chore, sklerozę dość daleko posuniętą, i brak powietrza oraz ruchu, do którego był się przyzwyczaił, zachwiały jego organizmem. Wzdychał za każdym razem do polowania, specjalnie gdy przyszła jesień, najrozkoszniejsza pora dla nemrodów. Coraz częściej po skończeniu referatu wyrażał nadzieję, że za kilka dni uda mu się wyciągnąć w pole, jak mówił, dla odpoczynku.

Niechybnie też ciążyły na nim warunki jego pracy. Zaczynał czuć się źle moralnie, zaczynała znikać jego poprzednia wesołość i beztroska. Nie czuł się tak swobodnie, jak dawniej, między ludźmi. Z szczęśliwego emigranta, przybyłego służyć Polsce, zmieniał się powoli w niespokojnego, „skwaszonego", jak dawniej o innych mówił, Polaka.

Najciężej jednak odczuwał Gabrjel Narutowicz mus zajmowania się rozstrzygnięciem pytania, kto ma być nowym reprezentantem naszym, jako prezydent Rzeczypospolitej. Wiedział o moim zamiarze niekandydowania na ten urząd bez względu na to, jak wypadną wybory. Nieraz słyszał kategoryczną moją decyzję, wyrażaną słowami, że gdyby jakimś trafem Zgromadzenie Narodowe składało się z najzaciętszych moich adoratorów, to i wtedy nie chciałbym sprawować dalej urzędu, który dotąd pełniłem. Nie zrażało go to i raz po raz wyszukiwał argumenty, aby mnie do zmiany decyzji skłonić. Powracał do tego tysiące razy, namawiając mnie to w ten, to w inny sposób. Im bardziej ter-

min się zbliżał, tem był natarczywszy, żądając nieledwie ode mnie decyzji według jego myśli. Prosiłem go nieraz, aby zaniechał dyskusji nad tym przedmiotem, gdyż zaczyna ona mnie drażnić i mogę stracić cierpliwość i zepsuć swoje dobre z nim dotychczasowe stosunki.

Głównym argumentem Gabrjela Narutowicza, którym w tych dyskusjach operował, a który i następnie działał na niego więcej, niż co innego, był wzgląd na nasze stosunki ze światem zagranicznym. Z tego punktu widzenia nie chciał żadnych zmian, gdyż twierdził, że w ten właśnie sposób najskuteczniej oddziaływujemy na opinję świata o nas. Mają, twierdził, złe o nas przekonanie, wyrobione smutną tradycją z czasów upadku Polski, jak również bardzo długo i systematycznie prowadzoną robotą naszych zaborców we wszystkich centrach kultury światowej bez wyjątku. Jesteśmy, mówił, sąsiadami dwóch wielkich narodów, które w stosunku do nas były do niedawna jeszcze panami, a teraz przez wojnę zostały rzucone w odmęt silnych tarć wewnętrznych i wzbudzają powszechny niepokój co do ewolucji, przez którą sądzono im przechodzić. Ten niepokój, twierdził, tyczy się również i Polski, i wszelka bardziej widoczna i jaskrawa zmiana wzbudza brak zaufania do nas i do dalszego naszego życia. A tymczasem mamy jeszcze wiele rzeczy do uregulowania, wiele spraw do rozsądzenia i zależność nasza od świata wiązać musi nam ręce nawet w naszych sprawach wewnętrznych. Z tego punktu widzenia głównie wywierał swój nacisk na mnie, z tego powodu żądał ode mnie, jak mówił, ofiary ze swej swobody.

Gdy wreszcie spostrzegł, że mojej decyzji nie złamie, zaniechał namowy, i tylko od czasu do czasu, jakby z wyrzutem i z obowiązku służby, podsuwał mi różne relacje, otrzymane z zewnątrz, a stwierdzające wyłuszczony powyżej pogląd. Zaczął się zresztą trochę denerwować. Musiał odpowiadać na setki interpelacyj, na mnóstwo pytań i bał się, że wykraczać może przeciwko zasadom lojalności czy to w stosunku do mnie, czy to w stosunku do swoich kolegów ministerjalnych — może wreszcie przestał dawać sobie radę ze swojem sumieniem.

Zapytał mnie wreszcie wręcz, czy mogę jakąkolwiek kandydaturę wymienić, któraby miała moje poparcie. Odmówiłem stanowczo, twierdząc, że sytuacja będzie jaśniejsza, gdy wybory się skończą i gdy będziemy wiedzieli więcej o opinji tych, którzy wybierają.

Wtedy wystąpił sam z nową kandydaturą. Kandydatem jego był nasz poseł paryski, Maurycy Zamoyski. Twierdził, że przewiduje przy nowych wyborach zaostrzenie, a nie zmniejszenie tarć wewnętrznych. Wydaje mu się, że najłagodniejszem przejściem do dalszego życia państwowego byłby właśnie Maurycy Zamoyski, który swoim łagodnym charakterem i miłem obejściem może wybrnie z trudnej sytuacji, jaką niewątpliwie mieć będzie mój następca w Belwederze. Prowadził o tej kandydaturze ze mną długie dyskusje, spokojnie biorąc i rozważając wszystkie pro i contra. Zawsze przy ostatecznym wywodzie stwierdzał, że u niego argumenty pro przeważają nad argumentami contra.

Wreszcie wybiła fatalna dla ś. p. Narutowicza godzina. Wybory się skończyły. Zgromadzenie Narodowe miało się zebrać i wszędzie dało się odczuć roznamiętnienie w związku z wyborem prezydenta Rzeczypospolitej. Gabrjel Narutowicz przypuścił po raz ostatni rozpaczliwy szturm do mnie, błagając wprost, abym zużytkował siłę charakteru i wytrwałość, gdyż po raz pierwszy w czasie wyborów, obserwując rozbujałe namiętności w stolicy, dojrzał to, czego nie chciał spostrzec w czasach swego optymizmu. Zdziczenie obyczajów, nabyte w długiej niewoli, zepsucie moralne pod wpływem długiej wojny, nieprzebieranie w żadnych środkach, bezwzględność w stosunku do czci i honoru każdego człowieka, brak szacunku zarówno dla siebie, jak i dla pracy — święciły w tej dobie swoje triumfy i boleśnie przerażały Gabrjela Narutowicza, nieobytego dotąd ze specyficznemi właściwościami naszego życia politycznego.

Wiedział, że dotąd obojętnie traktowałem wiele rzeczy, nad któremi ludzie rzadko przechodzą do porządku dziennego. Nieprzyzwyczajony z dotychczasowego życia w innym świecie do takiego traktowania ludzi i rzeczy, chciał widzieć w mojem postąpieniu nadzwyczajną siłę i moc panowania nad sobą, a nie, jak ja twierdziłem, zatwardziałą obojętność na brzydotę moralną naszego światka wewnętrznego.

Po mojej mowie pożegnalnej, gdziem wyjaśnił motywy swojej niechęci do kandydowania, spostrzegłem go, jak odwrócony plecami do wszystkich, przy oknie, ocierał łzy z oczu. Żegnał się ze światem, w którym dotąd produkcyjnie pracował,

żegnał się z pracą, z której był zadowolony, i czuł trwogę przed nieznaną przyszłością.

Przy najbliższej swej bytności w Belwederze oświadczył mi z przerażeniem, że wie o zamiarze postawienia jego kandydatury na prezydenta w Zgromadzeniu Narodowem. Zanim jakąkolwiek da odpowiedź, chciałby wiedzieć o mojem zdaniu co do kandydatur na urząd prezydenta. Powiedział mi, że pomimo dość wielkich starań nie mógł znaleźć poparcia dla kandydatury Maurycego Zamoyskiego i dlatego wątpi, by mógł on być wybranym.

Powiedziałem mu otwarcie, że jeżeli mój wpływ coś w Zgromadzeniu Narodowem będzie znaczył, to rzucam go na szalę na rzecz obecnego prezydenta, pana Stanisława Wojciechowskiego. Natomiast stanowczo mu odradzam, aby się zgodził kandydować i jako motyw podałem, że zadanie, jakie czeka prezydenta, będzie polegało przedewszystkiem na pracy nad wewnętrznemi stosunkami w Polsce. Do tego on, Gabrjel Narutowicz, jest najzupełniej nieprzygotowany ze względu na słabą znajomość stosunków polskich, zbyt małe zżycie się z niemi, oraz ze względu na zbyt łatwe ocenianie stosunków polskich na modłę europejską i stąd prawdopodobieństwo błędów, szkodliwych dla kraju, a niewątpliwie bardzo bolesnych dla niego. Gabrjel Narutowicz po wysłuchaniu moich argumentów powiedział mi, że chociaż wysunięta przeze mnie kandydatura nie wydaje mu się możliwą z powodu sporów między stronnictwami ludowemi, to jednak będzie pracował nad tem, aby została przyjęta, i że swoją kandydaturę wycofa.

Jeszcze w ostatniej chwili przed wyborem przyjechał do mnie, przerażony, stwierdzając, że we-

wnątrz tych stronnictw, które mogły rozstrzygnąć o wyborze, większość wypowiedziała się przeciw kandydaturze pana Wojciechowskiego, a za utrzymaniem jego kandydatury. Był bardzo wzburzony i mówił, że wbrew jego woli chcą włożyć na niego ciężar, któremu wątpi, by mógł podołać. Radził się mnie, co począć. Odpowiedziałem mu to samo, com mówił poprzednio. Radziłem odmówić stanowczo. Po paru godzinach doniesiono mi telefonicznie, że Gabrjel Narutowicz wybrany został przez Zgromadzenie Narodowe na Prezydenta Rzeczypospolitej.

Znacznie wcześniej przed wyborem Gabrjela Narutowicza doszły do mnie groźby różnego rodzaju. Wiadomości o przygotowywaniu zamachów stanu, czy to o terrorystycznych zamierzeniach w stosunku do mnie. Zarządziłem środki zapobiegawcze przeciwko pierwszym, nad drugiemi, jak zwykle, przeszedłem do porządku dziennego. Dochodziły też mnie wieści o przygotowywanych manifestacjach czy wystąpieniach ulicznych, lecz przyznaję, że nie brałem tego zbyt na serjo. Do tonu pism tak zwanych narodowych, pełnych jadu i oszczerstw, dawno byłem przyzwyczajony, jak również do krzyków i hałasów, o które tak łatwo w Warszawie. Nie sądzę dotąd, aby proste zarządzenia o charakterze wojskowym, chociażby dla oddania honorów nowoobranemu Prezydentowi, nie zapobiegły odrazu obrzydliwym pod względem moralno-politycznym, a nieudolnym pod względem wykonania burdom ulicznym, wywołanym przez niektórych posłów na ulicach Warszawy. Wątpię, aby Gabrjel Narutowicz przed swoim wyborem cokolwiek o zamiarze urządzenia burd wiedział, wątpię, aby brał je kiedykolwiek pod swe rozważania. Po-

znawszy go w ostatnich miesiącach jego życia dokładnie, jestem przekonany, iż w myślach jego przeważała europejska, że się tak wyrażę, ocena zjawisk politycznych i społecznych. Ręczę, że przed wyborem i w dzień samego wyboru w głowie nie powstała mu myśl, aby prawnie wybranego przedstawiciela państwa i narodu można było lżyć na ulicach lub zabijać. Specjalnie zaś, żeby to miało wychodzić z łona stronnictw tak zwanych prawicowych, które na całym świecie zwykle miały charakter obrony również tak zwanego ładu i porządku. Zmieniło się, coprawda, dużo pod tym względem w sąsiednich Niemczech, lecz było to wynikiem przegranej wojny i wszystkich moralnych skutków klęski. Łudził się Gabrjel Narutowicz pod tym względem, jak i przedtem, gdy oponował mojej rzekomej bezwzględności.

Po otrzymaniu od pana marszałka sejmu oficjalnego zawiadomienia o dokonanym wyborze, musiał nastąpić okres tych uciążliwych i przykrych układów o sposobie i terminach objęcia władzy przez nowego Prezydenta, zmian miejsc pobytu i wogóle całego życia osobistego. Jeżeli ja osobiście do tej rzeczy byłem najzupełniej przygotowany, to Gabrjel Narutowicz nie mógł w jednej chwili dać sobie z tem rady. Ociągał się z każdą rzeczą, odkładał każdy termin i proponował ciągle przedłużenie okresu przejściowego. Byłem w tej sprawie agresywny. Żądałem możliwie szybkiego załatwienia sprawy, gdyż pomijając niezręczną i fałszywą sytuację, w której się znajdowałem, chciałem w jak najkrótszym terminie wprowadzić w państwie prawny porządek rzeczy. Gabrjel Narutowicz sprzeciwiał się każdemu memu żądaniu. Uważał,

że musi uporządkować ministerstwo spraw zagranicznych tak, by je spokojnie mógł oddać swemu następcy; miał w kasie pieniądze, niezałatwione rachunki, a był pod tym względem bardzo skrupulatny. Wreszcie uczynił mi propozycję, by stan przejściowy trwał nie mniej, jak miesiąc. Nie zgodziłem się kategorycznie na tę propozycję i gdy teraz myślę, że może mu w ten sposób o miesiąc skróciłem życie, nie mogę się pozbyć wyrzutu i żalu, żem mu nie ustąpił.

Przejawiał w tych dniach nadmierną delikatność w stosunku do mnie. Szukał wciąż formuły i sposobu, któreby mi dały jakąś satysfakcję i ustaliły po wyjściu z Belwederu moją sytuację w świecie. Odpowiadałem zawsze, że wyjeżdżam zaraz do Wilna na odpoczynek, ażeby raz po tylu przejściach, które przeszedłem, mieć choć przez jakiś czas zebraną rodzinę koło siebie. Zresztą, co mówiłem mu otwarcie, nie chciałem, by się specjalnie moją osobą zajmował, bo stworzyłby tem dla siebie nowe przeszkody, które i tak piętrzyły się bardzo groźnie.

W tem ociąganiu się od ustalenia terminu objęcia władzy nie bez wpływu był stan zdrowia, który znacznie się pogorszył. Gabrjel Narutowicz jakby ociężał, chore serce nie dawało mu spokoju. Noce nieraz spędzał w fotelu.

Tymczasem przy moich osobistych kłopotach i próbach rozważania różnych dylematów życiowych, nie obserwowałem tak żywo, jak dawniej, tego, co dzieje się dokoła. Dlatego też nie wydałem żadnych poleceń, związanych z wyjazdem nowowybranego Prezydenta do sejmu na przysięgę. Wieczorem zarządziłem eskortę, nakazując wzmocnio-

ną ochronę powozu Prezydenta, gdyż doszły do mnie niejasne słuchy o zamierzonych demonstracjach przy jego przejeździe. Nie starałem się zbadać, co było napewno bardzo łatwe, ani rozmiaru, ani metody tej rzekomej demonstracji. Gdym się o zajściach na ulicach dowiedział i sprawdził ich szczegóły, przekonałem się odrazu, że zapobieżenie tym burdom było nadzwyczaj łatwe i zarządzenia mogły być wcale nieskomplikowane. Zajścia te, oburzające pod względem ich znaczenia politycznego, ociekające, jak zwykle, brudem i fałszem rzekomych patrjotów, miały w dodatku nieznany dotąd w Polsce przysmaczek maskowania się macherów przed odpowiedzialnością przy pomocy jedenasto i dwunastoletnich dzieci szkolnych.

Byłem natychmiast po zajściach z wizytą u Gabrjela Narutowicza. Siedział w fotelu, głęboko poruszony. Nie chciał mi opowiadać szczegółów. Wskazał mi rewolwer, leżący opodal, i powiedział: „Uprzedzono mnie, chciałem wziąć tę broń ze sobą, a strzelam bardzo celnie. Zostawiłem rewolwer na stole. Nie chcę się bronić!“ Była w tem gorycz głęboko zawiedzionego w swych uczuciach człowieka. Odrazu przypomniał tak częste rozmowy ze mną na temat mojej bezwzględności sądów. „Ma pan rację — mówił mi — to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tymi, kto karki im deptał i bił po pysku“.

Wyrzucił na stół kupę listów i kopert. — „Patrz pan!“ — zawołał.

Spojrzałem na niektóre. Były to anonimy wszelkiego rodzaju, pełne brudu, inwektyw, płaskich dowcipów, gróźb. Nie mogłem się wstrzymać od głośnego śmiechu. Gabrjel Narutowicz spojrzał na

mnie zdziwiony. — „A telefony? — zapytałem — dzwonki, rozmyślnie poplątane, zapytania, zadawane udanym żydowskim akcentem, czy zdarzają się już u pana?“ — Zerwał się z fotelu: — „Dokuczają już tem oddawna — zawołał — skąd pan wie o tem?“

— „Ależ, panie, — ja byłem w Polsce Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, więc wszy właziły zewsząd. Zwykłe rzeczy! To „narodowa robota“!

Istotnie było tak ze mną. Dodałem ostrzeżenie, że jeśli ma rodzinę lub wogóle przyjaciół lub osoby, które kocha, to będą miały te same wszy na ubraniu i że nie należy nic sobie z tego robić, bo to najlepszy środek.

Gabrjel Narutowicz nie mógł się z tem pogodzić. Rzucił się, aż go musiałem uspakajać.

— „Poco te brudy? — wołał. — Poco te brudy?“

Nie chciał potem wracać do tej sprawy i, jakgdyby śpiesząc do końca, ustąpił mi odrazu przy ustalaniu terminów, które przedtem tak często odkładał. — „Dla pana byłoby najlepiej wyjechać jak najprędzej — mówił mi, jakby na usprawiedliwienie. — Wytrzymał pan cztery lata, nie sądziłem, że to tak ciężko. Ja nie wytrzymam dłużej, jak rok“.

Nastawałem na to, by zaraz przeniósł się do Belwederu, gdzie będzie miał znacznie wygodniej, a ja będę mógł być spokojniejszy, gdyż z całą stanowczością i bezwzględnością nie dopuszczę, aby miejsce zamieszkania najwyższego reprezentanta Polski mogło się stać miejscem zajść ulicznych, przypominających dom publiczny. Odmówił. Ograniczyłem się więc do dania odpowiedniej straży dokoła jego domu.

Po objęciu ode mnie władzy Gabrjel Narutowicz wydał mi się nieco spokojniejszy. Spędziłem z nim w Belwederze dwa miłe wieczory, podczas których omawiał ze mną całokształt spraw państwowych. Nie sądził, by w tej zaognionej sytuacji mógł utworzyć rząd parlamentarny. Roznamiętnienie wyborcze, jakiego był świadkiem, nie pozwalało mu przypuszczać, aby w tych warunkach sejm był zdatny do owocnej pracy. Sądził, że trzeba pewnego czasu, by namiętności się uspokoiły i by normalniejsze życie nastało. Nie chciał, by wojsko, które w większej ilości sprowadziłem do Warszawy, pokazywało się na ulicach, miał bowiem nieprzezwyciężony wstręt do tego, by używać gwałtu i przemocy. Z pewną trwogą pytał mnie, naprzykład, o to, czy mi łatwo było zatwierdzać wyroki śmierci. Nie chciał się jednak, pomimo gorzkiej nauki, którą otrzymał, wyzbyć łagodnego optymizmu i jakiejś naiwnej wiary w szybką moralną naprawę ludzi. Pytał mnie, czym w początkach swego urzędowania mniej surowo sądził o ludziach i czym już tak z Magdeburga przyjechał bezwzględny i nieufny. A gdym mu powiedział, że jadąc do Warszawy z więzienia pruskiego, byłem wewnętrznie przekonany, że wiele z naszych wad niewoli natychmiast odpadnie i że wraz z odrodzeniem Polski odradzać się pocznie i dusza polska, ucieszył się, jak dziecko. Uchwycił się tych słów i, ściskając mi rękę, powtarzał po kilka razy: „I niech pan wierzy, niech pan wierzy, to być nie może, by ludzie byli tacy podli. Przecież jest niemożliwe, by bezinteresownej i wydatnej pracy ludzkiej nie szanowano!“.

Ostatnim aktem, wzruszającym mnie delikatnością uczuć, aktem, którego mi trudno zapomnieć, była propozycja, bym z pomiędzy pokoi w Belwederze wybrał jeden mi najmilszy. Chciał go zachować bez żadnej zmiany, tak, by on mu o mnie i o mojej pracy w Belwederze przypominał. A gdym mu wskazał mój pokój sypialny, w którym najcięższe chwile i najcięższe noce przebyłem, zaproponował mi odrazu, bym zostawił tam wszystkie swoje osobiste pamiątki i rzeczy, gdyż nie pozwoli stamtąd nic ruszyć dla zachowania o mnie pamięci.

Gdym go pytał o zdrowie, mówił mi, że czuje się lepiej, że jednak wolałby czas pewien odpocząć i mieć możność spokojniejszego zastanowienia się nad sobą i nad swoją najbliższą pracą. Niepokoił się głównie myślą, że wojsko odczuć musi brak reprezentanta wojskowego w jego osobie. Mówił mi, że nawet w Szwajcarji odczuwają potrzebę munduru i zewnętrznych odznak, aby mieć poczucie, że wojsko ma istotnie przełożonych i dowódców. Wracał także do planów myśliwskich, żałując, że w swej nowej sytuacji będzie w nich znacznie bardziej skrępowany. Kłopotem też dla niego było znalezienie swego następcy w ministerstwie spraw zagranicznych. Bał się, jak mi mówił, tego, czy się dobrze ułożą jego stosunki osobiste z ministrem tego resortu, do którego z trudnością nie będzie się mieszał w detalach, a nie przypuszczał, by mógł dla tego rządu znaleźć człowieka, równie dobrze zżytego z nim, jak ja z generałem Sosnkowskim.

We wszystkich rozmowach, które podczas tych dwóch wieczorów z nim prowadziłem, nie odczułem ani chwili, by przewidywał jakieś groźniejsze

dla siebie następstwa. Co do mnie, gdym spostrzegł koło swego mieszkania te same, co zawsze, podejrzane i ciemne figury o typie bolszewicko-narodowym, także się nieco uspokoiłem, przypuszczając, że dalej jestem wyłącznym celem kreciej roboty terrorystycznej.

Ostatniego wieczoru przed śmiercią Gabrjela Narutowicza nie byłem u niego. Zdecydowałem nie stwarzać wrażenia, że istnieje jakieś condominium władzy i że Gabrjel Narutowicz bez mojej rady nic nie decyduje i nie postanawia. Nazajutrz, gdym był w Sztabie, w Biurze Historycznem, otrzymałem wiadomość o zamordowaniu Prezydenta Narutowicza w gmachu Zachęty Sztuk Pięknych.

*

Zgasł! Gdym poszedł do Belwederu pożegnać się z przyjacielem, przygotowanym już do grobu, i usiadłem w sąsiednim pokoju, myślałem o przebiegu życia ś. p. Narutowicza.

Gdzieś, w dworze żmudzkim, panowała popowstaniowa żałoba; cichą skargę matki zamiast wesołej piosenki miałeś nad kołyską, gdy ojciec chmurny trwożliwie nadsłuchiwał dźwięku dzwonka w oddali, zwiastującego przybycie jakiejś władzy zaborczej. A potem ciche, rzewne, lecz uporczywe nauki rodziców — żyj, cierp, kochaj i pracuj. Uczono cię pokory, pokory nieszczęścia. Szeptano ci na ucho wspomnienia walk ubiegłych, pokazywano zatajone gdzieś zakazane obrazki. A potem?

A potem! Powędrowałeś w świat daleki. Nie zaznałeś z nami ani walk, ani nędzy niewoli. W walce nie pozbyłeś się sentymentalizmu swego dzieciń-

stwa, w brudzie niewoli nie zbrukałeś duszy, w pokorze nieszczęścia nie pełzałeś, jak gad, już nie łudząc despotów. Zakonserwowałeś gdzieś w szałasach szwajcarskich swe dziecinne i młode marzenia, swe dziecinne i młode zaufanie do ludzi, do ich dobrej woli. Przyniosłeś z sobą nakazy matczyne: żyj, kochaj, pracuj. Zamiast nakazu „cierp", przyniosłeś szczęście życia i pracy w wolnej od kajdan ojczyźnie.

Zginąłeś od kuli nie wrażej, o której może w dzieciństwie marzyłeś, — od kuli rodaków, do których niosłeś swą ewangelję miłości i pracy. Czy zginąłeś w ten sposób za to tylko, że takim byłeś, czy za to, że z brudem niewoli walczyć nie chciałeś, czy nie mogłeś?

VIII

O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGJONÓW

(5 sierpnia 1923)

Szanowne panie i panowie!

Z niezwykłą przyjemnością poruszam temat o wartości wojskowej żołnierza Legjonów. Przez dziesięć lat, będąc najprzód dowódcą oddziałów legjonowych, a potem Naczelnym Wodzem wojsk polskich, musiałem bardzo często zastanawiać się nad wartością żołnierzy, albowiem każdy dowódca musi w swoim własnym bezpośrednim interesie odczuwać i mierzyć ciągle wartość swych podwładnych. Niema, naturalnie, mowy, abym, będąc ograniczony czasem, wyczerpał temat i dostatecznie go dziejową naszą pracą poparł. Muszę zatrzymać w tych warunkach uwagę panów jedynie na fragmentach i urywkach oraz na najbardziej charakterystycznych cechach legjonistów.

Legjony powstały w dobie historycznej, która będzie jeszcze bardzo długo tematem roztrząsań dla wielu naszych pokoleń, zajmujących się badaniem tego ogromnego wstrząśnienia całej ludzkości, jakiem była wojna światowa, gdyż skutkiem jej było między innemi i ustalenie bytu niepodległej Polski.

Legjony były wojskiem. Nosiliśmy bowiem broń stale i broni tej używaliśmy dla zadania strat nieprzyjacielowi, który, naodwrót, i nam straty zadawał. Jak dawna jest ludzkość, równie dawne są wojny, równie dawni są żołnierze. Czy kiedykol-

wiek zabłyśnie przed ludzkością wymarzona idea wiecznego pokoju — tego nie wiem; dotąd mamy za sobą olbrzymią tradycję wojenną i olbrzymią tradycję żołnierską.

Wojska różnią się między sobą zewnętrznemi odznakami, językiem służby, zwyczajami i obyczajami, ujętemi nieraz w regulaminy. Różnice te są następstwem przynależności wojsk do takiego lub innego narodu, do takiego lub innego państwa. Byliśmy wojskiem polskiem, bośmy się odróżniali zewnętrznemi cechami od wszystkich wojsk, które nas otaczały, bośmy nosili specjalne polskie odznaki zewnętrzne, bośmy mieli język raportów i rozkazów polski, a obyczaje i zwyczaje nawet b a r d z o polskie.

Byliśmy wojskiem polskiem w 1914 roku, a tem samem w stosunku do swego narodu — nowatorami. Z tego nowatorstwa wypływały, jako konieczny skutek, pewne cechy, któreśmy sami w sobie wytworzyli i które w nas otoczenie polskie obserwowało. Ta nasza trwająca dotąd, niepomiernie bujna wesołość i nadmiernie burzliwy sposób manifestowania uczuć wynikają z tego, żeśmy byli nowatorami.

Wojsko polskie, któreśmy zaczynali budować, wypływało nie z woli i nie z chęci narodu polskiego. Nie czynię ani żadnych oskarżeń, ani żadnych do nikogo aluzyj. Traktuję rzeczy objektywnie, jak historyk. Ostatniem wojskiem polskiem, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 1863 roku. Poniosło ono klęskę, zostało rozbite i zgniecione. Przez 50 lat naród polski nie pragnął wojska. Z tych czy innych powodów nie ważył się na myśl tworzenia własnego wojska, a i w momencie wybuchu

wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, by stworzyć wojsko polskie. Świadectwem tego pozostanie fakt historyczny, że w pierwszych dniach wojny światowej stanęły pod broń dziesiątki, ba, setki tysięcy Polaków, którzy zgodnie z prawem państw zaborczych znaleźli się w szeregach, jako żołnierze armij obcych. Dlatego też my, występując na arenę dziejową, jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami — chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza.

Każde nowatorstwo ma swoje prawa psychiczne, niezmienne prawa duszy, dające się dostrzec u wszystkich nowatorów. Każdy człowiek, wnoszący w życie coś nowego, ma zadanie znacznie trudniejsze, niż wciśnięcie się fizyczne do tak napełnionej sali, jak ta, którą tu widzimy. W dziedzinie, do której nowa myśl, nowy czyn chce się wedrzeć, istnieją gotowe zdania, gotowe pojęcia, gotowe przesądy, gotowe formuły odsuwania rzeczy nowej, rzeczy, która dotąd nie istniała, rzeczy, która jeszcze nie wytrzymała próby życia. Dlatego wszyscy apostołowie czegokolwiek nowego, wszyscy reformatorzy życia, wszyscy odkrywcy muszą mieć wewnętrzną siłę, która im pozwala być tymi nowatorami wbrew oporowi otoczenia. Pierwszą więc ich cechą jest umiejętność wydobycia ze siebie wysiłków większych, niż przeciętne wysiłki człowieka, większej, niż przeciętna, energji. Bez tej niezwykłej energji i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych.

Drugą cechą, która z tego nowatorstwa wypływa, jest pewna przesada, pewna egzageracja w sto-

sunku do tego nowego zadania lub nowego pojęcia, które się do życia wnosi. Chcieliśmy dać Polsce żołnierza, którego Polska nie miała i nie tworzyła przez lat 50. Z tego powodu, jak z jednej strony wysiłki duszy musiały być tu większe, silniejsze i energiczniejsze, tak z drugiej — była w stosunku do tego usiłowania wprowadzenia rzeczy nowych skłonność do pewnej przesady.

Zwracam uwagę na te cechy: ilustrować je będę przykładami, obserwowanemi przez siebie stale i ciągle. Legjoniści odznaczali się jakgdyby pewną przekorą w stosunku do otoczenia, przekorą, która daje siłę i odwagę znoszenia największych ciężarów. Przekornie postanowiliśmy dowieść, iż możemy dokonać o wiele większych rzeczy, niż te, których od nas żądano. Chcieliśmy szczególniej dowieść zarówno sobie, jak i otoczeniu, oraz obcym, że polski żołnierz sam, bez żadnej obcej pomocy może powstać, że obca pomoc jest dla nas niepotrzebna i szkodliwa. Ta walka z obcym wpływem, walka z obcymi — w życiu naszem legjonowem przewija się, jak czerwona nić, tworząc nieraz tragedje ludzi, tworząc nieraz walki wewnętrzne i walki z całem otoczeniem. Chcieliśmy sami ze siebie wytworzyć te wartości, które stanowią dobrego żołnierza. Walka z ówczesną austrjacką komendą, noszącą inne, niż my, mundury, a zatem przypominającą nam obce wojska, stanowi bodaj jedną z najpoważniejszych stronic historji Legjonów w czasie ich tworzenia się i dalszego życia. Walka ta była wynikiem przekory, wynikiem przesady w stosunku do postawionych sobie zadań. Szliśmy przeciw mniemaniu całego polskiego społeczeństwa, które w nas, wychodzących

ze swej własnej szkoły, ze swych własnych usiłowań, nie chciało widzieć ani zdatnych żołnierzy, ani zdatnych dowódców. Dobijaliśmy się o uznanie nas, jako dobrych żołnierzy, o uznanie przez nas samych, potem przez otoczenie, wreszcie przez najsurowszych sędziów. Usiłowania te stanowią, zdaniem mojem, najsilniejszy ruchotwórczy czynnik Legjonów.

Wiem, że w ten sposób może rozwiewam pewne legendy, które powstanie i trwanie Legjonów wywodzą z szacownych uczuć, z wielkich idej. Lecz wielkie idee i wielkie uczucia są świętem, a życie codzienne, życie każdej chwili wymaga innych czynników, jeżeli ma ono utrzymać się na pewnym poziomie i pewnym stopniu. Śledząc uważnie życie legjonowe, przychodzi się do przekonania, że najsilniejszym czynnikiem, najsilniejszym motywem duszy, który przy życiu utrzymywał Legjony i który dał tak wybitne rezultaty, była nasza ambicja wewnętrzna. Ambicja ta żarła ludzi, starających się dowieść swemu otoczeniu i światu, że sami potrafimy zrobić z nas dobrych żołnierzy, wbrew opinji Polski. Cechą bowiem charakterystyczną ówczesnego społeczeństwa polskiego był głęboki brak zaufania do tego wszystkiego, co jest polskie, i głęboka wiara we wszystko to, co niepolskie.

Przytoczę fakty najbardziej charakterystyczne, dowodzące, jak silna była nasza ambicja stania się dobrymi żołnierzami. Chcę być ścisłym pod względem historycznym, nie chcę się opierać na legendach, lecz na faktach, które sam widziałem, sam obserwowałem, sam analizowałem i jestem pewien, że one były. Dlatego najwięcej przykładów przytoczę z życia I Brygady.

Wojsko, gdy wyrusza na wojnę, zaczyna od pracy, od której myśmy zacząć także musieli, od tak zwanej mobilizacji. Zaopatrzenie żołnierza we wszystko, co mu jest potrzebne do prowadzenia wojny, wyznaczenie miejsc koncentracji, najdogodniejszych dla rozpoczęcia zgóry przewidzianych ruchów operacyjnych, jest pierwszą pracą żołnierską, która przez żołnierzy dokonana być musi. Przystąpiłem też i ja w Krakowie do mobilizacji. Lecz, moi panowie, w jakich warunkach! Nie miałem ani koszar, które są miejscem zbiórki, ani augmentacyjnych magazynów, z którychby można dostarczyć wyekwipowania dla żołnierzy, nie miałem nawet wygodnej kancelarji, gdziebym sam albo wyznaczeni przeze mnie ludzie mogli zasiąść do trudnej pracy. Ta szalona robota mobilizowania, gdy nad głową stoi wyznaczony termin, na który trzeba być gotowym, ta masa szczegółów, które się narzucają i które przepracować trzeba, jest jednym z najcięższych wysiłków oficera i żołnierza. Robota ta wysysa z każdego oficera wszystko, co człowiek dać może, i na podstawie wszystkich wspomnień ludzi, którzy przechodzili przez mobilizację, wiem, że po jej wykończeniu siadali do wagonów śmiertelnie znużeni, o niczem myśleć już niezdolni. Dokonywałem tej pracy w warunkach tysiąc razy gorszych, niż moje otoczenie. Wiedziałem dobrze, że jestem obserwowany przez oczy niechętne, które zamierzały wydać sąd surowy o mnie i moich żołnierzach. Liczba, którą mogłem zorganizować, odpowiadała mniej więcej słabemu pułkowi na stopie wojennej. Postawiłem oddział w tym samym terminie, w jakim mobilizowały się pułki

armji tak zwanej regularnej. W cztery dni robota była skończona i wydano rozkazy do marszu.

Przyszedł pierwszy marsz. W myśl rozkazów austrjackich władz wojskowych miałem dotrzeć tylko do małego miasteczka Jędrzejowa. Marsz stukilometrowy, rozłożony na 4 do 5 dni, uciążliwy, bo odbywany pod grozą kontaktu z nieprzyjacielem. Z krótkich słów, które usłyszałem od wojskowych władz austrjackich przy odbieraniu ostatecznych informacyj, wywnioskowałem, że władze te do mnie i do moich żołnierzy żadnego zaufania nie mają i że, wyznaczając mi ten Jędrzejów, nawet nie wierzą, bym mógł tam dotrzeć. Dlatego może nie wyznaczono nam żadnego dalszego celu marszu. Co więcej, dalej poza Jędrzejów posunąć się nam nie było wolno. Kielce, najbliższe większe miasto, zostało wyznaczone w planie koncentracyjnych sztabów państw centralnych, jako punkt styczny wojsk niemieckich i austrjackich. Nie chciano tam widocznie dopuścić jakiegoś „bałaganu" o charakterze polskim, nie chciano pomiędzy oddziały austrjackie i niemieckie wpuszczać do tego styku jakiegoś niewyraźnego elementu, jakim niechybnie bylibyśmy nietylko dla dowództwa austrjackiego, ale i dla wszystkich. Z rozmowy pomiędzy oficerami austrjackimi wywnioskowałem, że według ich przekonania dalej poza Jędrzejowem będziemy, mówiąc ich technicznym językiem, *überrannt* przez austrjacką kawalerję. Dzięki przekornej naturze legjonowej postanowiłem nie dopuścić, by nas wyprzedzono. Natychmiast wydany został rozkaz jak najszybszego marszu, żeby nie dać się prześcignąć kawalerji, ale odwrotnie, aby nasze piesze oddziały kawalerję wyprzedziły. Nie

powiem, abym chciał teraz zachwalać swe czyny; miały one w sobie dużo lekkomyślności i nieostrożności. Plan jednak został w czyn wprowadzony. Strzeleckie oddziały awangardy weszły do Kielc pierwsze i dopiero później zjawiła się awangarda kawalerji w postaci szwadronu dragonów austrjackich. Byliśmy w Kielcach pierwsi.

Wieczorem tego samego dnia, w którym weszliśmy do Kielc, nastąpił kontakt z nieprzyjacielem, znacznie liczniejszym i rozporządzającym w porównaniu z nami przepychem ekwipunku i uzbrojenia, armatami i karabinami maszynowemi, których myśmy nie posiadali.

Nastąpił natychmiastowy bój. Nie dowodziłem nim, zostałem bowiem odwołany na tyły dla omówienia spraw politycznych i komendę tej awangardy sprawował w mojem zastępstwie dzisiejszy generał Sosnkowski. Awangarda, licząca 500 strzelców, przyjęła bój, którego nasi sojusznicy, czyli szwadron austrjacki, rozumniej nie przyjął i cofnął się, z czego oczywiście nie można mu było czynić zarzutu. Sosnkowski wdał się w bój, mając przeciw sobie całą dywizję kawalerji. Bitwa trwała niedługo; Sosnkowski okazał się rozważnym i wolał nakazać odwrót. Pod naporem całej dywizji nieprzyjacielskiej cofa się on, ale cofa się powoli. Wracając z Krakowa w drugim dniu odwrotu, spotkałem oddział strzelecki w Chęcinach, oddalonych od Kielc tylko o 15 kilometrów.

Zatrzymuję się na tem pierwszem wystąpieniu Legjonów na arenie żołnierskiej nie dlatego, abym siebie miał wywyższać, ale dlatego, że ten pierwszy fakt, którym zaczęliśmy naszą pracę żołnierską, został natychmiast uznany nie przez polskie

otoczenie, lecz przez dowództwo austrjackie. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z oficerów, który z obowiązku służbowego nas obserwował, mówił mi, że w sztabie armji austrjackiej nigdy nie przypuszczano, by oddziały nasze okazały się zdolne do takiego marszu. Uważano, iż ten, że tak powiem językiem austrjackim „cywilbagaż" nie jest zdolny do zrobienia marszu nawet do Miechowa i musi się rozsypać po drodze. To też marsz nasz był dla władz austrjackich niespodzianką.

Później, gdy w Kielcach stały obok oddziałów naszych i oddziały austrjackie, ta sama przekora i chęć ambicji, która mnie wraz z moimi żołnierzami ogarnęła, kazała mi zająć na swą kwaterę pałac gubernatora. Zgodnie ze zwyczajami wojennemi najokazalszy budynek zajmuje na kwaterę ten, kto jest rangą najwyższy. W ten sposób siłą faktu, bo wyrzucić mnie z pałacu nie ośmielono się, zdobyłem pozory wyższości. To też Austrjacy i Niemcy przychodzili do mnie z pokorą, uważając widocznie, że skoro mieszkam w pałacu, to tem samem jestem już wyższy. I nie mogę zapomnieć goryczy, jakiej doznałem, gdy przejeżdżając później przez Kielce, tłukłem się na przedmieściu, gdy inni ten pałac zajmowali.

Z Kielc trzeba było się wycofać. Wziąłem na siebie rozmyślnie najtrudniejszą pracę żołnierską, pracę arjergardy, pracę osłaniania odwrotu. Jest to najtrudniejsze zadanie, jakie spaść może na żołnierzy i dowódcę. To owa przekora i ambicja legunów pchała mnie do tego, aby wziąć na swoje barki najbardziej odpowiedzialną robotę. Przy cofaniu się na Wisłę, podczas przeprawy, stale zatrzymywaliśmy odwrót. Zatrzymywaliśmy ponad mia-

rę zakreślonego czasu. Przeszliśmy przez most w Szczucinie pod grozą, że nam go ztyłu spalą. Rozmyślnie nadużywałem sił młodych żołnierzy dlatego, że szybciej dążyłem do triumfu braci legjonowej, że szybciej dążyłem do uznania naszej własnej, z nas samych powstałej, pracy żołnierskiej. Pamiętam smutne przejście przez most. Ziemia obiecana, na której obiecywaliśmy sobie wyrość w większą siłę, została opuszczona. Dano nam rozkaz osłaniania odcinka Wisły w łączności z całem mnóstwem wojsk innych. Rozkaz ten doskonale pamiętam. Dla podniesienia dzielności wojsk austrjackich głosił on, że wróg wtargnął w granice „ojczyzny", polecał obronę słupów granicznych austrjackich. Dla zachęcenia nas, legjonistów, dodano do tekstu niemieckiego ustęp polski, stwierdzający i dla nas wagę „granicy", „ojczyzny", którą była Wisła, dzieląca dwa zabory. Na szczęście duch rozkazu uprawniał mnie do nowych niebezpiecznych przedsięwzięć. Nakazywał on prowadzenie obrony ofenzywnej, to znaczy dopuszczał akcję na lewym grzebu Wisły, pozwalał przerzucać wojska przez rzekę zpowrotem do tego kraju, który nie jest jakoby naszą ojczyzną. A z fortecy krakowskiej nadszedł rozkaz, by zniszczyć wszystkie środki przeprawy przez Wisłę. Naskutek tego rozkazu zaraz z prawa od nas spłonął most w Szczucinie. Stanałem w obronie tych środków przeprawy przez Wisłę, chcąc bowiem przejść rzekę, trzeba było mieć możność przeprawy. Pamiętam, jak w tym właśnie czasie ówczesny porucznik, a dziś pułkownik Dreszer, nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek środka przeprawy, rozebrał się wraz z patrolem do naga i z bronią w ręku przeprawił

się na drugi brzeg Wisły. Dotąd czyn ten wspominany jest z dumą i dotąd jest on tematem żartów, że Dreszer ma dziwny pociąg do rzeki, że przez każdą rzekę wpław się przeprawia, chociaż ma most obok. I ten mały epizod świadczy o tej dziwnej przekornej naszej chęci wykazania swej wartości żołnierskiej, wartości nieprzeciętnej, zdatnej do czynów nadzwyczajnych. Jeżeli bowiem jako nowatorowie chcieliśmy stwarzać rzeczy nowe, to musieliśmy dawać dowody, że stać nas na większe wysiłki, niż normalne.

Powiem tu jeszcze o pierwszem wrażeniu na widok ran, tych rzeczy zwykłych zresztą i codziennych na wojnie. Moi panowie, wśród legjonistów rany były rzeczą nieledwie codzienną, ale to pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok rannych, jest niezmiernie silne, chociażby rany były nawet lekkie. Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka okrwawionego i słyszy wokół strzały — ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły bataljon przeprawiał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem triumf i dumę, że są żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tem swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zlany. Gdym go spytał: — Cóż to wam, chłopcze? — Odpowiedział wesoło i dumnie: — A w głowę mnie trafiło, głowa mocna, wytrzyma.

Po tych pierwszych wrażeniach wojny szły jedne za drugiemi ciężkie chwile. Widziałem złamane

charaktery, złamane serca od jednego ciężaru i nacisku, serca, w których wojna zdusiła wszystko to, co było w nich najlepszego, zrobiła z człowieka odważnego — podłego tchórza, z człowieka silnego — płaczącą babę. Przeszliśmy tyle rzeczy, tyle nauk, tyle doświadczeń. Przyszedł koniec 1914 roku. Po ciężkich bojach, po przegranej bitwie wojska austrjackie cofały się rozbite. Powierzono mi znów zaszczytną misję, abym stanął w arjergardzie, gdyż w ciężkich chwilach byliśmy, my, żołnierze polscy, najpewniejszą jednostką, na którą można było włożyć największe ciężary. Pamiętam mękę odwrotu, noce nieprzespane lub spędzone przy stole, gdy zasypiało się momentalnie, tak, jak się siedziało na krześle. Pamiętam dokładnie, jakie wrażenie na mnie sprawiały te cofające się szeregi bataljonów przerzedzonych, żołnierzy kaszlących, jak owce, robiących wrażenie szpitali, pędzonych przez lasy. Bataljony topniały. Oficerowie, śmiertelnie znużeni, przemęczeni do niemożliwych granic pod wrażeniem pierwszego wielkiego boju, gdzie grała artylerja, gdzie sypały się granaty. Widziałem, jak serca ludzkie się łamały. Widziałem żołnierzy, niegdyś pewnych siebie i hardych, a obecnie ukrywających się w lasach i czekających hańby poddania się do niewoli.

W całym tym odwrocie z moich żołnierzy byłem dumny, albowiem mogłem zrobić z nimi wszystko, co chciałem. Mogłem po skończonym odwrocie spokojnie dać zaraz rozkaz marszu naprzód. Gdy komenda austrjacka zwróciła się do mnie z prośbą, abym moich żołnierzy naprzód prowadził dlatego, że nikt z regularnej armji naprzód już iść nie chce, byłem jedynym, który z kilku bataljonami śmiało

poszedł szukać nowego kontaktu z nieprzyjacielem. A za mną poszli moi dumni chłopcy, dumni, że tak wielką wartość żołnierską posiedli, poszli ze śpiewem, pogardę rzucając austrjackiemu otoczeniu.

Pamiętam, że w tym czasie widziałem jeden obraz Kossaka. Artysta ten służył wtedy przy 1-ej armji austrjackiej, do której i myśmy należeli. Obraz nosił tytuł: *Legjonista* czy *Jeńcy*. Przedstawiał on młodego chłopca w mundurze legjonowym, dumnie opartego o karabin. Za nim w szarych szynelach kilku jeńców rosyjskich, przewyższających o głowę młodego żołnierza o dziecinnej twarzy i dumnych oczach, patrzących w dal. Obrazek — jak wiele innych. Kossak w rozmowie ze mną stwierdził, że dzieło to namalował, podpatrzywszy tę scenę z życia. Zwróciłem specjalnie uwagę na wyraz twarzy młodego żołnierza z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odblask woli, stanowczości, decyzji — znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej.

Minęło kilka miesięcy, mieliśmy już dobrą markę, mieliśmy uznanie. Legenda i sława wzięły nas na swe skrzydła i niosły naprzód. Jeśli jest w legendach coś fałszywego, to one naprzód daleko nie zajdą, wstrzymają się u wrót serca. Nasza sława i legenda przed temi wrotami się nie zatrzymały. Poszło przedewszystkiem za nami to, co jest najpiękniejsze w kulturze ludzkiej, — poszła sztuka. Moi panowie, poezja twór-

cza należy do tych dziedzin ducha, które, mówiąc słowami Słowackiego „owija się, jak bluszcz koło dębu", owijają się, jak bluszcz koło wielkiego wysiłku ludzkiego. Im większy wysiłek, im większa praca ducha ludzkiego, tem silniej szuka poezja i sztuka dla swej twórczości motywów z tego nienikczemnego życia. Przedewszystkiem twórczość o charakterze tak zwanym ludowym buchnęła, jakgdyby żywym płomieniem, z tego źródła nowej mocy, nowej twórczości, nowego wysiłku ludzkiego, który się uosabiał w Legjonach. Nie znam epoki bardziej udatnej, bardziej silnej pod względem twórczości poezji żołnierskiej, jak nasz okres legjonowy. Dotąd piosenka legjonowa jest nabytkiem całego narodu. Dotąd żołnierz w wojsku polskiem, gdy Legjony już minęły, śpiewa nasze pieśni; śpiewa to, co grało w naszych duszach, żyje, bawi się, robi to, cośmy ongi robili na ziemiach polskich. Kulturę polską ożywiły pieśni żołnierskie, wycisnęły i wyciskają tyle obcych nabytków, przejętych przez polskich żołnierzy z armij obcych. Jeżeli pieśń ma jakieś znaczenie, jeżeli to, co jest piękne, co odpowiada głębokiej potrzebie duszy, ma jakiś wpływ, to pieśń żołnierska jest tem wielkiem, trwałem ogniwem, które zapewnia życie Legjonom, dopóki istnieje żołnierz polski. Tyle tych pieśni! Można śledzić historję Legjonów, studjując ich pieśń. Każdy bataljon miał swoje zbiorowo układane pieśni, do których ciągle dorzucał nowe słowa, dodawał dowcipy. Tworzyła się ta pieśń tak, jak ongiś tworzyła się pieśń ludowa. Ta pieśń żyje dotąd, jako rzecz nabyta, jako rzecz żywa i trwała.

Weźmy malarstwo. Nie wiem, czy jest wogóle większy malarz polski, który sił swoich nie próbował w dziedzinie życia legjonowego, któryby, jak ten bluszcz, nie oplątywał się koło życia, świadczącego o sile, o energji ludzkiej i bezwiednie dlatego pociągającego sztukę, bezwiednie pociągającego piękno.

A cóż mówić o kobietach? Nie czekam w tym wypadku uśmieszków, świadczących o brudzie duszy. Mówię o kobiecie, jako o pięknie życia. Mówię o kobiecie, jako o istocie, która daje często lepsze, szlachetniejsze pobudki, która daje radość życia mężczyźnie. Pierwsze poszły za nami kobiety. Kobiety odczuły silnie piękno życia, odczuły tę przekorę legunową, która szła wbrew całemu światu, która szła przebojem przeciw własnemu społeczeństwu, żądając od niego, jeżeli nie uznania, to szacunku dla polskiego żołnierza. Wślad za nami, trop w trop za naszym żołnierzem idą kobiety, oczarowane pięknem duszy, pięknem wartości moralnej, którąśmy z siebie wydobyli. Śmiać się można z przesadnych nieraz zachwytów i adoracyj, jakie nam towarzyszyły, lecz są one świadectwem głębokiej wartości wewnętrznej tego przejawu życia polskiego, jakim byliśmy.

Moi panowie, to piękno, ta poezja życia, którą myśmy stworzyli, miała pewne cechy, które narzucały się otoczeniu w sposób nieprzeparty, tak nieprzeparty, że chcę wskazać na żywe przykłady oddziaływania tego uroku. Szliśmy krajem, gdzie, gdy mówiono „nasze“ wojsko, to mówiono o tych, którzy nas zabijali. Tam więc, gdzie nie szło o polityczną stronę naszego ruchu,

gdzie nie odgrywał roli stosunek do tak zwanej idei legjonowej, tam, gdzie, przeciwnie, widoczna była niechęć do nas, niespokojnem okiem szukałem w duszy polskiej śladów wpływu piękna, któreśmy nieśli, szukałem tych śladów, badając i pytając. Pamiętam postoje po wsiach polskich, postoje dłuższe i krótsze po długich skomplikowanych naszych marszach i kontrmarszach. Za każdym razem badałem uważnie, jaki ślad w ludziach zostawia nasz pobyt. Przychodzili do mnie, jak zwykle do władzy, ludzie ze skargami. Gdzież bowiem jest żołnierz, który zazdrosnem okiem nie śledzi takich stworzeń, jak kura i gęś? Gdzież jest żołnierz, który bodaj okiem pożądliwem nie spogląda na konia? Gdzie jest żołnierz, który dowcipem lub gwałtem nie wyciągnął od gospodyni jedzenia? Takimiż byli i moi żołnierze. To też nic dziwnego, że ludność przychodziła ze skargą lub prośbą, żeby takich rzeczy nie czyniono, żeby w taki czy inny sposób szkodę wynagrodzono, lub chociażby kwit jakiś wydano. Za każdym razem zapytywałem, za każdym razem badałem, jaki jest stosunek ludności do mego żołnierza. I tak żywo pamiętam, jak w każdej nieledwie wsi, kobieta, przychodząca ze skargami, zasłoniwszy się wstydliwie fartuchem, mówiła: „Takie wesołe wojsko". Ten urok wesołości, ten urok żartu, ten urok żołnierzy, idących na śmierć z uśmiechem na ustach, w ostatniej chwili obejmujących w uścisku dziewczynę, w ostatniej chwili rzucających słowa wzgardy dla tchórza, to jest typ, jaki się wytworzył w Legjonach.

Pamiętam oto takie, naprzykład, obrazy. Było to w kraju, który obecnie wchodzi w granice naszej Rzeczypospolitej, lecz w którym, ściśle mówiąc, Polaków było względnie niewielu. Jest to Polesie Wołyńskie. Staliśmy tam bardzo długo, poznaliśmy ten kraj dokładnie. Ludności było tam bardzo mało, zostały jakieś niedobitki osiedli ludzkich, które i tak topniały pod gorącym oddechem wojny. Niknęły sioła, niknęli ludzie. Zniszczenie na całej linji. Smutny obraz ożywiało tu i owdzie na drodze spotkane drzewko owocowe, kwitnące, mimo, iż śladu osiedli ludzkich w okolicy tej już nie było. Zostało jako świadectwo, że gdzieś tu mieszkał człowiek, że gdzieś tu człowiek pracował, że gdzieś tu pot swój do ziemi wlewał, z którego wykwitł ten kwiat owocowy. I pamiętam, jaką radość i życie wnosiły do tego pustkowia najbujniejsze charaktery, najweselsze bractwo, kochankowie wszystkich kobiet, drapieżni na cnotę niewieścią, młodzi chłopcy ułańscy. Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów tak zwanych Beliniaków. Zdumiony byłem tem, co się tu dzieje. Jest tu życie! Nawet kury chodzą, co było zjawiskiem zupełnie niesłychanem. Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu, jak na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było życie — w ponurym obrazie wojny. To ułani polscy zachowali wieś od zniszczenia, to ułani polscy w smutki wojny wnosili radość.

Przejdę do innych przejawów pracy żołnierskiej. Mam na myśli stosunek ułana do konia. Czytałem całe tomy literatury, traktujące o tem, jak jazda powinna konie szanować i jak trudno ludzi do tej cnoty żołnierskiej doprowadzić. Oficer musi ciągle czuwać, by doglądano koni. Gdy zmęczony jeździec stanie na odpoczynku, na oficerze leży obowiązek przypominania ułanowi, że koń idzie przed jego potrzebami snu czy wytchnienia. Dla naszej kawalerji te grube tomy nauk i przestróg, spisanych na podstawie wojennych doświadczeń narodów, były niepotrzebne. Nasz ułan legjonowy konia kochał więcej, niż kobiety, a kobiety kochał szalenie. Konie były skarbem duszy ludzkiej, konie były towarzyszami żołnierza. Wygoda konia obchodziła go więcej, niż życie i rany własne. Konie ratował od zguby, z końmi się bratał, robił z nich jakąś, wyśmiewaną zresztą przez wszystkich piechurów, poezję końską. Ułan wydobywał ze siebie najwyższe wartości wojskowe, by sława ułańska, sława jazdy polskiej, żyła po wieki. Ułan, któremu piechur krzyczał: „Ułan! drogi nie znasz, zapytaj się konia“ — ten biedny ułan, przedmiot kpin i żartów innych rodzajów broni, cackał się ze swoim koniem, cieszył się nim, jak dzieckiem, tak, że każdemu innemu wojsku za wzór żołnierza służyć będzie. Na dowód zabawny obrazek. Idą ułani do kuchni w porządku po jadło. Spostrzegam z przerażeniem, że jeden z żołnierzy idzie po jadło z putnią, z której poi konia. Zawołałem komendanta szwadronu i robię wymówki, że żołnierz je obiad z putni, z której pije koń, stworzenie, stojące niżej od istoty ludzkiej.

Na to komendant szwadronu odparł, że jest to wielki honor dla ułana, jeżeli jada z tego samego naczynia, co jego koń. Ta przekorna przesada w trosce o konia raz jeszcze stwierdza tę charakterystyczną cechę, jaka się wytworzyła w psychologji naszego żołnierza.

Znałem w Legjonach chłopców, którzy w tornistrach nosili bardzo cudaczne rzeczy. Nigdy nie mogłem zrozumieć tej manji zbierania rupieci w rodzaju odłamków szrapneli i noszenia tych ciężarów, kiedy i tak już ciężka była normalna zawartość tornistra. Pasja ta doprowadzała ludzi do tego, że woleli wyrzucać środki żywności, aby tylko nie pozbyć się swoich dziwacznych pamiątek. Pamiętam niezapomniany dla mnie obrazek, gdy żołnierze, idący pod ogniem artylerji do kuchni, ukrytej w lesie, przy każdym strzale armatnim przystawali, rozglądali się po gapiowsku dokoła i pytali się siebie, gdzie pociski upadły. Krzyczeć trzeba było na nich, aby się nie narażali tak głupio na strzały. Była to ciekawość dziecka-żołnierza, ciekawość człowieka, szukającego nowych doświadczeń; prowadziła ona do najbezsensowniejszych rzeczy, przeczących instynktowi samozachowawczemu. To też nigdy w Legjonach nie brakowało ochotników do akcyj najryzykowniejszych; zawsze było ich za wielu i zawsze trzeba było robić wybór, krzywdzący tych, którym najtrudniejszych robót nie wyznaczano.

Muszę wspomnieć również o zachowaniu się naszych rannych i chorych. Lekarze obcy bardzo często mówili mi: — Co tam jest właściwie w tych waszych Legjonach? Żołnierze niedole-

czeni, żołnierze, których lekarze zatrzymywali w szpitalu, wracali do pułków, wracali do kompanij, wracali do szwadronów, uciekali poprostu ze szpitali do wojska, szukając no nowo tych ran, szukając na nowo triumfów żołnierskich. Pamiętam moją rozmowę z jednym z wybitnych lekarzy wiedeńskich, odbywających w charakterze chirurga inspekcję szpitali. Zastanowiło go to, że legjoniści znoszą operacje znacznie łatwiej, przechodzą rekonwalescencję znacznie szybciej, niż wszyscy inni żołnierze. Tłumaczył to tem, że przychodzą oni do operacji w znacznie lepszym nastroju, niż ogół żołnierzy austrjackich. Jedynem marzeniem naszych rannych i chorych było jak najprędzej uciec ze szpitala, uciec, jak mówili, do domu. Domem tym był pułk, domem tym była kompanja, domem tym byli towarzysze broni.

Legjony miały zdolność asymilowania — często zupełnie mimowolnego — żywiołów obcych. Oto zabawny przykład takiej asymilacji. Pewien wiedeńczyk przyplątał się w jakiejś katastrofie wojennej do jednego z bataljonów I Brygady i stał się „dzikim“ legjonistą. Po pewnym przeciągu czasu nie chciał w żaden sposób nas opuścić i dopiero, bawiąc pod Wiedniem na urlopie, został aresztowany za wymyślanie Austrjakom od urodzonych tchórzy, czego nauczył się od swych legjonowych kolegów. Ta dziwnie silna asymilacja, która porywała za sobą naiwne dusze, robiła ni stąd, ni zowąd z człowieka obcego legjonistę tak wiernego, że, będąc rannym, wracał z ambulansu natychmiast do szeregów, twierdząc, że woli umrzeć z kolegami w polu, niż sie-

dzieć w szpitalu, skoro ma tylko lekką ranę. Drugi fakt asymilacji jest jeszcze ciekawszy. Zabłąkał się jakiś wirtemberski żołnierz. Pułk jego poszedł gdzieś dalej, a on, szukając go, pozostał wtyle i przyczepił się do biwaku legjonowych saperów. Ci przebrali go, i odtąd chodził w maciejówce z orzełkiem. A ponieważ saperzy potrzebowali wołów roboczych, przeto chętnie pozostawili go u siebie. Wirtemberczyk był również bardzo zadowolony i twierdził, że trafił do świetnego i wesołego wojska. Zasymilował się tak dalece i tak głęboko, że zapomniał o prawie niemieckiem, karzącem za dezercję. Bawił u nas przeszło pół roku i wówczas zaczął pisać listy do rodziny, które go zdradziły. Do Komendy I Brygady przyszło nagle od pułku wirtemberskiego żądanie wydania owego żołnierza dla odpowiedniego ukarania.

Ten sam proces asymilowania odbywał się nie w jednej I Brygadzie; był on nawet może silniejszy w II. Tam było zawsze mniej politycznych motywów, samodzielnie przez legjonistów wysnutych, nie było tam mnie, jako przedstawiciela politycznej przekory w stosunku do małych ambicyj polskich w społeczeństwie. Natomiast bardziej jaskrawo, bardziej wyraziście wypiastowano tam myśl o żołnierzu, zajmującym się prawie wyłącznie swym fachem i przeróbką siebie na dobrego żołnierza. W III Brygadzie, sformowanej później, niż inne, ludzie wypracowali typ pośredni, bardziej zresztą do typu I Brygady zbliżony.

Zyskaliśmy wkrótce sławę dobrych żołnierzy, a przechodząc przez rozmaite, coraz to różnorod-

niejsze koleje, doskonaliliśmy się coraz bardziej. Natomiast komplementem stałym i ustawicznie w stosunku do nas powtarzanym był zarzut *undisziplinierł*. Pozwolicie, panowie, że przedstawię taki obrazek braku dyscypliny, który zdarzył się właśnie tutaj, we Lwowie. Było to po ciężkich bojach wołyńskich, kiedy zachorowałem na influenzę i tutaj, pod Lwowem, odbywałem rekonwalescencję. Wtedy miałem sposobność być podejmowanym przez komendanta miasta. Spotkałem się na przyjęciu z rozmaitymi oficerami. Jeden z nich opowiadał mi o fakcie następującym: o północy, to znaczy w porze, w której porządni żołnierze nie chodzą po mieście, spostrzegł na ulicy Sykstuskiej dwóch żołnierzy, idących naprzeciw niego. Zdaleka zauważył, że są to legjoniści. Spostrzegł również, że są „zalani" i chwieją się w różne strony. Używając tutejszego terminu, „batjary" lwowskie służyli i w I Brygadzie, i miewali najrozmaitsze urlopy, więc spędzali je nie gdzieindziej, jak we Lwowie. Zrównawszy się z oficerem, nietylko honorów mu nie oddali, ale go jeszcze, przechodząc, potrącili. Oficer począł im robić wymówki: „Legjonistą jesteś, jak ci nie wstyd, po nocy pijany się włóczysz? Spotykasz oficera, honorów mu nie oddajesz i jeszcze go potrącasz?" Na to jeden z żołnierzy, zmierzywszy oficera z góry na dół, powiedział: — „My z I Brygady!" — „No i cóż z tego — odparł oficer — żeś z I Brygady? Jakiż z ciebie żołnierz? Wstyd Brygadzie robisz!" — „Wstyd Brygadzie? — powtórzył legjonista i począł długo szukać czegoś i szperać w kieszeni spodni. Wreszcie wydobył z niej nienoszony nigdy na piersi

austrjacki złoty medal waleczności i, pokazując go oficerowi, zapytał: — „Wystarczy?“ — Po chwili wyciągnął z drugiej kieszeni żelazny krzyż pruski i powtórzył poprzednie zapytanie:—„Wystarczy?“ Potem, wskazując towarzysza, rzekł:—„Ten ma to samo. Chodźmy!“ To brutalne zachowanie się wobec obcych oficerów było istotnie nawyknieniem legunów. Nie będę temu przeczył. Oto drugi obrazek z tego samego okresu czasu. Przez otwarte okno słyszę zmianę warty pod mojem mieszkaniem i słyszę cichy rozkaz: „Stać przy mieszkaniu, wszystkich puszczać, swoim oficerom honory oddawać, austrjackim — nie“.

Nie powiem, panowie, by ten sposób postępowania był dobrym zwyczajem. Był to jeszcze jeden wynik owej przekory legunów, którzy, zdobywszy sławę, starali się akcentować na każdym kroku, że całą swą wartość zawdzięczają własnej pracy i nie potrzebują nieproszonych nauczycieli. Scysje z obcymi oficerami wywoływane były gwałtownem narzucaniem nam nauczycieli, które rodziło stale niechęć w stosuku do wojska austrjackiego, a specjalnie do jego oficerów. Wyrażała się ona nieraz w formie bardzo ostrej i niedopuszczalnej. Stąd zarzut *undiszipliniert*. Zwracałem uwagę na te objawy i raz wydałem rozkaz: od dziś oddawać honory wszystkim oficerom, bez względu na to, jakimi są — nie chcę mieć żadnych skarg. Rozkaz ten był wypełniony, a żołnierze stali się przesadnie grzeczni, robiąc *Stellung* tak wspaniały, że radowały się serca oficerów austrjackich, przekonanych, iż to ich wpływ tak umoralnił legunów. Dyscyplinę, to dobrowolne posłuszeństwo, zawsze w Legjo-

nach uzyskać mogłem. Rozkaz był rozkazem, służba służbą. Zarzut *undisziplinierт* tyczy się czegoś innego. Tyczy się pewnego lekceważenia form życia codziennego, lekceważenia, wywołanego ciągłem bratanіem się ze śmiercią.

Zawód żołnierski — to praca w nienaturalnych warunkach. Wytwarza on u żołnierzy specjalny stosunek do zjawiska śmierci. Umierają, coprawda, wszyscy ludzie. Ale gdy żołnierz idzie na śmierć, to znaczy, że śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po polach bitewnych. Śmierć i poczucie śmierci otaczają wciąż żołnierza. Śmierć jest dla niego zjawiskiem stałem, codziennem. Nie wiem, panowie, czy ci, którzy nigdy żołnierzami nie byli, zdają sobie sprawę z tego, jak niełatwe jest ciągłe ze śmiercią obcowanie. To codzienne, zgodne z obowiązkiem żołnierza chodzenie na śmierć, ten wysiłek przywyknięcia do niej, to bratanie się z śmiercią wyciska w duszy głębokie ślady, wywołuje zmiany w charakterze. Człowiek, który ma jutro umrzeć, ma pewien specjalny stosunek do rzeczy. Nie ceni pewnych wygód, bo jutro wszystkie wygody mogą zniknąć. Nie ceni, coprawda, wygód innych ludzi, lecz swoje również ma za nic. W czasie długiego stykania się i bratania się ze śmiercią wygoda staje się rzeczą tanią, staje się rzeczą, nad którą się łatwo przechodzi do porządku dziennego. Życie dobrego żołnierza staje się ciągłą i ustawiczną loterją. Skutkiem tego jest lekceważenie przez niego spraw dobrobytu materjalnego w znacznie silniejszym stopniu, niż to się spotyka w życiu innych ludzi.

Życie wojenne, życie w nienormalnych warunkach, żłobi jeszcze inną cechę w duszy żołnierza. Jest on mężczyzną, który pozostawił gdzieś wdali życie rodzinne. Zadowalać się musi często dorywczym uściskiem, nieraz brutalnie zdobytym. Im bardziej jest skazany na te dorywcze uściski spotkanej gdzieś w kącie kobiety, tem bardziej rodzi się w nim tęsknota za uśmiechem szczęścia, które niesie życie rodzinne. Radość i uśmiechy życia rodzinnego, radość i uśmiech dziecka tak go rozczulają, że wszystkim paniom radziłbym wychodzić zamąż za dobrego żołnierza, gdyż jest prawie pewne, że można nad nim panować jednym uśmiechem.

Wreszcie jeszcze jeden znamienny rys dobrego żołnierza. Spełnia on twardy obowiązek żołnierski, wykonywuje pracę, nieraz bardzo mało znaczącą i podrzędną. Żąda jednak zawsze bardzo twardo szacunku dla siebie, szacunku dla swej pracy i szacunku dla swego dowódcy. Cechą wszystkich dobrych żołnierzy jest to, że swych wodzów, prowadzących ich do zwycięstw, kochają i wymagają dla nich czci.

Proszę panów, ten typ dobrego żołnierza znajdziemy wszędzie, gdzie było wojsko i gdzie pod dobrym wodzem ruszało ono na zwycięstwa.

We Francji, w najwybitniejszej jej epoce, gdy żołnierze służyli pod największym wodzem świata, pod Napoleonem, powstaje typ wiarusa napoleońskiego. Lekkomyślny on jest w życiu codziennem, nie dbający o pieniądze, przechodzący do porządku dziennego nad materjalną stroną życia, wesoły i swobodny, szukający szczęścia, szukający wrażeń, uprzyjemniających mu ży-

cie, zawsze gotów jednak stanąć odważnie i twardo w obronie swego honoru i w obronie swego cesarza, potem ciągle konspirujący, by swego wodza „z niewoli" wydobyć. Czy pamiętacie pieśń o dwóch grenadjerach Heinego? Pieśń nie przez Francuza napisaną. Tem właśnie charakterystyczniejsza, że ten typ wiarusa napoleońskiego siłą swych rysów narzucał się i pociągał pióra obcych. Dwaj grenadjerzy powracają z niewoli i dowiadują się po drodze piorunującej wieści — ich cesarz w niewoli. Zdawałoby się, że niczego innego pragnąć nie powinni, jeno powrotu do rodziny, której tak dawno nie widzieli. A jednak całe ich marzenie ześrodkowane jest w chęci ujrzenia i oddania honorów temu, który ich prowadził do boju, — cesarzowi. Ten typ dobrego żołnierza, tego napoleonowego wiarusa, tych oficerów, których setkami wyrzucano z królewskich wojsk po Restauracji, których trzymano pod dozorem policji, jako niebezpiecznych, utrwalił się w literaturze francuskiej i znalazł swój wyraz w postaciach bohaterów licznych powieści.

U sąsiedniego narodu podobnie. Mamy tam epokę przewag wojennych, epokę Sedanu, epokę walk, rozbrzmiewających zwycięstwem Prus. I oto znajdziemy tam prawie ten sam typ dobrego żołnierza, z dodatkiem rysów rasy niemieckiej. Typ surowszy, mniej kulturalny. Żołnierz ten zajmuje przeważnie skromne stanowisko w państwie, lecz surowemi oczyma wymaga od swego pana szacunku dla siebie i dla krzyża, który nosi na piersi. Tak samo, jak wiarus napoleoński, jest czuły na wdzięki niewieście i czuły na uśmiechy dziecka. I znowu w niemieckiej

literaturze spotyka się te typy, które zbratały się ze śmiercią, które śmierć nazywały siostrą, z nią kładły się i wstawały z łoża. To typy ludzi, którzy nie cenią wartości dobrobytu i majątku, ale dusze, wierne honorowi własnemu i honorowi swego wodza. Na takich podoficerach, pozostających nieraz na bardzo skromnych stanowiskach, budowana była siła i trwałość państwa niemieckiego.

Jeżeli przejdę do literatury rosyjskiej, to znajdziemy tam podobny typ dobrego żołnierza. Oswojony ze śmiercią, zbratany z nią, a zarazem lekkoduch, włóczący się po świecie, przepijający i przegrywający z lekkiem sercem cały swój żołd, wymagający jednak szacunku dla siebie i dla cara, w imieniu którego walczył. Przypominam sobie jednego z pisarzy rosyjskich, Uspieńskiego, który z wielkim talentem nakreślił ten typ rosyjskiego wiarusa. Przez dwadzieścia pięć lat służy on w wojsku, walczy na wszystkich polach, pełni służbę wzorowo... i filozofuje. Bił nieprzyjaciół, to prawda, ale ci, z którymi walczył przez całe życie, to mimo wszystko poczciwe, zacne ludziska, i te Francuzy, i te Niemcy, i te Polaki, i te Turki, chociaż poganie. Tej względności wobec nieprzyjaciół nabył w obliczu śmierci.

A w dawnych powieściach polskich ileż to sylwetek dobrych żołnierzy! Wzorami dla autorów byli ludzie żywi, postacie, którym na klepsydrach wypisywano ongiś: „były oficer, czy podoficer byłych Wojsk Polskich". Są oni trochę bardziej rzewni, bardziej sentymentalni, niż Francuzi czy Niemcy. To typy wiarusów, służących przy dworze i zaprawiających rękę młodego panicza do

szabli, opowiadających niezwykłe dzieje przygód wojennych, których byli uczestnikami. To typy starych ordynansów oficerskich, co wrócili z wojny razem ze swym panem, a i teraz służą mu wiernie. Słudzy, nie pozwalający jednak siebie lekceważyć, bo na ich piersiach krzyż zasługi. I oni, jak wszyscy dobrzy żołnierze, szukali szczęścia i uśmiechu życia, lekkomyślnie lekceważyli dobra materjalne, a zachowali przez całe życie przywiązanie dla przyjaciół i naiwną wiarę Don Kichota, rycerza, sprzeciwiającego się zepsuciu i łajdactwu.

Wszędzie, gdzie w długich wojnach i ciężkich trudach żołnierskich pracował człowiek, wszędzie daje on swemu narodowi nowy nabytek kulturalny. Typ człowieka, przechodzącego łatwo nad materjalnemi wartościami życia, przenoszącego ponad nie wartości moralne. Typ człowieka, łatwo znoszącego zmienność losu, byle mieć możność zachowania najlepszej cząstki swej duszy— szacunku dla siebie i szacunku dla swego honoru. Uczciwa praca na najskromniejszych stanowiskach, stałe poszukiwanie zgody ze swojem sumieniem jest ich cechą, nabytą w codziennem brataniu się ze śmiercią. Jak ongiś, na polach bitew, przelewali krew dla honoru swego sztandaru i na rozkaz swych wodzów, tak w pracy pokojowej zmieniają honor sztandaru na honor swej pracy, na honor swej nowej służby, dla której wymagają szacunku, jako dla części głównej siebie samych. Szukają przytem radości życia, uśmiechu szczęścia, do którego tęsknili tak długo w pracy wojennej, w robocie bitewnej.

Legjony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może

w przyszłej historji stanowić będzie więcej, niż te czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swojem sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem, po ziemi ojczystej. Zapomniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych naprzekór światu, naprzekór swoim, żyło, żyć pragnęło, życie dając Polsce.

IX

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW WE LWOWIE

(6 sierpnia 1923)

Chciałbym mówić o dwóch rezolucjach. Jedna z tych rezolucyj, mówiąca o nadaniu II Brygadzie odznaki „Za Wierną Służbę", jest związana z moją osobą, ponieważ ja tylko mogę odznaczenia takie nadawać. Z tych względów muszę wobec tej rezolucji zająć stanowisko. Stwierdzam, że na znaku I Brygady są moje inicjały J. P., a obok tych liter są małe literki „Pierwsza Brygada". Nie chcę, aby legjoniści innych Brygad zrzekli się swej istotnie rzetelnej pracy na korzyść I Brygady. Przeto wnoszę poprawkę formalną, aby zamiast pozostawienia na wszystkich odznakach cyfry I Brygady, nadać wszystkim Brygadom odznakę „Za Wierną Służbę", jaką dotychczas posiadali tylko legjoniści I Brygady, z tem jednak, aby każda Brygada miała na odznace swój numer z mojemi inicjałami. W przeciwnym wypadku, panowie, inne Brygady zrzekłyby się swych czynów żołnierskich i wzbogaciłyby niemi Brygadę I. To jest moje przekonanie.

Teraz przechodzę do drugiej rezolucji o ochronie czci i szacunku w stosunku do mnie i do wysiłków tych, którzy pracowali na rzecz Polski. Żyjemy w czasach, w których prawo oszczerstwa i szarpania czci cieszy się nadzwyczajną swobodą, a nawet uznaniem. Państwa i narody, które na podstawie kłamstwa, na podstawie negowania prawdy podają myśl polityczną, dążą do zguby.

Takie państwo zbliża się ku upadkowi. Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie. Ten jest słabszy, kto buduje na kłamstwie i fałszu, w porównaniu z tym, który buduje na prawdzie. Jak w walce wódz, który opiera się na kłamliwych wieściach, który się kłamliwemi raportami kieruje, idzie do przegranej, tak samo naród, który na kłamstwie buduje swe myśli, idzie do swej zguby.

To dziwne prawo oszczerstwa, sugestja kłamliwa istnieje przedewszystkiem w stolicy kłamstwa, w Warszawie. Skąd ta łatwość ulegania kłamstwu wpływa na ludzi? Prawdy się boją, a nie cofają się przed kłamstwem. Dlatego rzecz ta jest stokroć poważniejszą, niżby się wydawało. Będąc jeszcze Naczelnym Wodzem, patrzyłem ze zdumieniem na zdolność, z jaką moje polskie otoczenie, z jaką moje polskie społeczeństwo chętnie wierzyło kłamstwu, dając tem dowód swej słabości. Jest to rzecz niebezpieczna dla bytu naszego, jako państwa i narodu. Przeciwdziałanie oszczerstwu, jako metodzie politycznej, jest jednem z najtrudniejszych naszych zadań społecznych, jest rzeczą wielką, na którą gdyby Polska się zdobyła, zdobyłaby wielką siłę. Te oszczerstwa, ta uporczywa metoda łgarstwa, którą to zdolnością odznaczają się pewne stronnictwa, mające wpływ na społeczeństwo, na dusze wielu Polaków, mają źródło swe w niewolnictwie. Jako będący objektem kłamstwa, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, nie chciałem reagować na nie metodą represyj państwowych. Na kłamstwo nie znajdywałem państwowych środków represyjnych, dlatego ich nie używałem.

Choroba ta jest głębszą, aniżeli wam się zdaje. Kłamstwo jest chorobą wielką. Oszczerstwo ma dlatego duże znaczenie, że mu wierzą. Przemawia wtedy, gdy mu wierzą, i ma właśnie dlatego duże znaczenie, że je u nas tak łatwo dusze przyjmują. Oszczerstwo byłoby tanie, gdyby go nikt nie przyjmował, gdyby mu nikt nie wierzył. Tymczasem oszczerstwo u nas jest wynajmowane, oszczerstwo jest drogie u nas.

Jest w zwyczaju najmowanie siebie i swego pióra do oszczerstwa. Tacy, co się tak wynajmują i są dobrymi w tym zakresie fachowcami, robią majątek, są cenieni. Wielkiem i trudnem zadaniem waszem, legjoniści, jest doprowadzenie społeczeństwa do tego, aby nie wierzyło oszczerstwu. Gdy chodzi o mnie, dziękuję wam, że stajecie w obronie mojej czci i honoru. Ale ja nietylko do was należę. Do was należę głęboko, gdyż dzięki waszej pracy i waszej krwi zostałem wysunięty na arenę historyczną, na tak wysokie stanowisko. Lecz ja należę do całej Polski, bo jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz pracowałem z całą Polską. Należę tem samem i do tych oszczerców także. Chcę was zmusić do pomyślenia nad metodami walki z oszczerstwem. Mam przekonanie zresztą, że potrafię sam bronić mojej czci. Nie używałem środków prawnych, środków represyj państwowych, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, bo byłem zobowiązany do reprezentowania całej Polski. Nie mogłem wtedy stawać w szranki sądowe do rozpraw, bo wywyższyłbym przez to oszczerców. Z chwilą, gdy jestem wolny, zdecydowałem się walczyć sam. Dzięki Bogu język w buzi mam przywieszony po legjonowemu. Mam środki i sposoby. Niełatwo przejść nad niemi do porządku dzienne-

go. Niejedno z moich słów zostanie uwiecznione tam, gdzie oszczerstwa nie znajdą miejsca. W poszukiwaniu środków dla obrony czci, dla obrony honoru jestem bezwzględny. Jestem zdecydowany wyjść naprzód, aby szacunek dla pracy i państwa polskiego zdobyć. Rozumiem was, że szukacie również metod, że szukacie reakcji dla obrony czci i honoru. Jesteście wszyscy dobrzy żołnierze, a dobry żołnierz honoru swego i honoru swego wodza zawsze będzie bronił. Zaprzeczyłby bowiem inaczej swej duszy żołnierskiej.

Chciałbym, aby i w tym wypadku czynami w obronie honoru okazał żołnierz legjonowy, że jest dobrym żołnierzem. Sympatyczny jest mi honor każdego żołnierza, tak żołnierza własnego, jak nawet żołnierza obcego. Wspomniałem wam wczoraj o stosunku społeczeństwa do żołnierza polskiego. Stosunek polski do żołnierza nietylko legjonowego, ale wogóle wobec polskiego żołnierza nie jest przyjemny. Przytoczę wam dwa fakty, które dotyczą żołnierzy.

W tem miejscu Komendant opowiada o wdowie z dwojgiem sierot po zabitym w obronie Warszawy żołnierzu ochotniku, który był „w cywilu" starostą. Żona z dwojgiem dzieci pozostała bez środków do życia. Rząd nie chciał nic dać. Wyrugowano żonę z dziećmi z mieszkania. Zwróciła się do Komendanta, jako do Naczelnego Wodza, z prośbą o pomoc. Komendant, jako Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, nic nie mógł zrobić. Kobieta z dwojgiem dzieci prawie umierała z głodu.

To — *ciągnie dalej Komendant* — przejście brutalnym butem po męce innych jest typowym obraz-

kiem z tych, na które się napatrzyłem w Polsce dosyta, jako Naczelnik Państwa.

A teraz przykład drugi. Zwrócili się do mnie dawni żołnierze z Zagłębia Dąbrowskiego z prośbą i skargą, że po demobilizacji znaleźli się na bruku. Że ich po powrocie z wojska, do którego wstąpili jako ochotnicy, nikt nie chce przyjąć do pracy. Gdy się powoływali na to, że przecież państwo przyrzekło im i zastrzegło powrót do warsztatów pracy, odpowiedziano im: „Myśmy was na wojnę nie posyłali. Idźcie do tych, co was na tę wojnę powoływali". Co mogłem uczynić wobec takich argumentów, jako Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa?

Cóż powiedzieć o legjonistach? Przypominam sobie legjonistę, który swą krwią i pracą doszedł do dowodzenia pułkiem. Zmarł on na udar serca bez możności zaopatrzenia pozostałej wdowy i sierot, jak większość legjonistów. Nie znaleziono dla nich innego rodzaju pomocy, jak dar z łaski. Ja sam ten papier o darze z łaski dla wdowy i dzieci zmarłego żołnierza musiałem podpisać.

Wtedy powiedziałem sobie, że gdyby miano mi wyznaczyć pensję, to odmówię jej przyjęcia, bo na pensję nie zapracowałem w Polsce, bo ja na pensję w Polsce nie zasłużyłem, żadnemu z zaborczych państw nie służyłem. Tam się pensję daje za wysłużone lata. Dla legjonistów, którzy nie służyli zaborcom, niema zabezpieczenia. Nie chcę być inaczej traktowany, niż moi koledzy.

W społeczeństwie, gdzie niema szacunku dla żołnierzy, którzy istotnie państwo zbudowali i trzymają państwo do dziś dnia, musi powstać kierunek, który się stara różne rzeczy usprawiedliwić drogą

oszczerstw. Nie chcę wam wskazywać metod walki z oszczerstwem. Istotą walki jest podniesienie duszy ludzkiej na wysoki poziom moralny. Wtedy oszczerstwa będą tanie, a więc bezskuteczne. Wtedy Polska nie będzie miała oszczerców, gdyż oszczerstwa będą tanie. Gdy będziecie myśleli o obronie mojej czci, proszę, aby ta obrona była skuteczna. Ja szukam metod skutecznych. Ja szukam uderzeń, które burzą, a nie takich, które sprawiają tylko satysfakcję zapomocą gestów. Ktokolwiek będzie mnie bronił, to proszę — niech mnie broni skutecznie. Nie należy sięgać do przejawów zewnętrznych, ale szukać tam, gdzie te oszczerstwa są fabrykowane.

X

OBRONA LWOWA

(7 sierpnia 1923).

Szanowne panie i panowie!

Historja, wielka mistrzyni życia i wielki sędzia czynów ludzkich, ze specjalnem umiłowaniem wybiera dla swoich studjów okresy przełomów, okresy kryzysów.

Występują bowiem wtedy na jaw z większą wyrazistością, niż w innych epokach, niż w innych czasach, ludzkie czyny, ludzkie słabostki i siły ludzkie, cnoty i wady, jednem słowem — pełnia duszy człowieka.

Wszystko to, czego człowiek nieraz się wstydzi i co przy szarzyźnie życia przed najbliższymi ukrywa, to w chwili przełomów i kryzysów pod gorącym oddechem wypadków przejawia się i w całej nagości występuje.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, którego doznałem w rozmowie z jednym z najwybitniejszych umysłów obecnego świata, z głową katolickiego świata. Jego Świętobliwości Papieżem Piusem XI.

Był on wtedy skromnym monsignorem, reprezentującym Watykan w Polsce. Jako zawodowy historyk powiedział mi, że jest wdzięcznym losowi. że rzucił go do Polski w chwili tak przełomowej i krytycznej dla narodu polskiego i że jako historyk obserwować może życie i powstawanie nowych tworów boskich i ludzkich, bezpośrednio, naocznie, gdyż przedtem jedynie z ksiąg mógł uczyć się dziejów chwil przełomowych.

Dla wypadków, któreśmy przeżyli, historja upływa szybko, historja się zbliża, wielki sędzia czynów ludzkich, których każdy człowiek ma w dalekiej progeniturze, zbliża się do nas znacznie szybszemi kroki.

Nasza epoka przyciągać będzie oczy znacznie bliższe nam, niż to nieraz nam się wydaje. Sędziów znajdziemy w naszych dzieciach, dzieci nasze, te dorastające obecnie małe główki, które ciekawemi oczkami już teraz na nas spoglądają, nieraz będą z trwogą szukać w stronicach historji, gdzie byli ich rodzice.

Obrona Lwowa w życiu powstającego państwa polskiego w przełomowym okresie naszego istnienia odegrała zbyt znaczną i wielką rolę, by jakikolwiek historyk tej właśnie części naszych działań i naszego życia nie musiał poświęcić specjalnej uwagi. W obronie Lwowa ześrodkowało się w swoim czasie *gros* wysiłków całej Polski. Jeżeli ją weźmiemy pod względem wojskowym, to cztery piąte sił, tworzonych z takim wysiłkiem, zebrało się nie gdzieindziej, jak na placach boju koło Lwowa, zostawiając zaledwie małą cząstkę gdzieindziej, a wysiłki wojskowe w owym czasie tworzenia siły ramienia zajmowały również *gros* wysiłków całego społeczeństwa. Jeżeli weźmiemy życie polityczne państwa świeżo tworzącego się ze wszystkiemi próbami i niedogodnościami każdego życia politycznego, to również znajdziemy, że ono przez dłuższy czas ześrodkowało się nie koło czego innego, jak koło wypadków, dziejących się koło waszego miasta. Ja osobiście, ze wszystkiemi swojemi wadami i cnotami, całą swą mocą czy bezsilnością stałem w centrum zjawisk polskich, magna pars

fui wszystkiego tego, co się w Polsce działo. Dlatego też z chwilą, gdym się zdecydował stanąć spokojnie przed sądem nie waszym, lecz historji, stanąć spokojnie ze swoją czynnością i swojemi pracami przed oczy tych, do których mnie najwięcej ciągnie, przed oczy dorastających dzieci, które nieraz sobie o tem mówić będą, chcę dać jedynie stwierdzone fakty, chcę dać jedynie dane, związane ze mną, jako z człowiekiem, który był Naczelnym Wodzem wojsk polskich i Naczelnikiem Państwa. Nie idzie mi o analizę poszczególnych wypadków, nie idzie mi o techniczne określenie sposobów i wartości poszczególnych działów obrony Lwowa, gdyż w nich bezpośrednio sam nie brałem udziału i musiałoby to zresztą stanowić inny dział pracy, do którego panowie i panie, jako audytorjum, niezbyt się nadają

Jak państwu wiadomo, z końcem roku 1918 znajdywałem się w mieście Magdeburgu, w cytadeli. Byłem od polskiego życia rozmyślnie najzupełniej izolowany. Życie polskie biegło hen, gdzieś daleko, nie dając mi żadnych danych o sobie. Izolacja ta była doprowadzona do tego stopnia, że do mnie wiadomości o świecie zewnętrznym dochodziły jedynie z gazety codziennej, wychodzącej w Magdeburgu — *Magdeburgerzeitung*. Z niej tylko mogłem czerpać dane i wiadomości o mojej ojczyźnie. Z tych danych, względnie ubogich, przed przyjazdem 11 listopada do Warszawy, zostało mi w pamięci jako drogowskazy, jako dane, z któremi do Polski jechałem, kilka zaledwie dziwnych rzeczy. Pierwszą wiadomością był wetknięty mi w ręce na parę tygodni przed uwolnieniem, czy to przez sympatję, czy to przez złośliwość podoficera, ty-

godnik niemiecki, w którym znalazłem ku memu wielkiemu zdziwieniu mój portret z podpisem: „minister spraw wojskowych Polski". Z krótkiej przytem notatki widziałem, że chodzi o jakiś gabinet Świerzyńskiego, o którym pierwszy raz słyszałem, że mógł istnieć w Polsce. Byłem w nim jakoby ministrem spraw wojskowych, który siedział w Magdeburgu. Pamiętam, jak śmieliśmy się z moim kolegą w więzieniu, generałem Sosnkowskim, jak kpiliśmy, jako z symbolu Polski, iż minister spraw wojskowych tego kraju jest nie gdzieindziej, jak w więzieniu.

Drugi fakt, który doszedł do moich uszu, dotyczył tak zwanego zaboru austrjackiego. Mianowicie — w piśmie, napadającem ustawicznie na słabość sojusznika, na Austrję, był patent cesarza Karola, nadający nagle wielkie prawa ludności i rzucający do „swoich wiernych krajów i narodów" wezwanie, by same się zajęły swoim losem, dzieląc, że tak powiem, dawną Austrję według krajów, według narodów, nie dając im zresztą określonych zadań, dzieląc raczej mienie i dobro pomiędzy te narody. Pomiędzy temi narodami byli też i Polacy. Bodaj że jeszcze kilka drobnych faktów doszło do mnie, z których mogłem sobie wyrobić obraz o Polsce, a który został mi w głowie, gdym pośpiesznym pociągiem, zwolniony wreszcie przez Niemców, jechał do Warszawy.

Przyjechałem do Warszawy 11 listopada, to znaczy w związku z wypadkami lwowskiemi w dziesięć dni po rozpoczęciu we Lwowie starć czy bojów.

Historja zatem tych dziesięciu dni wraz z wszystkiemi perypetjami nie należy w żadnym wypadku do mnie i w żadnym związku ze mną nie była. Je-

żeli piękne lwowianki i równie zacni lwowianie przypuszczają, że w Warszawie, gdym tam przyjechał, słowo padło kiedykolwiek o Lwowie, to grubo się mylą. Ja przeprowadziłem w pierwszych kilku dniach co najmniej tysiąc rozmów z ludźmi z najrozmaitszych stronnictw, z ludźmi najrozmaitszych autoramentów i nie przypominam sobie jednak ani jednej rozmowy, w której mówionoby mi o Lwowie. Mówiono o najrozmaits ych rzeczach, podawano mi tyle recept na zbawienie Polski, z ilu ludźmi rozmawiałem, lecz o Lwowie — nie mówiono.

Żyto w owym czasie innemi wrażeniami, wrażeniami ciężaru życia i niepewności w samej Warszawie i w ówczesnym zaborze rosyjskim, w Królestwie. Niemiec był jeszcze na miejscu. Żołnierz niemiecki chodził jeszcze po ulicach Warszawy. Dokoła działo się coś nadzwyczajnego, o czem nikt ściśle nie wiedział, lecz trwożył się przed niepewnem jutrem. Setki tysięcy bezrobotnych, których Warszawa w owym czasie miała, o ile mi się zdaje, zajmowało znacznie więcej umysłu i trosk w sercach, niż jakiekolwiek rzeczy, które się działy gdzieindziej.

Minęło w ten sposób dla mnie kilka dni, w czasie których główną moją pracą było nie zajmowanie się Lwowem, lecz uregulowanie w jakiś sposób swego osobistego stosunku do zjawisk, których nie zbadałem dotąd, do których nie byłem przygotowany i które wielkim, olbrzymim pochodem tłoczyły się na mnie, żądając ode mnie ustosunkowania się do nich. Z tej masy i powodzi faktów, z tej masy i powodzi recept, z tych wielkich hałasów na ulicach, które wówczas w Warszawie się działy,

doszły do mnie bardzo niejasne i niewyraźne dane i o dawnym zaborze austrjackim. Dowiedziałem się więc, że w Krakowie urzęduje Komisja Likwidacyjna, rządząca i czyniąca na podstawie patentu cesarza Karola. Dowiedziałem się również, że w tej Komisji Likwidacyjnej są reprezentowane wszystkie stronnictwa, jakie istniały zgodnie z mojemi poprzedniemi wiadomościami w tak zwanem Królestwie Galicji i Lodomerji. Dowiedziałem się, że dowodzi tam wojskiem mój dobry znajomy, generał Roja, a w Lublinie mój dobry znajomy i podwładny, generał Śmigły, tak, jak w Warszawie dowodzi mniej dobry mój znajomy, generał Rozwadowski.

Pierwszem mojem dążeniem było zespolić to, co jest siłą. Czułem, że jeżeli rzeczy dalej pójdą w tak rozbieżnym kierunku, to to, co stanowi siłę i moc, wobec zbliżającej się do Polski nieznanej jeszcze fali niebezpieczeństw nie zostanie wytworzone. Korzystałem więc z każdej okazji, żeby siły wojskowe skupić w jednem ręku, a wobec dziwnej może mojej zarozumiałości wolałem, żeby one skupiły się w mojem ręku. Ta rzecz mnie się udawała, udawała względnie lepiej, niż wszystkie inne cywilne prace, gdyż pod tym względem spotkałem zbyt silne tarcia i zbyt wielkie przeszkody w roznamiętnionych, lecz chaotycznie usposobionych umysłach, z któremi musiałem się stykać. Starałem się więc zebrać wszystkie dane o stanie wojska i stanie siły w całej Polsce. W tym też czasie przybiegały do mnie najrozmaitsze wiadomości o stanie Lwowa.

Jestem człowiekiem, który przyzwyczajony był zawsze do pewnej pogardy w stosunku do plotek,

specjalnie do plotek wojskowych. Szczególną zaś niechęć czułem zawsze do przedstawiania spraw wojskowych w sposób demagogiczny, w sposób, który uniemożliwia najlepszemu żołnierzowi zorjentować się, ile w tem jest kłamstwa rozmyślnego lub bezwiednego, a ile w tem prawdy. Dlatego też szukałem odrazu za człowiekiem, któremu mógłbym zaufać. Dowiedziałem się, że od pierwszej prawie chwili walk lwowskich szefem sztabu obrony jest jeden z moich oficerów, mianowicie — zmarły obecnie Łapiński. Starałem się z nim nawiązać stosunki, gdyż byłem przekonany, że on wobec swego starego Komendanta ani demagogji, ani plotek uprawiać nie będzie. Starałem się ściśle zbadać stan rzeczy. Niestety, dobrego wniosku z tych wiadomości wysnuć nie mogłem. Około 20 listopada (ściśle daty ustalić nie mogę) przyleciał wreszcie lotnik Stec, który mi w imieniu tegoż Łapińskiego zdał sprawę z tego, jak jest we Lwowie. Powtarzam prawie dosłownie jego raport: „Mniejsza część miasta jest w rękach polskich, a większa część w rękach ruskich. Boje nie są ciężkie, ogromna część społeczeństwa polskiego (wymienił mi różne nazwiska) pertraktują z Rusinami o coś w rodzaju condominium nad Lwowem, nie wierząc w możliwą obronę i posiadanie miasta w całości. Obrona polega na niewielkiej garstce legjonistów, na większej znacznie ilości młodzieży, bardzo nieraz młodej, z trudem wytrzymującej ciężary. Obok niej jest prawie to samo, co w Warszawie, — tłum ludzi, chodzących i krzyczących, rozprawiających i zmieniających co chwila zdanie, plotkujących o najrozmaitszych rzeczach, a co niechybnie na siłę obronną nie wpływało korzystnie“. Wreszcie powiedział

mi, że teraz leci zpowrotem do Lwowa, lecz osobiście jest tak mało przekonany o możliwości obrony, że nie jest pewny, czy będzie mógł już wylądować we Lwowie i nie wie, czy lotnisko, z którego wyleciał, będzie jeszcze w posiadaniu polskiem, czy też już w ruskiem. Stan opisał mi dość rozpaczliwie. Rozpatrzyłem te dane i razem zresztą z Łapińskim, który mi przez niego przesłał swoje dane, przyszedłem do przekonania jedynie rozsądnego, że bez dania z zewnątrz pomocy sprawa dla Lwowa jest przegrana. Zastanowiwszy się nad moim własnym stanem, powiedziałem, że ja tej pomocy dać nie mogę, że gdybym nie wiem co robił, to ze siebie tej pomocy nie wydobędę i żadnego terminu postawić nie jestem w stanie, że jest zatem jako wynik jedyny — czas. Wytrzymacie dłużej — prawdopodobnie zdążę, nie wytrzymacie dłużej — nie będę w stanie tego zrobić.

Lubię prawdzie patrzeć prosto w oczy. Stan bowiem ówczesny, który miałem, polegał na następującem: Niemcy szczęśliwie dawali się rozbrajać; dość dużo najrozmaitszej broni i dość dużo najrozmaitszych zapasów i ubrań dostawało się w polskie ręce; mnóstwo objektów wojskowych o wielkiem znaczeniu wpadało zupełnie łatwo w nasze ręce, a niezwykle „patrjotyczna“ i podniecona ludność starannie to rozkradała. Miałem, proszę państwa, koszary, które trzy razy w ciągu wojny poprawiałem i które trzy razy do ostatniego mebla przez ludność okoliczną były rozkradane. Musiałem więc, jako dobry gospodarz, z obowiązku chociaż jaką taką straż postawić, żeby zapobiec, aby to dobro, w które może będzie jutro trzeba uzbroić i wyekwipować ludzi, by ono zostało zachowane.

Zwyczajem bowiem polskim rozkradano tę broń dla uzbrojenia prywatnego wojska, które wyrastało, jak grzyby po deszczu. Każde nieledwie stronnictwo, mające pewne recepty na uratowanie Polski, tworzyło swoje prywatne wojsko i zupełnie swobodnie sięgało do składów wojskowych, o ile te nie były pilnowane, dla uzbrojenia ludzi, nieraz grożąc mi, gdy byłem jeszcze na ulicy Mokotowskiej, że ta broń będzie przeciw mnie użyta.

W tej sytuacji, zmierzywszy swoje możliwości, powiedziałem temu oficerowi: „Leć, człowieku, zpowrotem i staraj się trafić do Krakowa. Tam życie spokojnie idzie, może Kraków będzie mógł dać jakąś pomoc. Ja w czasie nieokreślonym, bo nie mam możności określić czasu, przystępuję do organizacji wojska i ruszam — lecz kiedy, nie potrafię tego powiedzieć". Czy piękne lwowianki i zacni lwowanie za grzech to będą mi poczytywać, czy dzieci nawet moje własne w sądzie swoim za grzech i za błąd mój będą mi to poczytywały, nie wiem. Stwierdzam fakty tak, jak one były. O Galicji zachodniej porucznik Stec dawał mi złe dane. Na moje żądanie, aby stamtąd wyciągnął pomoc, dał mi krótki opis tego, co widział i co słyszał sam. Przychodziły, coprawda, uzbrojone jednostki z frontów najrozmaitszych do takiego czy innego miasta galicyjskiego. Opowiadał mi między innemi o pięknym porządku, w jakim pułk, formowany dawniej w Jarosławiu, przyszedł do tego miasta. Żołnierze jednak broń w kozły składali i szli do domów, zostawiając broń, w kozły złożoną, na placu. Czy oni będą mogli być zebrani i gdziekolwiek rzuceni, o tem ten porucznik, który przez Galicję przejechał i o tem lub o owem słyszał, wątpił. Mówił, coprawda, że

wyprzedzili organizację, jak zwykle, legjoniści, że pułk 5-ty w Przemyślu, a 4-ty pułk Legjonów w Krakowie reprezentują jakąś wartość siły. Bo jest to i zebrane i, zdaje się, gotowe mogłoby być do wymarszu. Lecz również i tam jest ta sama kwestja, jaką miałem w Warszawie, to znaczy mnóstwo objektów wojskowych, których trzeba pilnować. Opowiadał mi, że na wartach stoją w wielu miejscach oficerowie — rzecz dość niezwyczajna dla oficerów — dlatego, że żołnierzy niema, bo żołnierze po powrocie wracają natychmiast do domów. No, powiedziałem mu — ja tam nie dowodzę, nie potrafię tego zarządzić, jedźcie, zatrzymajcie się w Krakowie i powtórzcie mój rozkaz Roji, aby iść na pomoc.

Proszę panów, z wielką ulgą dowiedziałem się względnie prędko, że 5-ty pułk Legjonów, stojący w Przemyślu, na wieść o tem, że Lwów jest bardzo zagrożony i że traci nadzieję utrzymania się, bez rozkazu generała Roji pod dowództwem podpułkownika Tokarzewskiego ruszył naprzód na ratunek.

Dziełem więc 5-go pułku było to, że Lwów pozostał w rękach polskich.

Zrobił to 5-ty pułk Legjonów, podpułkownik Tokarzewski wbrew zdaniu swych przełożonych, gdyż i Przemyśl był również niepewny, również w Przemyślu drżano o utratę tego miasta — i wszelkiemi siłami starano się mieć go koło siebie. Decyzja podpułkownika Tokarzewskiego, który poszedł wbrew swym przełożonym dla was, Lwowa, fakt ten, powtarzam, oswobodził mnie od wielu trosk. W pierwszej chwili nie miałem wyobrażenia, jakie siły są nieprzyjacielskie. Tutaj tych sił mierzyć

czemkolwek nie byłem w stanie. Wiadomości były zanadto sprzeczne, były zanadto niedokładne, abym sobie mógł właściwie wyobrazić, co to jest ten front lwowski, co to jest ta walka we Lwowie. Z jednej strony układy, prowadzone przez ludzi wszystkich stronnictw, z drugiej strony garść ludzi walczących, tak, że nie mogłem nawet wiedzieć, czy nie walczą oni przeciw układającym się i czy tam wewnątrz niema jakichś dzikich pomiędzy sobą sporów. Z drugiej strony doszły mię wieści, że po dotarciu do Lwowa 5-ty pułk Legjonów świadomie poszedł dalej naprzód. Wiecie państwo — nabiera się złego przeświadczenia o nieprzyjacielu, który tak łatwo Lwów opuścił. Ale nieprzyjaciel okazał się silniejszy. Lwów został nanowo zagrożony. Proszę państwa, przystępuję do analizy faktycznej, kto był dalszym obrońcą Lwowa.

W swej pracy organizacyjnej jako Naczelny Wódz zrobiłem krok błędny czy niebłędny, nakazując jako pierwszy krok przy organizacji wojska mobilizację Polskiej Organizacji Wojskowej, — zwołać żołnierzy pod broń nie sposobem poborowym, lecz sposobem ochotniczym. Motywy, które mnie skłoniły do tego kroku, były następujące: Niezwykłe ubóstwo materjalne, z którem spotkałem się przy pierwszym kroku, to znaczy, że żołnierze, przychodząc do koszar, nie znajdowali tam ani siennika, ani poduszki, ani słomy, ani kołdry, ani ubrania, ani butów. Pamiętam, w tych czasach zwiedziłem obecny 36-ty pułk, który tu walczył także pod Lwowem i który miał tradycje specjalne jako pułk, powstały z legjonu akademickiego, to znaczy, że mnóstwo młodzieży inteligentnej, mnóstwo akademików w zapale wojennym dla służby,

dla ojczyzny do tego pułku się zapisywali. Poszedłem rozmyślnie zwiedzić koszary, aby zobaczyć — jak ten pułk żyje. Znalazłem to, co powiedziałem. Nie mieli chłopcy koców, nie mieli chłopcy ubrania wojskowego, broń, coprawda, się ściągało, ale w niewielkiej ilości. Nie mieli butów, ale zato chodzili w lakierkach, a więc w obuwiu bardzo eleganckiem, ale bardzo mało nadającem się do służby wojskowej, z lekkomyślnością młodzieńczą sądząc, że to nic nie szkodzi. Osobiście nie chciałem ich wyprowadzać z tego błędnego pojmowania, albowiem wolałem pozostawić ich w lakierach, niż starać się ich zniechęcać, zaczynać im opisywać grozę ich położenia, to znaczy niepotrzebnie ich przerażać. Sądziłem, że ochotnicy staną do pracy i znosić będą biedę materjalną znacznie łatwiej, niż żołnierz poborowy, żołnierz, który z musu przychodzi, który przychodzi na żądanie państwa i pragnie także możliwości życia, której dać mu nie było można. W ten mniej więcej sposób formowały się bataljony po różnych kątach Polski, niedostatecznie zaopatrzone, ba — z niedostatecznem uzbrojeniem. Broń zbierano z różnych kątów, rzucano ją w nieporządku. Brak amunicji w wojskowem tego słowa znaczeniu wyrastał z każdego kąta.

Ochotnicy zbierali się chętnie i niepodobna było nie brać ochotnika, który miał zapał i chęć zostania żołnierzem. Żołnierze z poboru to ludzie, którzy w bardzo wielkiej ilości z pełną podejrzliwością patrzyli na stałość państwa polskiego, w oczach których Polska jeszcze nie wytrzymała próby życia. Zauważyłem, że już wtedy szalała pomiędzy ludźmi olbrzymia namiętność polityczna ze stałemi oskarżeniami o zdrady i najrozmaitsze podłe rze-

czy, bałem się pociągać masy ludzi, tem bardziej, że nie wiedziałem, jak ich uzbroić. Zatrzymałem się więc na powołaniu ochotników i nakazałem najbardziej gotowej organizacji — Polskiej Organizacji Wojskowej — postawić pod broń wszystkich swoich zwolenników i pociągnąć do swych szeregów możliwie najszersze koła młodzieży, któraby zgodziła się w tych złych i trudnych warunkach stanąć na służbie Polski, jako żołnierze. Ta mobilizacja peowiacka dała do 50000 żołnierzy, tak, że początek armji polskiej i początek jej organizacji opiera się nie na czem innem, jak właśnie na Polskiej Organizacji Wojskowej i jej zwolennikach. Takie to bataljony formowałem i, naprędce zorganizowawszy, pchałem je na Lwów.

Był to, moi panowie, okres czasu, nie bardzo nadający się do wygody ludzkiej, do wygody życia w polu. W zimie, jak panowie wiecie, są takie chłody, panują nieznośne wiatry, a śnieg albo deszcz moczy i nęka żołnierzy niesłychanie.

Obok tego te wpływy atmosferyczne miały także dziwną skłonność do niszczenia ubrania i niszczenia obuwia, tak, że w czasie zimy ubranie żołnierskie, obuwie żołnierskie niszczyło się dziesięć razy szybciej, niż w czasie lata. W tych warunkach rzucałem bataljon za bataljonem lub chociażby kompanje ledwie sformowane, by w ten sposób napełnić ten wiecznie głodny worek, jakim wówczas był dla mnie front lwowski. Pamiętam te skargi wszystkich oficerów, którzy mi twierdzili, że takich żołnierzy do boju wyprowadzać nie wolno, pamiętam te skargi, gdy komendant bataljonu, mającego natychmiast wyruszyć w pole, z rozpaczą w sercu opowiadał, że nie wszyscy ludzie jego mają buty. Pamiętam ra-

porty, grożące mi ze strony władz wojskowych, że popełniam jakieś warjackie czyny, posyłając w ten sposób ludzi do boju, i pamiętam depeszę za depeszą, przychodzące z pod Lwowa, żądające pomocy i jeszcze raz pomocy. W tej walce wewnętrznej, którą odbywałem, pamiętam dwa czynniki — czynnik rozsądku, który mi mówił, że nieraz moi podwładni wojskowi mają rację, żądając czasu, i pamiętam depesze, które generał Rozwadowski po kilka razy dziennie przysyłał, żądając pomocy i pomocy. W tej ustawicznej walce pomiędzy sobą żyłem długo, bardzo długo.

Żołnierze, walczący pod Lwowem, złożeni byli z trzech elementów: 1) żołnierz ochotniczy, którego dał Lwów, a który był najmniejszy liczebnie, 2) większy liczebnie dlatego, że z większej części kraju ściągnięty, to chłopcy ochotnicy, którzy zgłosili się z zachodniej Galicji, i wreszcie — 3) olbrzymie *gros*, które tworzyły bataljony i kompanje, zorganizowane w Królestwie z peowiaków.

Walka, która się tu odbywała pod Lwowem, odznaczała się charakterem niezwykle dziwacznym pod względem pracy wojskowej. Nieraz w Belwederze zachodziłem w głowę, jak właściwie takie dziwactwa mogły się wogóle utrzymać. Na moje pytania generał Rozwadowski dawał mnie różne wyjaśnienia, mimo to nie mogłem pozbyć się wątpliwości, które ciągle mi siedziały w głowie. To, co się działo, było zbyt nadzwyczajne i dlatego postanowiłem pojechać na miejsce, by stwierdzić stan rzeczy własnemi oczyma. Przyjechałem na front lwowski z Przemyśla pociągiem pancernym, inaczej bowiem nie chciano mię wysłać. Przybyłem do Lwowa i obszedłem różne części frontu. Obserwowałem

miasto, obserwowałem życie wojskowe, rozmawiałem z dowódcami, widziałem pracę i — wyznaję państwu — wróciłem mocno uspokojony. To, co wydawało mi się przedtem dziwacznem, okazało się naturalnem, co wydawało mi się naturalnem — okazało się dziwacznem. Organizacja wojska wydała mi się jakąś niesłychaną pstrokacizną, niemożliwą do dowodzenia, i żądałem od generała Rozwadowskiego, tak, jak i od później wyznaczonego generała Iwaszkiewicza, zreorganizowania tego tłumu bez organizacji, za który uważałem ówczesne wojsko, zebrane pod Lwowem. Mnóstwo drobnych oddziałów, rozbitych na kompanie, na grupy, podgrupy najrozmaitsze, ich ułożenie było tak trudne i skomplikowane, iż przypominam sobie, że mniej więcej półtorej godziny spędziłem z generałem Rozwadowskim i jego szefem sztabu dla wytłumaczenia mi prostych rzeczy, a które technicznie w wojsku nazywamy *ordre de bataille*. Natomiast przegląd wojsk, walczących pod Lwowem, uspokoił mię pod jednym względem: to, co mi się wydawało trudne, to ludzie łatwo wykonywali.

Stało tu wojsko tak źle ubrane, wojsko tak licho wyekwipowane, wojsko tak źle zaopatrzone, wojsko, stojące na samej peryferji wielkiego miasta i broniące się na 60 kilometrowej przestrzeni, na froncie, gdzie się ludzie nieledwie plecami o siebie opierali. Było to takie sprzeczne z wszelką strategją, że zdawało się niemożliwe, by ludzie ci mogli długo się utrzymać. Jeżeli zdołali, to właśnie dzięki wartości moralnej. Żołnierz na tem przedmurzu naszej Polski, którem jest Lwów, gdzie wszystkie wiatry ze wszystkich kierunków dają sobie *rendez vous*, gdzie zatem jest względnie trudno wytrzymać

nawet dobrze ubranemu człowiekowi, ów wytrzymał nieraz pół nago, nieraz boso, nieraz głodny, gdyż aprowizacji dostatecznej dać nie było można. Wszędzie, gdzie byłem, widziałem ducha i pewność, że się utrzyma. Kampanja lwowska należała, zdaniem mojem, do najcięższych rzeczy, które żołnierze wytrzymali. Nie dziwię się wcale wrażeniu cudzoziemców, którzy potem ze łzami w oczach opowiadali mi o bohaterstwie żołnierza naszego, który w takich warunkach pracować jest w stanie. Mówili mi, że jeżeli kiedykolwiek wątpili o prawach Polski do Lwowa, to widok żołnierza polskiego, który w tych warunkach w tem piekle życiowem, w którem żaden inny żołnierz dwa tygodnie przetrwaćby nie potrafił, to widok tych żołnierzy, którzy z zapałem bronili tego miasta, był dostatecznym motywem, aby przyznać go Polsce.

Powtarzam, wojsko pod Lwowem składało się z trzech części: z ochotników lwowskich, liczebnie najmniejszej części, z liczniejszych od nich ochotników z zachodniej Galicji i z najbliższych okolic i peowiaków, ściągniętych przeze mnie w drodze mobilizacyjnej pod broń, a którzy stanowili najliczebniejszą część wojska, broniącego Lwowa.

Przechodzę, moi państwo, do strony moralnej obrony Lwowa. Jest faktem niezaprzeczonym, że zapał i chęć obrony zagrożonego miasta w całej Polsce była bardzo wielka. To dodawało zapału, dodawało wytrwania żołnierzowi w ich ciężkich materjalnie warunkach. Moralne znaczenie miało i zachowanie się samego Lwowa. Jestem starym żołnierzem, który wiele rzeczy jako żołnierz widział. Dlatego też, przyglądając się Lwowowi w czasie swego pobytu, miałem, przyznam się, w pierwszej chwi-

li niechęć do przeceniania znaczenia wojny pod Lwowem. Wojna tu oddechem swoim nie niszczyła. Nie płonęły tu pod gorącym oddechem wojny, tak, jak gdzieindziej, tysiącletnie wieże kościelne, jak źdźbła słomy, pod naciskiem wybuchów, nie waliły się wieże, kamienice i wasze mieszkania, pod gorącym i zatrutym oddechem wojny liście waszych parków nie opadały zatrute, tak, jak to było gdzieindziej. Pod gorącym oddechem wojny nie zamierało życie całe tak, jak to było gdzieindziej. Oddech wojny mnie, żołnierzowi, wydawał się łagodny. Działał on jednak na miasto, tylko inaczej. Miasto o stukilkudziesięciu tysiącach mieszkańców ma swoje konieczne potrzeby. Te potrzeby odcinała wam wojna. Woda, asenizacja, aprowizacja — te przekleństwa życia w wojnie, działały na miasto, robiąc powoli, lecz skutecznie zgubę miasta, zgubę jej mieszkańców. Siłę tego działania czuć było w mieście, czuć ją było przez zmysł powonienia, czuć ją było na bladych twarzach dzieci, na zmęczonych twarzach kobiet i mężczyzn, na żniwie śmierci, która chodziła po mieście, biorąc i chwytając drogie każdemu człowiekowi osoby. To zatrucie powolnym oddechem wojny, bez całej grozy wojny, bez tego całopalenia miasta w jednym wybuchu, było może dla mieszkańców silniejszą próbą, niż ten silny oddech wojny, który w jednej chwili niszczy tysiąc lat kultury i budowy i który człowiekowi żadnej nadziei w jednej chwili nie pozostawia. Tu codziennie trzeba było walczyć o nadzieję, codziennie walczyć o siłę wytrwania. Wojsko, rozrzucone na samym brzegu miasta, tramwajem jeździło do okopów, wracając tramwajem z placówki do kawiarni, mieszając się z ludnością.

Ludność stawała się wojskiem, wojsko stawało się ludnością. Żaden wpływ dowódców nie mógł być tak silny, jak to codzienne przenikanie wojska do ludności i ludności do wojska. Istniała codzienna zależność żołnierza od ludności, codzienna zależność ludności od dobrego lub złego humoru swego obrońcy. A trwało to tak miesiącami. I kiedym ja, jako sędzia wojskowy, dający nagrody, odznaczający ludzi, myślał i przemyśliwał nad kampanją pod Lwowem, to wielkie zasługi waszego miasta oceniłem tak, jakgdybym miał jednego zbiorowego żołnierza, dobrego żołnierza i ozdobiłem Lwów krzyżem orderu „Virtuti Militari", tak, że wy jesteście jedynem miastem w Polsce, które z mojej ręki, jako Naczelnego Wodza, za pracę wojenną, za wytrzymałość otrzymało ten order.

Lecz, moi panowie i panie, były w czasie walk o Lwów, przynajmniej dla mnie, a sądzę i dla innych, duże moralne przeszkody i muszę się przyznać, jak przyznałem się z początku do błędu, że razu pewnego w Belwederze, gdy z codziennym rannym raportem wchodził do mnie adjutant, by mi zameldować o audjencjach powszechnych, znalazł mnie w niebywałej dotąd postawie. Przy boku leżał pistolet i powiedziałem adjutantowi, patrząc mu w oczy i grożąc, słowa: „Lwów, a strzelam!" Adjutant przerażony wyszedł i skreślił wszystkie audjencje w sprawie Lwowa. Przyznaję się do tego faktu. Tysiąc trąb jerychońskich brzmiało wówczas po całej Polsce, ziało oddechem niechęci i nienawiści, nie przeciw Rusinom, ale przeciw mnie, nie przeciw tym, którzy Lwów chcieli zabrać, lecz przeciw temu, kto obroną Lwowa kierował. Tysiące trąb jerychońskich burzyło mury nie wroga,

bo tam się „koń śmiał“ z tych trąb jerychońskich, lecz moją duszę, Naczelnego Wodza, który miał cztery piąte swych sił nie gdzieindziej, jak pod Lwowem. Trąby jerychońsko-narodowe grzmiały oskarżeniem o zdradę wszelką, syczały, jak płaz pełzający, by wzbudzić w obrońcach Lwowa bezsilność, gdyż mieli oni nie wierzyć swemu dowódcy, gdyż mieli oni mieć wtąpliwość w stosunku do jego zamiarów, mieć wątpliwość w stosunku do jego rozkazów.

Cui bono tak się robi? Dla kogo tak się pracuje? Dla Polski? Nie wierzę! Trąby jerychońskie, wysyłające do mnie piętnaście delegacyj codziennie, z krzykiem szantażujące z moich ust słowa poddania się, szantażyści, nie znający siły, szantażyści, ośmielający się patrzeć tam, gdzie ich oko nie sięga! Trąby jerychońskie brzmiały wówczas rozgłośnem echem, tworząc legendy, powtarzane i dotąd, tworząc fałsze historji w stosunku do istotnych obrońców Lwowa, w stosunku do 5-go pułku Legjonów, od którego działań datuje się chwila, gdy Lwów jest polskim, w stosunku do ogromnej liczby obrońców Lwowa, co, służąc poprzednio w P. O. W., tu przed murami miasta śmierć, kalectwo lub brak zdrowia na całe życie wynosili. Trąby jerychońskie, brzmiące wymysłami o zdradzie Naczelnego Wodza, trąby jerychońsko-narodowe, które tu o condominium gadały z Rusinami, bojąc się stanąć oko w oko z wrogiem, które psuły powietrze belwederskie swoją obecnością! Przychodzą ci panowie, którzy zawsze od kuli uciekali, przychodzą panowie ci z krytyką w stosunku do dowódców wojskowych. Panowie ci ośmielili się podnosić głos, mówiąc, że taki a tak generał dwa bataljony tam lub gdzein-

dziej posłał i że z tego powodu Lwów upadnie. Mogę wymienić nazwiska tych delegatów. Zaproponowałem im wtedy (a byli to posłowie), by za moim podpisem podjęli dowództwo nad wojskiem. Tego nie chcieli wziąć. Trąby jerychońsko-narodowe jeszcze i teraz napadają na mnie w jakimś dzienniczku. Tytuł: *Dlaczego krwią polską zalewał się Lwów? Na marginesie II Zjazdu b. Legjonistów,* gdzie ze znanej książki, traktującej obronę Lwowa z punktu widzenia obrońców ulicy Bema, a nie z punktu widzenia Naczelnego Wodza, pomieszczone są jakieś nieznane mi sprawy z jakimś porucznikiem Eustachiewiczem, które w dodatku są zaprzysiężone.

To jest charakterystyka trąb jerychońskich! Więc niechaj piękne lwowianki i zacni lwowianie wybaczą, że byłem w tem stadjum zniecierpliwienia, że na słowo Lwów chciałem pociągnąć cyngiel pistoletu. Nie mogłem znosić tego! Cui bono, pytam, panowie, całe to łgarstwo, cui bono, bono, cała ta brudna kampanja, która nie upiększy naszych dziejów? Cui bono? Jako odpowiedź posłużyć może fakt następujący. Wtedy, gdy tutaj broniono Lwowa, napół nago, napół boso, wtedy, gdy tutaj codziennie albo co godziny brakowało naboi, wtedy, gdy wojsko moje wyglądało, jak żebraki, w tym samym czasie istniało inne wojsko. Inne wojsko, które polskiem też się zwało. Inne wojsko, ubrane w świetne mundury, mające broni poddostatkiem, uzbrojone świetnie, wedle wszelkich zasad nowoczesnej techniki wojennej, z mnóstwem doskonałych armat, z mnóstwem karabinów maszynowych i z żołdem, przewyższającym tysiąckrotnie płace moich żołnierzy i oficerów. Podoficer w wojsku tem

brał tyle, co u mnie pułkownik. Tworzyło się to wojsko w tym samym czasie, gdy mnie o zdradę w stosunku do Lwowa oskarżono. Stawały tam bataljony za bataljonami, dywizje za dywizjami, stawały pod osłoną polityczną tychże trąb jerychońskich, tegoż rządu innego, który gdzieś nad Sekwaną wojsko to trzymał z bronią u nogi, trzymał wojsko to inne polskie z bronią u nogi, pomimo żądań moich i błagań, by mnie, padającemu niekiedy przed siłą przemocy, pomoc dano. To wojsko stało nad Sekwaną, ale trąby jerychońskie brzmiały o zdradzie, o zdradzie Legjonów, o zdradzie Polskiej Organizacji Wojskowej i o zbrodniach narodowych ich Wodza i dowódcy, niejakiego Józefa Piłsudskiego.

Mówiłem na początku odczytu o sądzie historji, o sądzie podrastających dzieci, które z trwogą nieraz badać będą, gdzie był mój ojciec, gdzie była moja matka? Te pierwsze dnie Polski, te pierwsze trudy, te dnie trwogi i niepokoju, dnie gorączkowego miotania się każdego człowieka, niepewnego jutra, niepewnego, czy kładąc się do łóżka, wstanie z tego łóżka nazajutrz, te dnie nadzwyczajnych wysiłków i nerwów, te nerwowe pomysły, te dnie cudu polskiego, tworzącego Polskę własnemi nareszcie dłońmi, te dnie niemocy i bezsilności są związane z waszem mastem, związane nierozerwalnie. Przez kilka miesięcy bowiem lwia część tych bied, tych niepokojów i tych wysiłków przypadła wam i waszemu miastu. Dałem te fakty, które znam, dałem swoje postępowanie, swój nieraz przykry dla was sąd, swoje nieraz nieprzyjemne określenie, dałem je z równym spokojem, z jakim stanę przed każdym sądem w tej sprawie. Przyszły historyk fakty te badać będzie. Przyszły historyk będzie musiał my-

śleć, co znaczył fakt, że gdy jedni dokonywali tak wielkich wysiłków dla stworzenia własnemi siłami państwa, zewsząd przez wrogów otoczonego, że gdy jedni rzucali młodzież ochotniczą boso, bez naboi i bez ubrania, to inni Polacy tychże obrońców o zdradę oskarżali, tymże obrońcom w twarz pluli. Co znaczy fakt posiadania w chwili niebezpieczeństwa wojennego gdzieindziej wojska polskiego, wyekwipowanego wyśmienicie? I wówczas może historycy odpowiedzą na pytanie, rzucone przeze mnie: Cui bono tak się robi? Dla kogo tak się służy? gdzie być może ta przyczyna? gdzie powód tak dziwolągowego zjawiska? Nad tem zastanawiać się nie chcę. Swoją pod tym względem hipotezę podam gdzieindziej, podam tam, gdzie „cui bono" jest bardziej wyraziste, podam ją w mojem rodzinnem Wilnie. Tutaj, we Lwowie, ograniczam się do rzucenia panom tego pytania, co znaczą oszczerstwa, co znaczą trąby jerychońskie, jak wielki wpływ wywrzeć one mogą w chwili kryzysu i w chwili przełomu, jak niebezpiecznem jest wtedy ucha skłonić ku wierze trąbom jerychońskim, które niosą nie siłę, lecz słabość narodu i państwa.

Proszę państwa, kończę krótkiem streszczeniem. Lwów w początkach naszego istnienia zajął bardzo wielkie i zaszczytne dla niego miejsce. Stał się on centrum myśli, życzeń, serc i uczuć polskich. Zaszczytna to rola i niejedno miasto wam tych chwil zazdrości. Lwów wytrzymał ciężką walkę. Przedewszystkiem walkę z sobą, walkę z własną słabością, z własnem niedomaganiem i, zwyciężywszy własną słabość, dał moc i siłę obrońcom. Obrońców z pośród siebie miał względnie niewielu — większość przybiegła skądinąd. Miasto zostało polskiem,

po akcie odwagi i czynu 5-go pułku legjonowego, pod dowództwem podpułkownika Tokarzewskiego. Im przypisać należy fakt, że Lwów od tej chwili, gdy pułk ten wszedł do Lwowa, stał się nazawsze polskim. Czyn ten tem bardziej jest znaczny, że zrobił to wbrew bojaźniom, wbrew naciskom bezpośrednich swoich władz przełożonych, zrobił to na własną rękę i na własne ryzyko. Obrońcy Lwowa składali się z trzech nierównych części. Pierwsza — to wasze dzieci, dzieci Lwowa; druga, liczniejsza część — są to wasi rodacy z zachodniej Galicji; najliczniejsza część — są to zmobilizowani peowiacy z Królestwa Polskiego. Tak wygląda istotna historja. Państwo całe, ledwie żyjące, wykazywało w stosunku do was prawie jednolitą chęć pomocy. Osłabioną zaś pomoc została moralnie przez dziwoląg historyczny, nad którym biedzić będą sobie głowy historycy, że istniały wówczas w Polsce dwa rządy: jeden w Polsce, drugi nad Sekwaną, konkurujące i zwalczające się wzajemnie zapomocą najrozmaitszych środków. Do środków tych ze strony rządu nad Sekwaną należało zatruwanie życia rządu w Polsce, pomiędzy innemi jego głównego przedstawiciela, zapomocą trąb jerychońsko-narodowo-oszczerczych. Ten fakt przejdzie przez całą pracę czteroletnią, jako fakt nieodłączny od naszego życia publicznego, od naszego życia politycznego. W okresie walk o Lwów fakt ten szczególnie jasno występuje, gdyż Lwów oznacza wielki przełom i wielki kryzys naszego państwa. Występuje tu naga moralna wartość jednych i drugich. Moralna wartość istotnej pracy i moralna wartość trąb jerychońskich, do których zwracam jeszcze raz swoje pytanie: — Cui bono w owe czasy to robiono?

XI

WYWIAD „SŁOWA" WILEŃSKIEGO

(14 sierpnia 1923)

Pierwszem zapytaniem, skierowanem do Pana Marszałka, była prośba o wyjaśnienie, jaką przewiduje on ewolucję dzisiejszych wewnętrznych stosunków politycznych w kraju.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie — *wyraził się Marszałek* — gdyż temat jest zbyt szeroki. Możnaby o tem całą książkę napisać.

— *A czy zechce Pan Marszałek odpowiedzieć na konkretną kwestję, mianowicie — czy Pan Marszałek przypuszcza możliwość powstania nowego rządu pozaparlamentarnego?*

— Dlaczego nie — wszystko jest możliwe, gdy sejm nie przedstawia wyraźnej i jednolitej większości.

— *Czy Pan Marszałek nie zgodzi się na argument, że dzisiejsza większość w walce wyborczej, oparta na demagogji, wykorzystała te arcy-demokratyczne zasady ordynacji wyborczej, które ustalił sejm przeszły. W ten sposób czy nie można zaryzykować argumentu, że lewica została pobitą własną bronią: demokratycznością ordynacji wyborczej?*

— Nie uważam ordynacji wyborczej za zbyt demokratyczną. Cechą jej jest, że oparła się o system stronnictw i to stronnictw tych, które już były w sejmie poprzednim. Sejm poprzedni wybrała przecież jeszcze Polska niewoli. Sejm obecny nie pozyskał żadnych nowych wartości. W czemże się różni od swego poprzednika? Przy-

była tylko szesnastka, pozatem nic, coby było zbudowane przez 4 lata wolności.

— *Więc Pan Marszałek uważa, że sejm dawny stabilizował dawne stronnictwa?*

— Próbował stabilizować dawne stronnictwa. W każdym razie ordynacja wyborcza, uchwalona przez sejm dawny, nie dopuściła do izby nowych wartości politycznych, które powstać musiały za czasów istnienia wolności.

— *Czyli, zdaniem Pana Marszałka, gdyby ordynacja wyborcza nie zawierała wszystkich instytucyj, utrwalających panowanie partyj, a więc instytucji list państwowych, przymusu partyjnego przy głosowaniach na listy, wreszcie samego systemu głosowania na listę — toby sejm miał wygląd inny?*

— Niewątpliwie.

— *A czy Pan Marszałek nie uważa, że w społeczeństwie istnieje pewne rozgoryczenie z powodu majoryzowania świadomych kół wyborczych przez analfabetów i łatwości wygrywania demagogji w takich warunkach?*

— Nie. Istnieje co innego — rozczarowanie do istoty parlamentaryzmu, ale to rozczarowanie przeżywamy z całą Europą.

— *Czy Pan Marszałek poruszy momenty polityczne w swych odczytach o obronie Wilna?*

— Będę mówił o pracy dowodzenia i ilustrował to dobrze mi znaną kampanją wileńską, którą dowodziłem. Łączy się to z mojemi pracami przed wojną. Odczyty te będą miały charakter wojskowy. Będę mówił popularnie, gdyż o rzeczach wojskowych zawsze mówię popularnie, ze względu na nieobycie się społeczeństwa z temi zagadnieniami.

— *Czy nie wspomni Pan Marszałek o samoobronie wileńskiej, mówiąc o całości kampanji wileńskiej?*

— Historja samoobrony wileńskiej nie należy bezpośrednio do kampanji wileńskiej, która odbyła się pod mojem dowództwem i która będzie tłem ilustracyjnem moich odczytów.

XII
DOWODZENIE PODCZAS WOJNY

(sierpień 1923)

WYKŁAD I.

(16 sierpnia 1923)

Marszałek oświadcza zebranym, że mówić będzie o *Dowodzeniu podczas wojny*. Czem ono jest, jakie ma znaczenie, z jakich składników psychicznych się tworzy i jakie są jego niejako gatunki?

Czem jest dowództwo? Jest koniecznym rozkazem, wolą jednostki nad zbiorowiskiem ludzi; żadna praca ludzka bez dowództwa nie da się pomyśleć, co więcej — w rodzinie, w stosunkach bliskich, musi też być dowództwo starszych nad młodszymi, matki nad dzieckiem i tak dalej. W Polsce, gdzie tyle charakterów słabych, jest tendencja do współrządzenia, współdowodzenia, co zawsze osłabia naturę dowództwa.

W wojsku inaczej być musi, tam nie można dopuścić do tworzenia fałszywych pojęć, dyskusyj i wahań, gdyż praca wojenna prowadzi dane indywiduum zapomocą nakazów takich, jakie się nie spotykają w normalnem życiu. Dowódca na wojnie żąda od ludzi najcenniejszych skarbów — życia. Człowiek jest oddany człowiekowi, ze wszystkiemi jego wadami i zaletami, wadom i zaletom wodza. Żadna dziedzina nie zna takiego dowodzenia, bo sięga najgłębszych praw... praw życia.

Bierze całość moralną i fizyczną człowieka i daje swoją całość moralną i fizyczną.

Każda praca wojenna jest szukaniem zwycięstwa. Operacje wojenne to jest ta technika pracy, która kieruje ruchami wojska od góry do dołu. Dowództwo pracuje rozkazami w stosunku do pewnej grupy ludzi, którzy są wykonawcami rozkazów, ci przekazują je dalej i właściwie dowodzi się tylko kilku ludźmi. Ci myśl dowództwa, czyli wodza, przekazują dalej i dalej, aż do najdalszych formacyj wojskowych. Cała sztuka dowodzenia jest zrozumienie rozkazów wodza, przeniknięcia ich ducha przez podwładnych.

Wszyscy w wojsku są odbiorcami rozkazów, prócz wodza naczelnego — ten tworzy rozkazy. Praca, która buduje w myśli dowódcy rozkaz, poruszający masy, powstaje zapomocą koncepcji, będącej pierwotnie zarysowanym projektem planu, czyli widomego już czynu.

Plan — jest to już praca techniczna; wszystko, co jest koncepcją, przechodzi w plan lub umiera, zastąpione nową koncepcją, nową myślą, stosowną do okoliczności, zależną od powstałej i ujrzanej koncepcji wroga lub usłyszanej koncepcji współtowarzyszy.

Zadaniem duszy ludzkiej wogóle jest tworzenie; koncepcje są tworzeniem nagłem, rodzajem natchnienia, dowództwo — to zdolność koncepcji; są wodzowie o specjalnie lotnych, żywych, obfitych koncepcjach, gotowi zawsze znaleźć je w zastosowaniu do każdej okoliczności. Takim wodzem był Prądzyński, którego umysł tworzył szybko i ciągle nanowo. Typem ciężkiej koncepcji był Kuropatkin, nie umiejący zmieniać raz powziętych pomysłów, wytwarzający w sobie jakby zatory

myślowe, które prowadziły do klęski, jak to miało miejsce pod Sandepu, bowiem miejsce to stało się przegraną bitwą wskutek tej zasadzki myślowej, jaka czyha na ludzi, nie umiejących szybko zmieniać i tworzyć nowych koncepcyj. Przy pierwszem załamaniu się — przegrana.

Bowiem *l'idée preconçue* zawsze przeszkadza dobrze widzieć i dobrze obserwować. Wódz zaś musi mieć koncepcję niejako na każdą okoliczność gotową i tem prowadzi armję, jak dobry tancerz tancerkę; zły będzie wódz, postępujący, jak tancerz, co od pieca tylko umie zaczynać i, wyczekując odpowiedniego momentu, właśnie się puści bez taktu.

Wódz może brać cudze koncepcje do pomocy swoim, nie jest to jednak wskazane, bowiem największą wartość indywidualną i siłę mają własne, bez ubocznych wpływów pomysły. Do wykonania dochodzi tylko mała cząsteczka koncepcji, nawet do planowania zostaje część tylko pomysłów, a ileż ich trzeba porzucić dobrowolnie lub z musu.

Praca koncepcyjna jest początkiem pracy operacyjnej. A często koncepcje cofa się u wrót rozkazu, wobec koncepcji nieprzyjacielskiej. Wszyscy otrzymują koncepcje gotowe do wypełnienia; tworzy je wódz ,on ma obowiązek tworzenia.

Przejdźmy do koncepcji wyprawy wileńskiej, ponieważ w niej znajdą się przykłady na to, co było mówione poprzednio. Gdy w roku 1918—1919 Wilno znalazło się w rękach bolszewików, dzieliło mię od niego 300 kilometrów i siły niemieckie i bolszewickie. Miasto mego dzieciństwa, kocham je i tęskniłem doń latami całemi, los Wilna — to był we mnie ten węzeł psychiczny i mus, który

ciągnął koniecznością. Na wielkim ekranie duszy dalekie Wilno malowało się różową plamą, na północ od wielkiej czerwonej plamy — walczącego Lwowa, gdzie mus nakazywał posłać posiłki. Było duszy, jako owej kobiecie w *Weselu* Wyspiańskiego: „Mus mnie woła, raz dokoła, raz dokoła!" Ja, wołał mus lat młodych, miłości i wspomnień, i Wilno dla mnie było dziedzictwem długich lat tęsknot i przywiązań.

Wodzowie mają swe predylekcje do tych lub owych koncepcyj i to może być dla nich niebezpiecznym węzłem myślowym. Pod Lwowem rysowała się wojna jasna i wyraźna, pod Wilnem nie było nic określonego. Konieczność dania posiłków dla Lwowa była widoczną, a los Wilna stanowił jakby zasadzkę w planie wojennym.

Czy źle zrobiłem, dając zemrzeć mojej koncepcji posłania pomocy Wilnu w grudniu 1918 roku — niech osądzi historja.

WYKŁAD II.
(17 sierpnia 1923).

Pierwsza koncepcja co do Wilna była nieudana z powodu niemożliwości i należało tworzyć inną. Jesteśmy w styczniu 1919 roku: tworzą się w myśli mojej nowe koncepcje, ale dopiero w lutym zaczyna się planowanie czyli realizacja myśli. Nie zatrzymując się na wszystkich szczegółach planowania, zaznaczę, że z jednej strony musiałem się zajmować jako Naczelny Wódz działaniami wojennemi pod Lwowem i tam było zaangażowane cztery piąte mojej duszy i cztery piąte sił mojej armji. Wilno jednak nie dawało mi o sobie zapomnieć. Była to jakby konkurencja między Wilnem a Lwowem, ale to nie mogło zajmować mego umysłu, była to walka uczuć, nie pojęć jako wodza, pojęć realnych. Z jednej strony sielanka uczuć i wspomnień w stosunku do dalekiego i niepewnego Wilna, z drugiej twarda rzeczywistość, wołająca pod Lwów.

Teatr wojenny zaczynał się tworzyć. Miałem przed sobą nieprzyjaciela, który się cofał krok za krokiem, nie mając zamiaru walczyć z nami, ale oddając bolszewikom na północy, a Ukraińcom na południu miasteczka i wioski, miasta i ziemie. Nie mogłem Niemców uważać za nieprzyjaciół w znaczeniu wojennem i nie potrzebowałem ich brać

w rachubę. Po Wilnie — Lida, Słonim, Wołkowysk przechodziły w ręce bolszewickie; widziałem, że za wszelką cenę trzeba zająć Brześć i wydałem odpowiedni rozkaz, ryzykując walkę z Niemcami. 8 lutego wpadł Brześć w nasze ręce i front się utworzył.

Nie mogąc w żadnym razie odciągnąć sił od Lwowa, zająłem się organizowaniem wojska z emigrantów, stworzyć bowiem chciałem jednostkę bojową swoistą, o zadaniach specjalnych, na Wilno przeznaczoną.

Zaczęły się też wtedy moje obserwacje nad nowym, nieznanym wrogiem, przed którym drżała Europa i który przedstawiał wielką tajemnicę, a wszyscy uciekali z miejsca, gdzie jego noga dotknęła.

Już na początku walk z armją bolszewicką spotkała mnie ta niespodzianka, że moje źle wyekwipowane wojsko, słabe liczebnie, prawie bez strat, brało duże przestrzenie, idąc przed siebie, jak w masło.

Były to nowe dane o nieprzyjacielu i weszły w moją duszę, jako podstawa do nowej koncepcji. Ocena nieprzyjaciela na wojnie jest rzeczą bardzo trudną. Bolszewicy byli organizacją nieznaną, którą zbadać nie było łatwem zadaniem.

Nasze obserwacje i badania były chwiejne, jedyną rzeczą wiadomą była łatwość posuwania się i to, dając mi wrażenie słabości nieprzyjaciela, ożywiło pracę koncepcji wileńskiej. Myśl bowiem biegła ku możliwości wyzyskania tej wyraźnie mojej nad niemi przewagi.

Jest jeden wielki pan — władca myśli wojennej i działań — to przestrzeń, którą rozważać musi

każdy wódz. Ile razy przebiegałem myślą te 290 kilometrów, dzielących mnie od Wilna, — myśl się cofała. Siły miałem za małe, przestrzeń bowiem w pracach wojennych nie może być próżnią, musi być zapełniona pracą dowódcy i podwładnych, ruchami wojsk i tak dalej.

Była też przeszkoda geograficzna, której myślą nie mogłem przeskoczyć, nasz stary Niemen, który od Olity do Mostów idzie w jednym kierunku, a od Mostów ku puszczy Nalibockiej w drugim, tworząc pętlę, w której mogły się znaleźć moje wojska. Każda rzeka jest wielką przeszkodą w operacji. Niemen był jednym z węzłów psychicznych, który stał się tem straszniejszy, że na leżało przypuszczać, że mógł nie mieć mostów, a budowa nowego wydała mi się wielce problematyczną. Przed tą przeszkodą myśl moja cofała się wiele razy. Wiadomość o przejściu pod Mostami naszych wojsk poruszyła całe moje jestestwo. Więc to jednak możliwe? Więc trzeba w to włożyć całą duszę.

Dla pracy koncepcyjnej trzeba rzeczy, które u każdego dowódcy odgrywają rolę ważną; naprzykład, sprawa przestrzeni, związana z czasem, wytwarza te konieczne węzły myślowe, przy których praca koncepcyjna zatrzymać się musi.

Prócz Niemna i braku mostów miałem inną geograficzną trudność — lasy. Lasy są przeszkodą dla jednych, a pomocą dla drugich — to nowe węzły myślowe, takiemi były dla mnie puszcze Grodzieńska i Rudnicka. Trzeba też wziąć pod uwagę drogi. Drogi są dobre dla wojska wtedy, gdy mogą po nich przejść nietylko konnica i piechota, ale artylerja i tabory. Miałem dwie drogi na Wilno.

Droga do Wilna prowadziła albo przez Różankę, Raduń, Rudniki, albo traktem lidzkim — 180 kilometrów. W języku wojennym oznacza to pewną ilość marszów. Jazda forsownym pochodem przestrzeń tę przebędzie w trzy dni — piechota w sześć. W chwili koncepcji muszę pamiętać i o nieprzyjacielu, który wciąż myśli o paraliżowaniu moich planów. Liczmy, że mam 8 dni pracy, nim dojdę do Wilna.

Ale trzeba wziąć w rachubę wszelkie okoliczności, które będą działały na naszą lub wroga korzyść, — bolszewicy mają gotową kolej z Mińska do Wilna — my posuwamy się pieszo.

Z jednej strony mamy Grodno, zajęte przez Niemców, których podejrzewam o zmowę z bolszewikami, z drugiej — Lidę w rękach bolszewików.

Idąc najkrótszą drogą na Wilno, muszę przejść przez niezmiernie niebezpieczne miejsce pod puszczą Rudnicką, gdzie odległość między koleją Wilno — Grodno i Wilno — Lida wynosi tylko 50 kilometrów; miejsce to jest nadzwyczaj zwężone, wcięte, jak kibić osy, i przez to niebezpieczne.

Praca koncepcji — to praca w niebezpieczeństwie i niepewności; ogarnia trwoga i niepokój, tworzą się konieczne węzły myśli, przy których krystalizuje się wyraźna postać zamiaru, i tę można już na mapie narysować.

Na przestrzeni, przede mną leżącej, rysują węzły: bolszewicy, Niemcy, tam mus mnie woła, a myśl się okręca koło koncepcji, tworząc chocholi taniec, zostawiający niezatarte ślady w duszy podwładnych, którzy pod wpływem wodza wchodzą w te same węzły myślowe.

Trzeba myśleć o wrogu i o tem, że on o nas myśli. Trzeba pamiętać, że przestrzeń to wróg, którego też zmóc trzeba. Wyzyskać ten najpiękniejszy przywilej wojny, niespodziankę, która zabija siłę.

Element niespodzianki na swoją przeciągnąć stronę — oto nowy węzeł psychiczny. Przestrzeń jest wroga: nie daj im czasu, chwytaj wszystkie możliwości, by stworzyć niespodziankę, wszystkiego, co ją zwiększyć może, użyj.

A całą siłą niespodzianki jest jej nagłość, wtedy słaby staje się, choć na krótko, silny.

Czas i przestrzeń były jednak przeciw mnie.

W lutym koncepcja pozostawała jeszcze martwa, nie przeszła w rozkaz. Półtora miesiąca żyła nieujawniona; za nią przemawiała łatwość zdobywania terenów na bolszewikach, a przeciw niej — obustronne niebezpieczeństwo Lida — Grodno.

Nawet największy na świecie wódz, Napoleon, mówi o swej pracy koncepcyjnej, że się nią męczy i lęka i nigdy nic nie widzi dobrego, ani w różowych kolorach, niech to da świadectwo słów moich. Napoleon porównywa pracę tworzenia planów wojennych do rodzącej w bólach dziewczyny, która niczego nie jest pewną, lęka się, ale i kocha dziecię, żyjące w jej łonie. Koncepcja staje się też łożem Prokrusta dla autora jej, gdy przejdzie w obce dłonie.

W początku marca zacząłem pracować nad realizacją koncepcji wileńskiej; analiza i kalkulacja dała mi 10 tysięcy żołnierzy u nieprzyjaciela, 6 tysięcy pod bronią istotnie, a 4 były to niejasne formacje: Łotysze, Chińczycy, marynarze, nic normalnego, ani określonego. Trzeba było zorganizować nanowo podział armji. Przeznaczyłem dwie

dywizje na front północny, 1-szą i 2-gą, wziąłem najlepszych organizatorów, którym ufałem bezwzględnie, — legjonistów. Zdecydowałem tworzyć też powoli kawalerję, miałem więc dwie dywizje piechoty, trzecią na froncie, sześć pułków kawalerji, cztery pułki miały iść na Wilno.

To był nakaz organizacyjny, przystąpiono do pracy — łatwiej o tem mówić, niż bronić.

Powołałem do przygotowania planu na papierze pułkownika Stachiewicza i podpułkownika Kasprzyckiego.

Pułkownik Tokarzewski miał sobie powierzone organizowanie armji pod względem gospodarczym, który straszliwie mnie dręczył zapotrzebowaniami, niemożliwemi do zaspokojenia. Sosnkowskiemu nie było też nigdy niczego dosyć. Siły wzrastały, ale zaopatrzenie wojska było fatalne, wyszkolenie rekruta trwało 2—3 tygodnie, w większości pułków tylko jeden bataljon miał ekwipunek, uczono strzelać w drodze na front.

Te buchalterje wojskowe, mus dla dowódcy wyboru i poświęcenia jednych rzeczy dla drugich sprawia, że musi on żyć w ciągłych sprzecznościach i widzieć rosnące ryzyko pracy wojennej, jeśli się przedwcześnie odkrywa plan. Po miesiącu przygotowań zażądałem od generała Szeptyckiego, żeby zbadał teren i zarządził koncentrację w Różance w najściślejszej tajemnicy.

Powstały obawy, że Niemcy oddadzą Grodno bolszewikom — wysłałem oficerów, by tę rzecz zbadali, a 24 marca otrzymałem depeszę, donoszącą, że z Grodna na Merecz idą Niemcy z Litwinami przeciwko bolszewikom.

Ta wiadomość, jak się później okazało, zupełnie

mylna, nie została jednak nigdy odwołana. Cały mój plan, zdawało się, runął. Wytworzyły się nowe pojęcia: Wilno mi uciekało. 27 marca przybyły wieści z Grodna o powstaniu spartakusowców — powstał niepokój o Lidę, ale meldunki świadczą, że posuwanie się w tamtą stronę idzie łatwo.

Powstaje jednak nowy węzeł trudności pod Słonimem, gdzie koncentrują się większe siły bolszewickie.

Dochodzą też wieści zatrważające o budowaniu fortyfikacyj na Mereczance i w puszczy Rudnickiej.

A przecież tamtędy droga mojej kawalerji.

Koncepcja, jak dziecko, oddane w ręce obce, łamie się, jak na łożu Prokrusta, z nią dusza wodza; to był najcięższy kryzys koncepcji. Wszystko się sprzysięgało przeciwko niej, ale wytrzymała trwogę mojej duszy.

Zdecydowałem wybrać atak na Lidę — zwiększało to nadmiernie ryzyko, trwogę i niepewność, lecz praca poszła tak, rozkazy zostały wydane, moja koncepcja wbrew wszystkim została uratowana.

Wódz musi tworzyć i, gdy stoi przed decyzją wydania rozkazu pracy, daje obraz męki koncepcyjnej. Widząc swą myśl przerabianą przez innych, doznaje wtedy trwogi, nie zająca, drżącego na miedzy, ale burzy, przechodzącej przez duszę lwa, wczepionego pazurami w ziemię.

Wola, skrępowana w łańcuchy, trzymana jest na wodzy i czeka swego czasu. Wola wodza, gdy się poruszy i odrzuci łańcuchy i trwogi, — zaczyna się zbawcza jej moc.

Rozkosz woli to największe szczęście każdego wodza.

WYKŁAD III.

(18 sierpnia 1923).

Mówiąc o pracach wojennych, za mało poświęciłem uwagi na dowodzenie niższego stopnia, a to jest równie ważne, opiera się bowiem na duszy dowódcy i duszy dowodzonych.

Muszę się dziś zatrzymać na wszystkich rzeczach, które stanowią powikłania i sprzeczności, nieodłączne od pracy wojennej. Na tem, co nazwałem buchalterją wojenną, czyli planowaniem, prawdziwą kuchnią, przygotowującą smakołyki dla wojska i dla dowództwa.

Naczelny wódz w każdej wojnie stanowi część nieodłączną państwa. Musi na sobie wytrzymać ciężar polityki. Wojnę się prowadzi dla polityki, bez niej niema wojny — są one nieodłączne od siebie.

Będąc głową państwa, znajdującego się w boju, spotkałem się na tem polu z czynnikami politycznemi, które nie mogły być zupełnie odsunięte od planów wojennych.

Określenie czasu operacji musi być zawarte w rozkazie dziennym. Ja oznaczyłem sobie ten czas — na wiosnę, lecz to był termin nieścisły, spóźniona wiosna 1919 roku dawała mi ten czas, o który mnie błagali organizatorowie i którego wymagała praca pod Lwowem, ale był inny termin —

opuszczenie Grodna przez Niemców pomiędzy 28 kwietnia a 1 maja.

Jeżeli kiedy żyć mogła moja koncepcja, to tylko wtedy, kiędy w Grodnie nie było nieprzyjaciela.

Przed 28 kwietnia Wilno musiało być moje, gdyż bolszewicy nie mogli sięgać po Grodno, mając Wilno zajęte przeze mnie.

Krótkie obliczenie — do 23-go muszę być w Wilnie — 5 dni na Grodno wystarczy. Muszę zdążyć z organizacją wyprawy. Do całej sprawy jednak wtrąciły się czynniki polityczne. Poprostu przez kucharki, czerpiące wiadomości od legunów z Ostrowia, rozchodziły się wieści o marszu na Wilno.

Jeśli wiedziały o tem kucharki, to cóż dopiero czynniki polityczne? Zawrzało, jak w ulu, — delegacje, burze, sprzeciwy, komisje i nieskończone kłótnie.

Grożono zaburzeniami i manifestacjami przeciw „zdrożnej" chęci rzucenia wojska gdzieindzej, jak pod Lwów. Burza nad moją głową.

Ale trafili na chytrego Litwina. Nadchodzą święta Wielkiej Nocy — rozjadą się na wakacje sejmowe — mam czas, nie zadzierając zbytnio, rzeczy dokonać.

Wola zaczynała pracować, zdecydowałem przyśpieszyć tempo, uratować moją koncepcję i brać Wilno natychmiast.

9-go poszły rozkazy. Zaczynam 15-go, by mieć tydzień czasu, konieczny dla przebycia fatalnych dróg wiosennych. Zamiast dziewięciu bataljonów 1-ej dywizji idzie sześć, zamiast dziewięciu 2-ej — pięć tylko. Reszta ma przyjść później. Przepoławiam swoje siły — biorę to na siebie. Wojsko nie

jest wyćwiczone i wyekwipowane — biorę to na siebie.

11-go burza w sejmie, na posiedzeniu nocnem szukają formułki, któraby mnie, Naczelnemu Wodzowi, postawiła przeszkodę, a mój pociąg stoi już gotów w Rembertowie.

Nazajutrz rozjechaliśmy się: sejm na wywczasy — ja pod Lidę.

Nie ja jeden przechodziłem takie zawikłania: francuski generał Nivelle miał w swoim czasie równie ciężkie starcia z czynnikami politycznemi.

Uważałem, że mam obowiązki współpracy z moim rządem — lojalność była mojem prawem, obowiązkiem.

Gdy oświadczyłem wyraźnie panu Paderewskiemu, który jeszcze przed ferjami sejmowemi wyjeżdżał do Paryża, że idę na Wilno, i pytałem go, czy mu nie przeszkodzę w jego akcji dyplomatycznej, nastąpiła, jak zwykle, niewyraźna dyskusja i życzenie powodzenia, wkońcu zaś obietnica decyzji telegraficznie z Paryża.

Oświadczyłem, że tylko w razie kategorycznego żądania z podaniem powodów cofnę zamierzony pochód.

Otrzymałem telegraficzną decyzję, gdy Wilno było już w mojem ręku.

Radzono zaczekać na przybycie „istotnego" wojska pod wodzą Hallera. Jedynym przychylnym człowiekiem w tej sprawie był ówczesny minister spraw wewnętrznych, obecny prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski. Obiecał pieniądze i poparcie.

Wdzięczny mu jestem za jedyną pomoc, której wtedy doznałem. Ciężko wyznać — byłem Naczel-

nym Wodzem sił polskich, lecz wiedziałem, czemu zawdzięczam to stanowisko. Bo nikt nie śmiał, bo każdy przed tym ciężarem by się cofnął. Gdy wojska prawie niema, to, co jest, wygląda, jak żebraki, gdy wokoło rewolucja kładzie trupami oficerów, wszyscy się cofają. Ja wziąłem to na siebie śmiało i spokojnie, lecz dobrze wiedziałem, że brak mi autorytetu. Wszak byłem tylko brygadjerem, do naczelnego dowództwa — skok olbrzymi. Gdzież doświadczenie — gdzież jest pewność, że podwładny mi nie zarzuci, że on jest mądrzejszy, bardziej zdatny ode mnie.

Gdy państwo wybiera wodza, szuka ludzi silnych, ambitnych, wierzących w siebie. Ambicji tej miałem poddostatkiem. Szukałem tego egzaminu, by dowieść, że co ja zrobię, tego nikt nie zdoła. Piętrzyłem trudności, szukałem nadzwyczajności, by dowieść, że mogę zwyciężyć.

Wilno było moim egzaminem.

Szukałem ludzi, którzyby mi powiedzieli: „Ja to potrafię".

Mój przyjaciel, generał Henrys, patrzył na projekt wileński, jak na szaleństwo.

Szeptycki nie wierzył w powodzenie i uważał za niedopuszczalne, by Naczelnikowi Państwa groziło odcięcie od państwa.

Gdym 12 kwietnia siadł do pociągu, rozbrzmiał on cały śmiechem, ufnością i weselem. Więc moja koncepcja, moje dziecko, — żyje, staje się jawne, idzie. Z drogi inne!

Napoleon powiedział: „śpieszę do wykonania, od męki ucieknę". Wola nie dawała czasu na wahania. Mus mię wołał. Raz, a nie więcej dokoła!

Przechodzę do wykonania. 13-go w głównej kwaterze w Skrzybowcach ogarniają mię dawne wspomnienia: te sosenki i szare chatki, kościołek, na cerkiew zamieniony... znam, zanadto dobrze znam. Jestem więc tam, gdzie być chciałem. Koncentracja skończona, jeszcze parę brakujących bataljonów, jeszcze zaopatrzenia, jakieś braki z powodu pośpiechu, do jakiego mię zmusiły czynniki polityczne.

Zarządziłem wzmożoną pracę na kolei, zawrzał ruch, myśl, zrodzona w samotnym Belwederze, nabiera coraz żywszych barw. Pędzę autem do Lidy zobaczyć to wojsko, które ją zdobywa.

Następują rozmaite przeszkody i niemożliwości — popsute mosty, braki aprowizacji i tak dalej, które rozstrzygam słowem „musi być". I to słowo jest skuteczne. Powoli wyładowuje się wojsko. Żołnierze łażą, klną i żartują z kraju, gdzie tak dużo błota, prawie, jak ów grenadjer Napoleona, który dziwił się, że to nazywają oni ojczyzną. Jenerałowie zatruwają mi życie: Belina zaklina się, że nie może ruszyć bez owsa, prędzej bez chleba dla żołnierzy, stajni niema, konie mu się niszczą. Śmigły dopomina się jakichś menażek dla piechurów, którzy noszą zamiast nich miednice pod pachą. Lasocki kiwa głową nad Lidą, do której podobno przysłali bolszewicy 8 pułków marynarzy.

Szeptycki ze swą niewiarą w powodzenie zwraca uwagę na wzmożoną obronę Słonima, który od Mińska otrzymał posiłki. Następują ostatnie obliczenia, *ordre de bataille* wszystkich moich sił. Ten już podlega rysunkowi, to już jest tak zwana buchalterja wojskowa. Miałem 32000 nieprzyjaciel-

skich bagnetów; na południu 8000 — 9000, reszta na północy. Nasze siły były większe tylko jazdą i armatami.

Pod Lidą miałem suwalski pułk piechoty, 7 pułk ułanów i hałaśliwe piętnastki. Belinę z ułanami pchnę boczną drogą na Wilno. Niech da sławę swej ukochanej broni reidem ułańskim 40-kilometrowym dnia pierwszego, niech dotrze niepostrzeżenie pod samo Wilno, niech wpadnie do miasta gwałtownie od wschodniej strony, gdzie się nie mogą nikogo spodziewać.

Trzymać się w mieście za wszelką cenę, aż przyjdzie lub przyjedzie piechota. Tyś nosiciel, opiekun mego dziecka, niech żyje! Pozostawiony sam sobie, prowadzi ułanów.

W tym czasie ruch na kolei ogarnia dziwna senność — ledwie się ruszają, kolejarze zmykają od oficerów, którzy klną i łają, tworzą się jakieś zatory, zakorkowują się rozpaczliwie pociągi, maszyniści bez telefonów nie chcą jechać „na warjata", wszystko staje.

Rozpoczęcie akcji musiałem odłożyć do dnia następnego (16 kwietnia)

Nagle zjawia się, niewiadomo jak, przejeżdżając przez te zatory, major Brzozowski, nagle dzieje się cud woli jednego człowieka nad wszystkiemi — kolejarze ruszają się, jak wesołe mróweczki, lokomotywy gwiżdżą, pociągi idą, jest ruch, życie, impuls dany. Jedna silna wola porusza wszystkie słabe.

Kończąc na tym przykładzie silnej woli, pozostawiam na następny odczyt opowieść o triumfie zdanego egzaminu.

WYKŁAD IV.

(20 sierpnia 1923).

Zatrzymaliśmy się na momencie rozpoczęcia na dobre pracy wojennej. Miałem za sobą stracony dzień z powodu zatorów kolejowych, wreszcie wszystko ruszyło 16-go. Belina poszedł naprzód, Śmigły za nim, bez dwóch bataljonów, które musimy podesłać mu, gdy tylko nadjadą. Czy przyjdą w porę? Na moście żegnam idącą kawalerję. Moją było rzeczą dodać im ducha, zaświadczyć, że jestem z nimi ciągle, duchowo obecny, że wraz z nimi biorę udział w każdej chwili akcji. Przyjemne mi było zeznać, że moja obecność dodawała ducha żołnierzom; mówił mi o tem Piskor i Belina, każdy szwoleżer mię czuł przy sobie.

Jedna kompanja wyrwała się naprzód, wpadła w zasadzkę i zaczęła się cofać w trwodze. Pułkownik Mackiewicz zatrzymał ją i uporządkował, ja się tem nie zajmowałem, bo nie wolno dowódcy za dużo dowodzić. Każdy musi mieć cząstkę swobody rządzenia, żądam od ludzi duszy, niech ona ma swe prawa, niech podwładni moi sami rozstrzygają węzły psychiczne, zawiązane przez meldunki.

Wracamy do Skrzybowiec i czekamy. Czekać jest losem żołnierza, a często i dowódcy; słychać strzały, gwar bitwy, dusza się wyrywa, a tu stać trzeba, nerwy się szarpią i siły słabną. Dowódca musi umieć czekać i trwać w wesołości i szerzyć

ją koło siebie, inaczej owiną mu się koło serca żmije niepewności i trwogi i innych też ugryzą.

Czekamy... nagle niespodzianka — pociąg pancerny broni Lidy i praży piekielnym ogniem niedoświadczonego rekruta, który niemniej idzie dzielnie do ataku, ale się wreszcie cofa pod ogniem. W tem wybuch! Pancerka rozbita, zapaliły się prochy od naszych pocisków, zmyka z trupami, poszarpana. Więc Lida wnet będzie moja. Cichnie głos armat... godzina, dwie upływają, nadlatuje autem Kasprzycki: „Cofamy się, Lida nie wzięta!" Prędzej auto, prędzej bataljony Śmigłego, dopiero co przybyłe! Pcham je z pułkownikiem Biernackim na Lidę, lecę sam. Dojeżdżam do bateryj. Czemu milczą? Czemu? Amunicji niema! Posłać do Skrzybowiec, a tymczasem sam was poprowadzę, tę jedną baterję, która jeszcze ma czem strzelać. Niechętna, strwożona baterja musi iść za mną... Owionął mnie nagle znany, dawno słyszany gwizd, śpiew kul, kule śpiewają śpiew śmierci... Duszo wojenna, jakże ty złożona jesteś!... Myśl leci nagle ku dawnym legjonowym wspomnieniom. Chłopcy moi, w dalekich grobach leżący, oto wasze marzenia się spełniły! Wasz Komendant jest wodzem Polski, bądźcie z nim, niech duch wasz towarzyszy moim żołnierzom! Dajcie mi Wilno na święto Wielkiej Nocy! Bataljony nadchodzą, walka się wznawia, na noc przerwa, niech odpoczną Suwalczanie; Lida otoczona, o świcie będzie, musi być wzięta!

Nadchodzą mi raporty o ruchach mych wojsk wokoło: Belina melduje, że jest już w Żyrmunach, że nieprzyjaciela nie widzi, że oddziały czołowe w marszu naprzód, na północ. W Bastunach patrol

bolszewicki, ostrzeliwują Żyrmuny i posłali 2400 marynarzy do Lidy, błoto grząskie, czekamy na tabory. Śmigły melduje rozpaczliwe wieści o stanie swej nieszczęsnej piechoty, która lgnie w błoto, niema kontaktu z taborami, ludzie nie mają co jeść, tabory grzęzną, konie padają ze zmęczenia i z głodu, iść nie mogą.

Od Baranowicz idzie ostry bój, trudności, od Grodna wieść, że Niemcy tam grabią i pobili się z naszemi posterunkami. Koło Łunny mają być oddziały litewskie, w Zdzięciole — bolszewickie. Z Mińska podwożą siły pod Brześć, pod Baranowiczami też walka się wzmaga. Zawistowski jest w niebezpieczeństwie, za mało mamy kawalerji, a ta, co jest — wycieńczona. Pod Słonimem bardzo niebezpieczna sytuacja, przygotowania do ataku.

Ostatnią depesza, jaką otrzymuję 16-go, jest meldunek majora Bobiatyńskiego, który koło Leśnej prosi o posiłki. Podobno zwycięstwo pod Baranowiczami wykluczone, krótko walczą z sobą. Rady, naturalnie, rady w imię rozsądku: iść ze wszystkiemi siłami pod Baranowicze. Każdy dręczy moją koncepcję: temu błoto przeszkadza, ten nie ma papierosów dla żołnierzy, oto taniec kochanki dowódcy i błędny krąg raz dokoła!... Niech stoją, niech się zorjentują. Lida 16-go wieczorem jeszcze nie wzięta i broni się zajadle.

To był pierwszy dzień, gdy nieprzyjaciel mię zatrzymał; dałem obrazki tych wszystkich wrażeń i uczuć, towarzyszących pracy dowódcy. A te same przecie prawa rządzą i duszą podwładnego, który, otrzymawszy rozkaz, musi potem sam dalej tworzyć i męczyć się tem.

Wódz będzie zawsze bronił swej koncepcji myśli, żądając od innych ich duszy, dając im swoją, wzamian za ofiarę zaprzeczenia ich jestestwa.

Lida padła 17-go i od tej chwili wszystko stało się łatwem i szybkiem — coprędzej pociąg do Wilna. Tor zepsuty, ale się naprawia, musimy się związać wieścią z wojskami pod Wilnem, co tam się dzieje? Telefony cały dzień, nic nie możemy osiągnąć... druty zepsute. Ze Skrzybowiec muszę się rozmówić jeszcze z Wojciechowskim. Godzinę całą słyszę w aparacie it, it, it, ende, ende, i nic więcej. Ktoś podsłuchuje i włącza się do prądu.

Dnia 19 kwietnia jestem w Lidzie — wszystko w porządku; tor naprawiony, łączniki utrzymane, robota sprawdzona. Obiaduję właśnie u Suwalczan, święcących swe zwycięstwa, aż wpada ostatkiem tchu oficer od Beliny: Wilno wzięte! Wilno, ukochane miasto, jest moje!

Belina prosi nagwałt piechoty, wagony gotowe, przynoszą mi depeszę z Paryża: „Czekać z Wilnem na armję Hallera"... A ja jadę do Wilna... W tem depesza od pułkownika Dziewulskiego, że bolszewicy idą od boku na nas przez Bastuny czy Bieniakonie. Co u licha! Naradzam się z Radziwiłłem, on sprawdza, okazuje się, że jakiś proboszcz o tem powiedział, a pułkownik Dziewulski nie miał nic pilniejszego ,jak alarmować, ulegając własnej trwodze. Wyruszam do Wilna w wagonie, rozbrzmiewającym radością.

Prowadziłem was, moi państwo, przez analizę pracy mojej duszy, dając analizę duszy dowódcy, mówiłem tem samem i o niższych stopniach, bo każdy na wojnie jest kolejno dowódcą, a prawa, rządzące duszami, są te same.

Mogę o tem mówić objektywnie, bo lata strawiłem na badaniu sztuki dowodzenia, pchało mię do tego moje przeznaczenie i może zdolności. Musiałem żądać jestestwa ludzkich dusz na rzecz triumfu i zwycięstwa, bo sam kładłem w to duszę całą.

Tworząc koncepcję wileńską, czułem, że tworzę rzecz piękną.

Wiązałem ze sobą prace wojenne, by panować nad niemi, wszystkie wiązadła zrobiłem jednak niepewne, pod znakiem zapytania. Dlaczego? Bowiem szukając pewności, tracę na szybkości, a ta ileż oszczędza siły i życia żołnierza! Młodzieńcza siła, którą mi dała myśl o Wilnie, pozwoliła tak dziwną koncepcję życiem obdarzyć. To też doznałem rozkoszy triumfu, wszyscy się cofali, ja jeden nie. Autorytet zdobyty, egzamin złożony. Jestem Naczelnym Wodzem, który umie sięgać po rzeczy wielkie. Ukochane, drogie Wilno... jadąc, uczyłem moich oficerów kochać to miasto Mickiewicza i Słowackiego. Ich miłość śpiewała jeszcze w przestrzeni, bo jest nieśmiertelna, ich to stopy wędrowały po tych borach i łąkach, tak znanych mi, tak ukochanych, tak mocnemi węzłami związanych z moją duszą.

Myśl moja wraca do mnie triumfalnie, czysta i niezbrukana, z rąk tych, co ją wykonali, nie spaczyli, nie zepsuli. Do żadnego miasta, zdobytego przeze mnie, nie wjeżdżałem z takiem uczuciem, jak do Wilna. Te słodkie pieśni dzieci, te trwożne oczy matek, te łzy, te wzruszenia... wjeżdżałem konno... czekało miasto moje... triumf duszy był zupełny, a ile pracy nowej i słodkiej było jeszcze przede mną.

Tak więc widzicie, panowie koledzy, trzeba iść na zasadzki, bo inaczej koncepcja nie ożyje. Kto duszy żąda, duszę dać musi. Kto sięga po dusze — duszą swoją płaci.

Kończąc sprawę wileńską, traktowaną z punktu tylko przeżyć wodza, w ostatnim odczycie szukać będę dróg triumfu w innych wodzach i ich przezyciach.

WYKŁAD V.

(21 sierpnia 1923).

Przystępując dzisiaj do analizy duszy dowódców, zacznę od tego, któremu się pierwsze miejsce należy, albowiem nie miał sobie równego, od Napoleona. On, ten genjusz wojny, pisze sam o sobie: „Niema człowieka bardziej trwożliwego, bardziej małego serca, gdy przystępuję do decyzji wojennej. Widzę wszystko czarno, lękam się, jak dziewczyna, która ma rodzić, ale gdy decyzja powzięta, męka skończona — śpieszę do wykonania". Ilustrację tych słów dałem na sobie. Wola męki nie chce, szuka siły. Nieraz wspominał Napoleon o swem austerlickiem słońcu, dlatego, że to była jego najpiękniejsza, najśmielsza koncepcja, bitwa najryzykowniejsza, walczyło przeciw niemu trzech cesarzy. Są w bojach, zdawałoby się, niewzruszone prawidła. Napoleon lekceważył je, robi po swojemu, niespodzianie, nieobliczalnie i zdumiewa koncepcją, której nikt przewidzieć nie mógł. Dla powzięcia takiej decyzji z pewnością męczył się i łamał, tak, jak musiał się łamać ze sobą, gdy po Waterloo szedł na wyspę św. Heleny, z duszą, zmęczoną zdradami i upokorzeniem. Ale i tu męka jego nie była słabością, bo czasami dusza potężna męki szuka.

Sięgnijmy po przykłady systemów koncepcji do własnej historji. Weźmy Prądzyńskiego i Skrzyneckiego. Prądzyński ma ciągle nowe i śmiałe koncepcje, które się Skrzyneckiemu i jego szefowi

sztabu, Chrzanowskiemu, wydają często szaleństwem nie do spełnienia. Prostym planom Prądzyńskiego tamci dwaj przeciwstawiali ironiczny uśmiech. Błagał wodza na kolanach o spełnienie prośby zaczęcia działań wojennych zaczepnych. Skrzynecki ustępuje, ale niechętnie i bez wiary. To też spełnienie planu nie ma żywotności, robota dowodzenia nie ma siły. Daje jednak zwycięstwo pod Dębem Wielkiem i znużenie Dybicza, czego Skrzynecki wyzyskać nie śmie i nie umie. Koncepcja, zaakceptowana połowicznie, zgóry skazana na zamarcie. Wódz jej nie kocha, a twórca widzi, że ją maltretują. Wiemy, że po zwycięstwie pod Dębem pogoń za rozbitą armją rosyjską jest bardzo leniwie prowadzona przez ospałego Łubieńskiego. Zdarza się cudowny pomocniczy wypadek, jaki się nigdy nie trafia; papiery Dybicza wpadają w ręce polskie, plany jego odkryte i tak Skrzynecki z tego nie korzysta, tylko się naradza i waha, a na błagania Prądzyńskiego odpowiada, że nie chce, jak Kościuszko, skończyć Maciejowicami. Skończyło się Ostrołęką... Oto przykład, co się dzieje, gdy wódz nie ma silnej koncepcji, ale przyjmuje koncepcje otoczenia, kilka planów rozpołowionych, niedostatecznie żywotnych, by mieć siłę i wiarę wzbudzać.

Inna strona sprawy — wspominałem o tarciach z czynnikami politycznemi. Każdy wódz ma te tarcia. Wódz jest częścią polityki kraju, praca wojen wpływa na politykę kraju, zawsze następują tarcia, o ile wódz nie jest też dyktatorem, to jest koncentrującym w jednej osobie wszystkie koncepcję i wybór wśród nich.

Przykładem starcia z czynnikami politycznemi i upadku w tej walce jest generał Nivelle. W roku

1917, gdy wypadki rosyjskie pozbawiły Niemców jednego przeciwnika, na czele armji francuskiej stał Nivelle, który na to wysokie stanowisko zaawansował szybko z rangi pułkownika artylerji, wykazawszy znakomite w tym kierunku zdolności. Właśnie armja była rzucona w największe piekło pod Verdun; Nivelle wytrwał boje, w czasie których padło miljon ludzi, ale Nivelle osiągnął, czego chciał, i sukces jego planów był taki, że Lloyd George zażądał, by ten generał francuski kierował też armją angielską. Ale gabinet Briand'a padł, a Ribot nie chciał się zgodzić na „napoleońskie zamysły" Nivella, do których ściągnięto nowy miljon ludzi. Zarzucają mu, że nie szanuje życia ludzkiego, że szafuje krwią. Przybywa do Paryża, protestują przeciw zdobywaniu fortu Douaumont, bo może zginąć 60000 ludzi, a tam było 4000 tylko. W sporach o to doszło do takiego stanu rzeczy, że się Nivelle musiał podać do dymisji. W czasie wielkiej rewolucji francuskiej krępowano wodzów jeszcze więcej, bo każdy miał swego anioła stróża z Konwentu i jego się musiał pytać i składać raporty. Napoleon jeden nie brał ich pod uwagę i pisze do żony: „nie radziłem się nikogo, osłabiłbym sprawę, gdybym się naradzał, i osłabił duszę w kontakcie z innymi".

Przychodzę do przykładu, opartego na wielkiej, wspaniałej bitwie pod Mukdenem. Oyama i Kuropatkin. Generał rosyjski, operujący znanemi systemami, — japoński, działający niespodzianką i szybkością. Jeden z generałów japońskich ma prowadzić atak demonstracyjny, by odciągnąć siły rosyjskie, Kuropatkin trzyma się kurczowo kolei, więc Japończycy uderzają pozornie na ten punkt. Podpułkownik Kawekami prowadzi 2 szwadrony,

złożone z 12 oficerów i 160 żołnierzy, tak, by wypłynęli na tyłach nieprzyjaciół i niszczyli tor. Półtora dywizji rosyjskiej miało strzec kolei i szukać tego małego oddziału. A on się mnożył, straszył, robił ciągle napady, zdawał się być w kilku miejscach naraz. Odciągnął półtora dywizji z pod Mukdenu. Japończyk przystępuje do demonstracji. Ruszył o cztery dni wcześniej i dzień po dniu zdobywał pozycje, trwożył i niepokoił większe siły rosyjskie. Tak pomieszał pojęcia o tem, gdzie są największe japońskie siły, że I korpus syberyjski maszeruje na obronę rzekomo zagrożonego odcinka, poto, by się dowiedzieć, że właśnie o 80 wiorst stamtąd jest potrzebny i że wnet wracać musi.

Generał, dowodzący demonstracją, tracił ludzi, ale nie prosił posiłków; wiedział, że jeśli on zginie, to dlatego, by inni przeszli. Żył i umierał, jak prawy żołnierz. To przykład najcudowniejszy. Koncepcja, twór powiewny, ma płynąć z woli podwładnych i w ich duszach zawiązywać węzły psychiczne, które nimi kierują. Najwspanialszem zwycięstwem jest to, gdy wola zawiąże w duszy przeciwnika takie węzły psychiczne, że im ulegać musi, że staje się on słabym tam, gdzie ja chcę, by był. Koncepcja, żelazną wolą kierowana, wdziera się w koncepcję nieprzyjaciela i niszczy ją. Wtedy, pod Mukdenem, dusza Kuropatkina była jakby harfą, na której grał nieprzyjaciel. To należy do cudów sztuki dowodzenia. Jesteśmy koledzy, w wielkiem i w małem przechodzimy przez pracę dowodzenia. Po tych przykładach wielkich bojów, wspomnę o przykładzie, zaczerpniętym z bliskich doświadczeń.

Opuściłem Belinę, gdy sam z memi rozkazami szedł reidem ułańskim na Wilno, mając uderzyć niespodzianie, zdemoralizować nieprzyjaciela i utrzymać się do przyjścia piechoty. Pierwszego dnia osiągnął wedle instrukcji pół drogi, stanął w Bieniakoniach. Tam nie doczekał piechoty, nazajutrz ruszył dalej i w Pawłowie otrzymuje spóźniony rozkaz: „stać i czekać na piechotę w Solecznikach". Ależ on ją minął, więc ma wracać? Waha się i męczy, ma tylko 1100 ludzi, koni i szabel, ale on tak kocha swoją broń, pierwszy raz mają dokonać coś tak ważnego i miałby innemu ustąpić chwały zdobycia Wilna? Więc koncepcja zmieniona? Co robić? Wahał się w męce. Szli strzelać do celu na losy, by oderwać myśl męczącą. I zdecydowali iść. Bo chwilowe ciągnienie losów było odpoczynkiem myślowym. Ja muszę się przyznać, że kładę w takich razach pasjanse i gdy jestem bardzo niespokojny, wybieram najłatwiejsze, żeby się udały.

Prowadziłem was do tajników dowodzenia, szukając prawdy. Dowodzenie ma tę dziwną tajemnicę, że sięga niezmiernie głęboko w duszę podwładnego, i ma tak silne panowanie, jakiego świat nie zna większego. To też zasadą dowódcy musi być: duszę bierzesz — duszę daj.

Trudno o własnej duszy prawdę powiedzieć i o niej myśleć. Starałem się jednak wam tę prawdę szczerze wypowiedzieć. Gdy chcesz pracować dowodzeniem, szukaj prawdy duszy. Patrz jej w oczy, prawda jest silną i jest mocą duszy. To bogini. Słaby nie znosi wzroku prawdy i tarza się przed nią w prochu, silny nawet się chwieje, ale nigdy nie pada, i on wyczyta w oczach bogini rozkaz woli.

XIII

SPRAWA WILEŃSKA

(sierpień 1923).

WYKŁAD I.

(24 sierpnia 1923)

Do niedawna stałem w centrum pracy państwowej. Byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem w czasie wojen. Ale na jednem i drugiem stanowisku charakter reprezentacyjnej pracy zawsze stał mi na drodze do mówienia o niej. Czynność moja była ubierana przez innych w słowa, lecz z chwilą, kiedy rzuciłem pracę reprezentacyjną, postanowiłem przejść do słów poza wszystkiem w moim interesie osobistym. Mam dzieci. Dzieci kocham. Wiem, że od nich tego sądu historji oczekiwać muszę. Nie chcę, aby w sądzie historji moje dzieci ojca swego nie poznały, a w sądach dotychczasowych jest częstokroć więcej oszczerstw, niż prób stworzenia prawdy.

Panowie, mówię w Wilnie o sprawie wileńskiej. Sprawa ta była państwową, jedną z najważniejszych. W pracy nad tą sprawą miały do czynienia wszystkie rządy, jakie były. Mieliśmy nawet rząd, który się o te sprawy przewrócił. Rzecz prosta, że musiałem w tej pracy brać udział i jako Naczelnik Państwa, i jako człowiek prywatny. Sprawa wileńska w znaczeniu politycznem otwarta została przeze mnie w kwietniu 1919 roku, gdym posiadał Wilno, jako Naczelny

Wódz. Wilno zostało zdobyte orężem. Otworzyłem w tej sprawie również i pracę polityczną, kierując się w niej zawsze zasadami lojalnemi.

Przed wymarszem na Wilno zwróciłem się do pana Paderewskiego i przeprowadziłem z nim kilka konferencyj, uprzedzając o marszu na Wilno przed jego wyjazdem do Paryża, gdzie się wówczas rozstrzygały losy nietylko Polski. Pan Paderewski jechał na Kongres Wersalski. Z panem Paderewskim byliśmy zgodni pod jednym względem — pod względem przeszkód, jakie na drodze spotkamy. Przeszkody te tkwią w poglądach świata, który jest przeciw nam. Pojęcia świata bowiem układane były na podstawie niedawnej przeszłości, przeszłości, która była przeciwko nam i która mówiła językiem oficjalnym, że przekroczenie Bugu — to aneksja. Z powodu tej właśnie przeszłości utrudniającym momentem były zobowiązania wobec Rosji, które miały wielkie mocarstwa z tytułu przymierza i dzięki wspólnym z Rosją trudom, poniesionym w wielkiej wojnie Pod tym względem byliśmy z panem Paderewskim zgodni. Natomiast co do środków przezwyciężenia lub obejścia trudności byliśmy rozbieżni. Ja kładłem nacisk na siłę stworzenia faktów dokonanych. Zwracało wówczas uwagę, że w niektórych częściach dawnej Rosji istnieją fakta dokonane, uskutecznione rozbieżnością tam przedstawicieli wielkich mocarstw. Tak było wówczas w Kijowie.

Paderewski sądził inaczej. Zdawało mu się, że jeżeli pozyska poparcie Ameryki, która przez Wilsona miała istotnie wpływ na myśl europejską, to rzeczy mogłyby wziąć taki obrót, że uda-

łoby się uzyskać zgodę na stworzenie stanów zjednoczonych wschodniej Europy. Paderewski już nawet dzielił ziemie poza Bugiem na stany. Ja twierdziłem, że iść tą drogą wydaje mi się niemożliwe. Zasadę federacji nie da się zastosować na tych ziemiach. Przychodzimy wszak z bronią, co jest sprzeczne z zasadami federacji. Zresztą nie widziałem tutaj tych, którzyby do tej federacji chcieli przystąpić. Przysłowie mówi: „że w tem jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz", a mianowicie — nie chciałem, aby Polskę federować z tą stroną, która się od nas, jako federant, odwróciła. Ja stałą swą wytyczną miałem — stworzenie faktów dokonanych, aby później otrzymać uznanie de jure. Miałem zatem zamiar natychmiast po zdobyciu Wilna stworzyć rząd, oparty na wojsku, dowodzonem przeze mnie. Przyszedłem do Wilna. Nie udało mi się tego zrobić. Bano się tego więcej, niż ja i Paderewski. Bano się stworzenia rządu, jak swego własnego cienia.

Drugą rzeczą, jaką zrobiłem, to było odezwanie się do społeczeństwa. Odezwa ta jest znana. Dawałem w niej gwarancję, że o losie tej ziemi decydować będą jej mieszkańcy. Zastanowiłem się, jak tę odezwę zatytułować: *Do Wilna*, czy *Do Wilnian* — czy do kogo wreszcie? Trudno było znaleźć wyraźny tytuł. Nie mogłem wszak użyć tytułów oficjalnych — *Do siemiero-zapadnavo kraja, Do Litvy, Do Polski.* Wpadła mi wówczas myśl obudzenia tradycji tej ziemi. Tradycję, wprawdzie zwalczaną, ale niewątpliwie istniejącą. Tradycją tą było niewątpliwie istnienie za czasów Rzeczypospolitej Wielkiego Księ-

stwa Litewskiego. Była to forma, wspominała panowanie Rzeczypospolitej na tych ziemiach. Każdy tę tradycję musi szanować, dlatego też odezwę zatytułowałem: *Do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego.* Ale wówczas nigdy nie byłbym przypuścił, że znajdzie się tylu w Polsce, którzy mają tę tradycję w pogardzie.

Stworzyłem stan dokonany i wówczas z relacji ogólnej, z relacji pana Paderewskiego dowiedziałem się, że odezwa moja zrobiła mu na terenie światowym dobrze. Od tego czasu bowiem można było mówić ze światem o tym kraju, w którym się urodziłem. Przedtem zaś nawet przystąpić do mówienia nie było można. Pierwszym moim aktem było urządzenie cywilne tego kraju. Dałem zarząd, w którym wszystko, co jest pracą pochodziło od ludzi i ze współudziału miejscowego społeczeństwa. Było to dowodem, że nie jesteśmy okupantami. Następnie chciałem zwołać sejm. Tu jednak spotkałem się ze zdecydowanym oporem i protestem oficjalnym z zewnątrz. Zwrócono się do mnie z żądaniem, abym tego nie czynił. Uległem. Nie zdobyłem się już na akt przejścia mniejszemi drogami. Chciałem w powolnem tempie doprowadzić do tego samego. Zarządziłem wybory do sejmików powiatowych i okręgowych.

W tem miejscu muszę przypomnieć akt ważny, wiążący się z historją pracy w sprawie wileńskiej. Oto, w końcu roku 1919 czy też w początku 1920 przedstawiciele mocarstw chcieli urządzić spotkanie moje z Denikinem. Celem tego spotkania miała być wspólna kooperacja przeciwko bolszewikom. Wówczas przez pośrednika

zaproponowano mi, jako kardynalny warunek ze strony Denikina, abym zarząd poza Bugiem prowadził w imieniu Denikina, aby zewnętrzne znaki byłego państwa rosyjskiego były tam wprowadzone, jako emblematy państwowe. Odmówiłem. Oświadczyłem, że moi żołnierze nie zechcieliby bronić tego, przeciwko komu walczyli. Widzicie, panowie, chociażby z tego faktu, jak trudno było przeprowadzić rzeczy, które pozornie wydawały się łatwe.

Wtenczas, w roku 1920, wypadły niepowodzenia wojenne. Praca się urwała. Jednocześnie z niepowodzeniami wojennemi szły też niepowodzenia polityczne. Gdy doradzano nam ugody ze stroną przeciwną, wysuwano w Spaa ograniczenia terytorjalne, przy których nietylko Wilno, ale i Brześć musiałyby być odstąpione. Zapadła nawet poza nami decyzja, oddająca Wilno Litwie. Z temi decyzjami miałem do czynienia przy mojej nowej pracy. Trzeba było stworzyć nowe fakty dokonane. Natenczas przyszła akcja generała Żeligowskiego, który działał pod mojem dowództwem i z mojego wyraźnego polecenia. Mogę to śmiało powiedzieć, gdyż, wychodząc z Belwederu, powiedziałem to wyraźnie przedstawicielom wielkich mocarstw, nie chcąc, aby sprawa ta w ich opinji szkodziła generałowi Żeligowskiemu. Stworzyłem więc nowy fakt dokonany, ale i nowy stan posiadania na innych warunkach. Inwazja bolszewicka zakończyła się wielką klęską. Armja bolszewicka była tak rozbita, że nie miałem żadnych przeszkód wojskowych, abym mógł sięgnąć, gdziebym chciał, na całym prawie froncie. Ale zostałem zatrzymany wówczas w po-

chodzie przez brak siły moralnej w społeczeństwie. Zaczęły się więc pertraktacje w Rydze. W traktacie ryskim mamy już Wilno i ziemię wileńską wyodrębnione.

Biorąc stosunkowo nikły udział w kierownictwie nawą państwową, w sprawie wileńskiej żądałem od każdego rządu, aby, pracując w tej kwestji, szedł w zgodzie ze mną. Wszystkie rządy w sprawie tej ze mną współdziałały. Sprawa ta zakończyła się wreszcie uznaniem granic wschodnich za rządów Sikorskiego. Przez cały czas sprawy wileńskiej starałem się stworzyć primo — fakty dokonane, zmierzające do związania tej ziemi z Polską, secundo — przezwyciężyć pogląd całego świata, wiążącego ten kraj z Rosją. Powtarzam jeszcze raz, że świat był przeciwko wam. Świat był przeciwko mnie. Świat miał wyrobione pojęcie o Rosji i nie chciał wznowienia świetnych tradycyj Polski, które szły przeciwko Rosji.

Ale były przeszkody i z innej strony. Naszego ministra spraw zagranicznych, który poruszał sprawy wileńskie, mogłem zgóry ostrzec, co go spotka, a więc przedewszystkiem, że nadejdą zaraz depesze od naszych posłów zagranicą, że sprawa jest niebezpieczna, a moment nieodpowiedni. W opinji wewnętrznej zaś nasz minister, który tę sprawę chciał poruszyć, był co najmniej głupim, jeżeli nie zdrajcą. Każdy więc minister bał się tej sprawy. Nietyle może lękając się upadku, ile unikając nieznośnego krzyku i hałasu o zdradzie narodowej. To samo spotkało pana Skrzyńskiego, kiedy do tej sprawy przystąpił. Ten się jednak zastraszyć nie dał. Jeżeli panowie

w Wilnie sądzicie, że wy nie braliście w tem udziału, to się mylicie. To są te dwa cienie. Wewnętrzny i zewnętrzny, które zawsze towarzyszyły sprawie wileńskiej.

WYKŁAD II.

(25 sierpnia 1923)

Szanowne panie i szanowni panowie!

Wczoraj w ogólnych zarysach przedstawiłem sprawę wileńską.

Przytem wskazałem, na jakie olbrzymie trudności natrafiłem przy rozstrzygnięciu tej sprawy, i przedstawiłem swoje metody, które stosowałem do rozstrzygnięcia tej sprawy; metody faktycznego stanu posiadania i powolnej zmiany utartych poglądów, utartych zdań i utartego mniemania o Wilnie i ziemi Wileńskiej. Wskazałem również na przeszkody, na które zarówno ja, jak i rząd, napotykaliśmy. Główną przeszkodą było zawsze złamanie poglądów w każdej danej sprawie, w każdym nowym prądzie, w każdym nowym kroku, w każdym nowym etapie ze strony całego świata, który miał swoje poglądy na te rzeczy i swoje zobowiązania. Obok tego wskazałem na przeszkody wewnętrzne, które metodycznie pracowały w kierunku utrudnienia tej właśnie pracy, utrudnienia jej zapomocą ostrzegania, aby tej pracy nie poruszano i zapomocą tak zwanej obrony narodowej. Jest to stałem zjawiskiem we wszystkich pracach w sprawie wileńskiej.

Obiecałem zatrzymać się dłużej dla lepszej ilustracji na dwóch etapach sprawy Wilna. Pierwszym jest ustalenie stanu faktycznego posiadania i tak dobrze pamiętnych przejść generała Żeligowskiego. Polska podczas klęsk swoich zawiązała pewne zobowiązania. Były niemi znane przejścia pana Grabskiego w Spaa, gdzie Wilno było wyraźnie wymienione. Było to również przyczyną rzucenia tego rozstrzygnięcia na forum debat w Lidze Narodów. W tym czasie szczęście wojenne mnie się uśmiechnęło — zdecydowałem odrazu, by stan faktycznego posiadania orężem do Wilna wprowadzić. Wybrałem do tego generała Żeligowskiego, gdyż sam, jako Naczelnik Państwa oraz Naczelny Wódz Polski, łamać zobowiązań nie byłem w stanie. Wybrałem generała, co do którego byłem najbardziej pewny, że mocą swego charakteru potrafi utrzymać się na należnym poziomie i że poleceniom i żądaniom rządu nie będzie zarówno, jak poleceniom i żądaniom moim, przeciwstawiać pracy wojskowej. Udało mi się to znakomicie i stało się przedmiotem mojej dumy. Dumny jestem, że mogłem ustawić wojsko i popchnąć je do czynu tak, jak tego wymagała chwila decydująca. Fakt ten spotkał się z odporem Europy tak gwałtownym i tak silnym, jak żaden inny. Nie jestem w stanie powtórzyć wszystkich rozmów, nie jestem w stanie powtórzyć wszystkich not, jakie tej sprawy dotyczą. Muszę liczyć się także z obowiązkiem milczenia, który związywał mnie wówczas. Ataki były bardzo gwałtownie skierowane przedewszystkiem przeciwko mnie osobiście i przeciwko generałowi Żeligowskiemu. Ataki te trudno było nieraz wytrzymać. W pracy nad wytrzymaniem tych ataków

miałem pomoc przestraszonego rządu. Rząd bowiem zaczął się obawiać następstw tego kroku. Szły zgodnie z metodą ostrzegawcze depesze od przedstawicieli naszych z całego świata. Brzmiały one, jak zwykle: „Nie możemy bronić Żeligowskiego. Jest to niemożliwe — lepiej nie bronić, nie poruszać tej sprawy. Jest u nas zbyt gorąco, zbyt niebezpiecznie“ — dla mnie, i przeze mnie dla Polski. W pierwszych też początkach sprawa cała spadła na mnie. Miałem mnóstwo z tego powodu tarć ze światem, miałem mnóstwo — powiem — walk o utrzymanie tego, com zrobił. Dochodziło do zrzeczenia się mego urzędu i groźby, że jadę sam do Wilna. Wtedy właśnie zaczęły się plotki i oszczerstwa w Polsce, których tłem było, że w Belwederze mieści się zdrada narodowa.

Sutenerzy pracować zaczęli. Hece narodowe, znane mi dobrze z przeszłości i teraźniejszości. Opasła, głupia babina, rzucona na środek sali przez sutenera, pracowała. Głupkawy uśmiech w stosunku do pracy dokonanej.

Naprzód nazwa. Nie jestem jej autorem. Nie ja wymyśliłem nazwę Litwa Środkowa, ale to pachnie Belwederem. Belweder jest w robocie. Piłsudski — autor romansów federacyjnych, Piłsudski — autor klęsk Polski. Hece narodowe! Sutenerzy przy pracy! Znam, zanadto dobrze znam. Zanadto dobrze znam sutenerów opinji i ich metody. Naprzód — „Belweder państwo sobie nowe knuje! Belweder robi państwo litewskie! Praca przeciwko Polsce! Zdrajca narodowy zagnieździł się w Belwederze!“ Krzyki. Hałasy. Znam, zanadto dobrze znam! Znam, zanadto dobrze znam i pracę sutenerów, i pracę babiny opasłej, a głup-

kawej i nie umiejącej nieraz powtórzyć słowa federacja, zanadto dla niej mądrego. Widziałem ironiczny uśmiech panów, rozmawiających ze mną, gdym bronił generała Żeligowskiego. Widziałem pisma w ich rękach, które mi pod oczy podsuwano. Słyszałem twierdzenia, że to jest sprzeczne z chęcią narodu polskiego. I znowu inne przeszkody — z zagranicy: to jest agresja Polski. Zaborczość Polski. To rzecz, na którą świat zgodzić się nie może, widząc skutki, jakie może wywołać. Jedna z przeszkód, znanych panom, wychodzi od Ligi Narodów. Przedewszystkiem kontrola. Jeden z panów kontrolerów, gdy przytoczyłem mu moje dane, powiedział na to, że Polska i tak przecie uważa Wilno i Wileńszczyznę za zagranicę. Zaprzeczyłem jak najgoręcej. Wtedy ów pan pokazał mi dane: jeden z ministrów, pan Michalski, zatrzymuje wywóz zagranicę, to znaczy do Wilna, zboża, pozwalając jedynie na transport końmi z powiatów duniłowieckiego i dziśnieńskiego. Pamiętam rozprawy o tem, gdy się temu sprzeciwiałem, gdyż nigdzie więcej tego nie sprzedadzą. Pamiętam sądy, gdy wyroki wileńskie, wynoszone tutaj, nie były obowiązujące dla Polski i każdy zbój z wyroków tych kpił, gdy dojechał do Lidy. Była to zagranica dla Polski. Pamiętam rozmowę w jednem z miasteczek, niedalekich od Wilna, gdzie mówiono, że często jadą zagranicę i gdy zdumiony zapytałem „co to, do Bolszewji?“ odpowiedziano „nie, do Wilna“. Skutki są daleko idące każdej takiej hecy, każdego takiego krzyku.

Przechodzę do faktów, kiedy czasy zdawały się trochę zmieniać na lepsze. Nasi nieprzyjaciele w tym procesie, Litwini, porobili bowiem znacznie

więcej głupstw, niż Polacy, z tego powodu praca była znacznie lżejsza.

Do wszystkich atutów dodać nagie zdanie samej ziemi Wileńskiej, zdanie, po którem należy powrócić do porządku dziennego! Stworzyć nowe przekonanie! Zachwiać dotychczasowe! Kazałem przyśpieszyć jak najbardziej to dzieło, by nie stracić dobrego momentu i znowu spotkałem się z tem samem zjawiskiem: dość nieśmiałe protesty świata, w tej właśnie chwili najgorętszej, ostrzegawcze depesze od naszych przedstawicieli z całego świata, aby tej rzeczy nie poruszać, aby tego nie czynić. I znowuż hece narodowe, idące natychmiast krok w krok — trop w trop każdej pracy.

Sprawa przedstawiała się, jak następuje. Rok cały państwo polskie prowadzi pertraktacje nad sprawą ziem wileńskich. W pertraktacjach były zarysowane kontury tych ziem. Rok cały Polska brała na siebie zobowiązania do tych czy innych czynów, do takiej czy innej pracy, związanej z tą ziemią. Obok tego istniał podpis mój, złożony na traktacie ryskim, gdzie również ta ziemia miała pewne kontury. Natomiast w pracy wojskowej, chcąc poprzeć i utrzymać słabe siły generała Żeligowskiego, popchnąłem w kierunku Wilna wojsko tak, aby Wilno wieńcem otoczyć, zagrodzić, jak to szczerze wyznałem przedstawicielom państw obcych. Dzięki temu wytworzył się stan posiadania wojskowego.

Dlatego żądałem, aby praca sejmu była czyniona na terytorjum, na którem praca przez cały czas trwania sprawy o ziemię wileńską się toczyła.

Rząd nie mógł nawet postąpić inaczej. Było to dla niego niemożliwe. Byłby się skompromitował,

byłby musiał upaść w swojej powadze. Lecz od czegoż są hece narodowe, od czego są krzyki i hałasy, by sejmu nie zwoływać? Walka pod tym względem jest mi bardzo pamiętna. Walka o dwie szmatki ziemi, wyłączonej z Polski: powiaty lidzki i brasławski, przyłączone do zagranicy, do Wilna, do obcego państwa, do obcej ziemi, sprzedawane w ręce prawdopodobnie niepolskie. Miałem wówczas śmiechu co niemiara. Ministrowie tak się tej hecy poprzestraszali, że oświadczyli, że nie są w stanie bronić tej tezy i przyszli do mnie z prośbą, abym ja to wziął na siebie. Lubię takie rzeczy. Spokojnie je zawsze wezmę na siebie. Wziąłem je wtedy i postawiłem je aut-aut. Nie można zobowiązań narodowych w śmietnik rzucać. A rząd postanowił albo ja, albo ziemię Lidzką i Brasławską wyodrębnić do obcych państw i zmusić razem swe losy rozstrzygnąć. Opasła babina, miotając przekleństwa na moją głowę, rzucając jakieś nowe niezrozumiałe dla siebie słowo „federacja", o zdradach Belwederskich skrzeczała. Skończyło się wtedy w sejmie mojem zwycięstwem; ale część przegłosowana krzyczała, żem sprzedawczyk i targowiczanin, sprzedający ziemie polskie.

Proszę państwa! Przebiegłem pracę swoją w sprawie wileńskiej. Rozpatrzyłem dwa jej etapy bardziej szczegółowo. Sprawa wileńska w życiu młodego państwa polskiego odegrała bardzo dużą rolę. Była ona rzucona przeze mnie jako wyzwanie, jako obrona tych ziem, do których Polska mieć mogła pretensje. Ze sprawą wileńską miał do czynienia każdy rząd. Każdy rząd poświęcać jej musiał olbrzymią dozę trosk i olbrzymią dozę trwogi i pracy. Sprawa wileńska spotkała się z trudnościami, nieznanemi w innej pracy. Miała

przeciwko sobie wszystkich, miała również metody pracy narodowej, metody podwójnej: oficjalnych ostrzeżeń, działających pod wpływem zakulisowych ministrów spraw zagranicznych, co było istotą życia międzynarodowego przez bardzo i bardzo długi czas, i — dla poparcia tej pracy uchwał ministrów zakulisowych — hece narodowe, czynione na każdą uchwałę w sprawie Wilna. Wolno więc zapytać — cui bono — poco to czyniono? z jakiej racji? w jakim celu? Każdy historyk, który w dalekiej przyszłości społeczne nasze życie rozpatrywać będzie, przejść nad tem pytaniem nie będzie w stanie. Musi rozpatrzeć, co to w tej Polsce się działo? Jak to życie pierwsze kroki swe formowało?

Pierwsze kroki państwowe Polski związane są ze mną dlatego, że praca całego narodu oraz losy moje wyniosły mnie na najwyższe szczyty, dały mi tyle siły i tyle władzy, że z pracą moją związane są wszystkie państwowe czyny. Byłem Naczelnikiem Państwa, wybranym jednogłośnie przez sejm, bez żadnego nacisku z mojej strony. Rzadki wypadek jednomyślności w dziejach polskiego sejmu. Byłem Naczelnym Wodzem podczas wojny. To znaczy: rzadko człowiekowi do rąk tyle władzy się daje.

I oto ten człowiek spotyka stale w swojej pracy jedne i te same przeszkody, jedną i tę samą pracę innych. Każdy historyk nad tem zastanowić się musi. Każdy historyk te prace objektywnie ocenić musi i każdy zgodnie ze mną rzuci pytanie: dlaczego człowiek — jednogłośny wybraniec narodu — rzucony na szczyty, jest potem tak staranną pracą zwalczany? Cui bono to się robi? W jakim celu? Z jakim zamiarem? dla jakich

powodów i przyczyn? Praca, która była zawsze metodą, — metodą jedną i tą samą, która się przejawiała przez całą historję mojej osoby, jako metoda codzienna. Jeżeli w hecach narodowych ta metoda stale się zgęszcza i tworzy rysy, których zetrzeć nie można — w codziennej pracy jest ona ustawiczną. Jest to metoda kłamstw, oszczerstw, potwarzy i łgarstw. Metoda, charakteryzująca zatem pracę i charakteryzująca stan społeczeństwa, w którem praca się odbywała. Przy analizie tej pracy może znajdziemy i pewne odpowiedzi na pytania historyka — cui bono?

Proszę panów! Wczoraj, gdym mówił, z czem się spotkała moja odezwa wileńska, gdym stwierdzał, że spotkała się natychmiast z określeniem, że przygotowuję tron wielkiego księcia litewskiego w Wilnie i dla swojej Żydóweczki go przeznaczam — panowie spotkali me orzeczenie śmiechem. Zatrzymałem was w śmiechu, gdyż rzeczy te nie są tak śmieszne, gdyż są one stałe i codzienne i charakteryzują pracę, która ma pewne znaczenie w życiu naszego społeczeństwa, naszego narodu i naszego państwa. Nie jest przecież rzeczą śmieszną zanalizowanie tej pracy.

Proszę panów! Świeżo przed wyjazdem tutaj otrzymałem wycinek z jakiegoś pisma *(Kurjer Poznański,* czwartek 26 lipca). Nad tem napis: „Wiedz o tem, były Naczelniku, że na sumieniu masz hańby bez liku". Znane mi i scharakteryzowane w broszurze o przyjacielu moim, Narutowiczu, wszawe roboty anonimów. Proszę państwa! Ze zdumieniem wyczytałem tam rzeczy następujące, kreacje z Wilna niejakiego pana Jana Obsta,

sutenera, w którym czytam następującą odę do mego nazwiska: „Jeden jeszcze przykład, iż „familja", rządząc w ciągu czterech lat samowładnie Polską, nie zapomniała o swych osobistych interesach... Niech nikogo nie zdziwi, iż pierwszem życzeniem, jakie wypowiedział pan Piłsudski w odzyskanem 1919 roku Wilnie było, aby mu społeczeństwo odkupiło dobra rodowe, położone w powiecie Święciańskim, a przez utracjuszostwo ojca zaprzepaszczone. Kiedy zaś ktoś z otoczenia nieśmiałą zrobił uwagę, iż obszar tych dóbr znacznie przewyższa owe maximum, projektowane przez polską ustawę rolną — machnął tylko lekceważąco ręką". Naturalnie, był pan Obst przy tem. Widział, jak lekceważąco machnąłem ręką. „Rozpoczęła się hałaśliwa niesmaczna reklama... Tu jednak okazała się w całej pełni rozreklamowana „popularność" pana Naczelnika. Ci, co najwięcej krzyczeli, nie dali nic, gdyż nie poto przecież służyli panu Piłsudskiemu, by dawać, lecz brać.. Widząc, iż tą drogą nic nie wskóra, pan Piłsudski, pozbywszy się łatwo sentymentu do swych „dóbr rodzinnych", kazał sobie ofiarować nieco mniejszy, lecz bardzo piękny majątek Świątniki. Niesprawiedliwością byłoby jednak oskarżać pana Piłsudskiego o niski egoizm, miał on serce szerokie, a jeśli niem nie ogarnął „miljonów", tem hojniejszy był dla swoich najbliższych"... Owi „najbliżsi" są wymienieni po imieniu.

Proszę panów! W tem jest metoda, w tem jest praca. Wówczas przychodzi znów pytanie—cui bono? To są czynniki historyczne. To są rzeczy stałe w tem życiu publicznem, w istnieniu tego życia publicznego. Proszę panów! System zbijania takich szmat kloacznych, system zbijania w szczegółach

oszczerstw, łgarstw, kłamstw i potwarzy, zarówno, jak system przyjmowania tego, jest niemożliwy. Praca narodowa ma pod tym względem swoją przeszłość. Świadczy ona przedewszystkiem w całej rozciągłości przed światem całym, jak należy Polskę rozumieć. W sądzie o nas ten rys życia publicznego jest aż nadto dobrze znany i ceniony. Człowiek, który takie rzeczy pisze, jest, naturalnie, płatny. Ktoś za to płaci. Ktoś opłaca słowa kłamliwe, oszczercze, niewiarogodne. Dla kogoś jest to potrzebne, bo przecież niktby takiemu sutenerowi trzech groszy nie dał, gdyby tego nie było potrzeba. Czy pan Obst o swojej kieszeni pamięta i zbija grosze, nie wiem i nie starałem się dowiedzieć. Lecz system sam w pracy, skierowanej przeciwko przedstawicielowi Polski na świecie, daje pojęcie o Polsce. Praca tego rodzaju wszędzie jest odpowiednio ceniona.

Człowiek, który takie rzeczy pisze, — zgóry wiadomo — jest płatny. Człowiek taki zarabia. Taki człowiek jest kupny. Nietylko wewnętrznie, ale i zewnętrznie. Każdy kupić taką szmatę ludzką może, ale najwyżej jest ceniona u nas. Bowiem tylko głupia babina, reprezentująca opinję polską, może za głupie szmaty drogo płacić. Gdzieindziej dla takiej pracy potrzeba więcej zdolności, potrzeba więcej rozumu, a za zdolności i rozum trzeba drogo płacić. Natomiast w Polsce za głupie niewiarogodne rzeczy płacą niewiarogodnie drogo. Gdzieindziej trzech groszy za toby nikt nie dał.

Proszę panów! Dla scharakteryzowania tej właśnie pracy dam wam, panowie, inne przykłady, z których możecie się śmiać, jak wam się podoba. Świeżo dowiedziałem się, będąc we Lwowie na

zjeździe legjonistów, że jest w Sandomierszczyźnie pewna ziemianka, która głośno opowiada, że kwaterowałem w jej domu w roku 1915, przyczem ukradłem mężowi jej jakieś żółte buty. Panom to się wydaje śmieszne. Ależ, proszę panów, sam pomysł opowiadania tych rzeczy jest oryginalny. Ta pani, u której stałem, czy nie stałem w jej domu, której synowie szli do boju pod mojem dowództwem, ta głupia babina, reprezentująca opinję w swojej sferze, da opinję, odpowiednią do rozumu sfery, do której należy. Jest to zresztą echem jednej pracy znanego posła Zamorskiego, który publicznie w broszurach opisał, że jestem bandytą i dywizja legjonowa z bandytów się składa. Jednak bandyta był Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. To nie przeszkadzało jednak, że te rzeczy były czytane i pisane.

Proszę panów! Niech będzie jeszcze jeden przykład z bogatej skarbnicy systemu i metody łgarstwa, oszczerstwa, potwarzy i zaplwania się w tej pracy. Historyk, badający te rzeczy, musi natrafić na tę pracę i musi zdawać sobie sprawę — skądże taki głupi naród był, który człowieka, kradnącego buty, wybiera na Naczelnika Państwa? Czyż nie był kto inny do tego? Chyba może która ziemianka? Głupota jest zadziwiająca i dlatego tak spokojnie mówię o opasłej głupiej babinie, urządzającej hece narodowe. Czyż głupota przerażająca opinji stanowi o głupocie narodu polskiego? Z tego punktu widzenia jest on oceniany przez cały Boży świat.

Jeszcze jeden przykład z tej bogatej skarbnicy narodowej. Bolszewicy zbliżali się do Warszawy. Po wielu zwycięstwach, które odniosłem, spotka-

ły mnie klęski. Zbierałem się z siłami, aby umrzeć lub zwyciężyć. Szukałem metody dla pracy, szukałem koncepcji, najbardziej odpowiedniej dla każdej sytuacji. W tym czasie zbierano ochotników i, jako ochotnik, zgłosił się między innymi mój szef Kancelarji Cywilnej. Urzędnik, stojący na wysokiem stanowisku, stanął do szeregu, jako żołnierz. Rzadki w Polsce wypadek, godny szacunku. Ale człowiek ten pracował w Belwederze. To wystarczało. Człowiek ten dowiedział się, ku wielkiemu swemu przerażeniu, z którego się śmiałem, że poseł wasz, ksiądz Maciejewicz, opowiada, że Car ma telefon, tajemnie przeprowadzony z pod soboru prawosławnego na placu Saskim, i zapomocą tego aparatu komunikuje się z bolszewikami z mojego polecenia lub z własnej ochoty. Proszę panów! To jest fakt. Ja ledwo tego człowieka powstrzymałem od samobójstwa. Tak był przerażony, tak był struty, tak zabity, zabity moralnie! To są, proszę panów, fakty. Ja się z tego śmiałem. Mówiłem mu: człowieku, dajże spokój z uważaniem na takie rzeczy! Poczekaj jakiś miesiąc, to się dowiesz, że ja się umawiam przez telefon, przeprowadzony z pod soboru do Moskwy, o pobicie bolszewików. Może to nie jest takie straszne".

Intencja, tkwiąca w tej głupiej wycieczce, jest także charakterystycznem zjawiskiem w życiu publicznem Polski, dającem pojęcie o metodach i pracy. Powtarzam, nie trzeba do tej pracy zdolności. Nie trzeba mądrości. Wystarczą pierwsze lepsze bzdury, aby znaleźli się Polacy, którzy im uwierzą. Szanowni panowie! W życiu prywatnem, w życiu codziennem potwarz znajduje swój odpór

Znajduje swój odpór w najrozmaitszych postaciach i wywołuje pracę nad utrzymaniem niechęci i nienawiści ludzkiej w należytych rozmiarach. W życiu publicznem Polski tego niema. Czyżby Polacy byli mądrzy tylko prywatnie, publicznie zaś byli głupimi i nie znajdowali środków dla zatrzymania powodzi oszczerstw, łgarstw, kłamstw, tyczących się nietylko mnie, tyczących się także i innych? Dla przykładu tych innych przytoczyłem już mego szefa kancelarji. Dla przykładu tych innych przytoczę jeszcze zabitego prezydenta Narutowicza. Dopóki był ministrem skromnym, ministrem robót publicznych, dopóty był dla wielkiej ilości Polaków szlachcicem, pochodzącym z Kowieńszczyzny, dopóty był dla wielkiej ilości Polaków człowiekiem, znanym ze swoich prac w dziedzinie technicznej. Z chwilą, gdy zaczęto go wysuwać naprzód, gdy stał się kandydatem na prezydenta Rzeczypospolitej, a potem moim następcą, stał się Żydem. I jeżeli panowie sądzicie, że ta nagła owidjuszowa metamorfoza była prostem głupstwem, to się mylicie. W pewnych okolicach Polski odprawiano dziękczynne nabożeństwa, że Żyda, wybranego na prezydenta Rzeczypospolitej, zabito.

Szlachcic z Telszewskiego zmienił się w jednej chwili — hocus focus filipocus — w Żyda, — i głupia babina w to wierzy. Nie trzeba zdolności, nie trzeba mądrości, bo jest sposób uczynić skutecznemi te hece, jeżeli głupia babina takich sutenerów opłaca drogo. Wszyscy inni cenią ich tak, jak należy.

Zatem, panowie, jakaż odpowiedź na pytanie, które rzuciłem — cui bono ta praca? Przecież są inne, bardziej szanowne drogi walki, bardziej cenne

moralnie drogi do takich czy innych spraw. Czy to jest wymaganiem duszy polskiej i narodu? Czy to jest koniecznym sposobem załatwiania walki w pracy publicznej? Proszę panów! To zjawisko stałe w naszem życiu, związane także z całą pracą nad sprawą wileńską!

Dam przykład jeszcze jeden. W jednej szmacie narodowej — *Gazecie Warszawskiej* — Obst czyni rewelacje. Czytam w niej nagle o sobie — bo jakżeby beze mnie w tej pracy się obeszło? „Poza odczytami swojemi w Wilnie Piłsudski mało się udziela szerszym masom. Siedzi u brata swego, odbywa konferencje z przyjaciółmi z szesnastki, z mniejszością i z Taraszkiewiczem". Może to komu w Wilnie potrzebne, aby takie rzeczy w Warszawie mówiono. Rewelacje pana Obsta prawdopodobnie zrobią wielką niespodziankę dla gospodarza, mego brata. Mnie zawsze śmiech bierze, gdy mówię o mej konspiracji. Gdybym chciał mówić z Taraszkiewiczem, tobym to spokojnie uczynił, nie potrzebowałbym tego czynić w cichości i konspiracji.

Proszę panów! Przychodzę do swoich badań historycznych. Cui bono to się robi i robiło? Jako historyk, pracując nad tem i zastanawiając się, dlatego, że przed śmiercią chciałem zdać sprawę z przebiegu mego życia, zostawiając dzieciom ojca, którego znały, a nie ojca z *Legendy Piłsudskiego*, zastanawiając się nieraz nad temi zjawiskami, stawiam trzy hipotezy.

Pierwsza — to nienawiść. Może dawać produkcje tego rodzaju uczuć, które ludźmi władną. Nienawiść daje podszepty, nieraz sprzeczne ze sobą, nieraz prowadzące do krzywdy na honorze i na czci. Nienawiść znana jest w życiu urzędowem,

znana jest w życiu codziennem. Znana nieraz w życiu rodzinnem, gdy w procesie brat na brata miota oszczerstwa, które dla innych mogą być tylko śmieszne. To jest pierwsza hipoteza. Osaczenie wrzaskiem danego człowieka z jedną tylko obietnicą, że — hocus focus filipocus, a przestaniesz być germańskim sprzedawczykiem i staniesz się zacnym polskim obywatelem. To u nas łatwo.

Więc może szantaż? Może szantaż, aby zmusić mnie czy kogo innego do takich czy innych ustępstw? Do takiej czy innej pracy przeciwko sobie, przeciwko własnej duszy, własnemu sumieniu? Hocus focus filipocus i twoja córeczka przestanie być Żydówką, a będzie chrześcijanką. Widać na przykładzie pana Narutowicza, że hocus focus filipocus bardzo jest łatwe! Tak!

Więc może szantaż? Może próba zastraszenia człowieka głupim śmiechem babiny, krzykiem sutenerów, hałasem i wrzawą hecy narodowej? Może być.

Ze mną jest rzecz inna. Do mnie stosowano bardzo metodycznie i bardzo długo różne środki: więzienie, widma szubienic i widma kul. Szantaż ze mną nigdy dotąd nikomu się nie udał.

To są dwie hipotezy. Każdy historyk, z tą stroną życia polskiego zetknięty, będzie musiał odpowiedzieć sobie na pytanie — cui bono? Że ktoś ma z tego korzyść, to jest pewne, że komuś to jest potrzebne — to oczywiste. Więc odpowiedź być musi. To są dwie hipotezy.

Teraz przechodzę do hipotezy trzeciej. Przechodzę do hipotezy, bardzo głęboko sięgającej, sięgającej do głębi naszego życia publicznego. W Polsce życie publiczne za czasów niewoli miało cechy

niezwykle upakarzające. Była to służba dla obcych, służba nie dla Polski, służba dla zaborców. I każdy z zaborców starał się mieć ludzi, gotowych do służenia im. Gdy zaś przyszła wojna ze swemi wymaganiami, gdy na wojnie, zgodnie z mojem określeniem, żądano nietylko ciała, lecz i duszy, służba stała się jeszcze bardziej upakarzająca. Służono we wszystkich trzech zaborach zaborcom. Dawano pracę polską nie dla siebie, lecz dla zaborców. Dusza musiała się zbrukać w służbie u obcych. Widziałem te rzeczy i obserwowałem, widziałem obniżenie cnoty obywatelskiej. Z jednej strony strach wszechwładny istot, podlegających prawu wojny, drżących stale o życie, o mienie, a gubionych bezwzględnie z żelazną konsekwencją. Widzałem, jak Moskale wiankiem pożarów znaczyli swe drogi w Polsce. Widziałem zanik ludzkich istot, zbolszewizowanych wojną, toczoną w Polsce, nie dla Polski i nie o Polskę, gdzie Polacy pracę swą dawać musieli i dawali dla obcych. W tej pracy byłem i ja. Zdołałem wielkim wysiłkiem woli uchronić się od brudu pracy dla okupantów, bo nie daję zbrukać siebie ani ludzi, których prowadziłem. Miałem za sobą prześladowanie i więzienie magdeburskie. Gdy trzeba było stawiać ostre karty — stawiałem. Jedynie honoru i czci dać nigdy nie chciałem. Należą do mnie i do ludzi, których za sobą prowadziłem, i do Polski.

Proszę panów! Jeżeli panowie sądzicie, że ten właśnie element mojej pracy, ta umiejętność stałego przeciwstawiania się zaborcom w obronie zachowania honoru były jednym z powodów, dlaczego mnie, a nie kogo innego zrobiono przedstawicielem Polski, — to się nie mylicie. Był to w Pol-

sce czas wiosenny, wiosna nowotworzącego się życia. Nowa era życia polskiego chciała i szukała człowieka bez skazy, człowieka, który honor cenił ponad wszystko i który honoru zdeptać ani po więzieniach, ani po turmach, ani na wygnaniach nie pozwolił. Ten czynnik nie był obcy uczuciom tych, którzy mnie na czoło narodu wynieśli, pomimo, że obcy byłem narodowi, gdyż całe życie chodziłem, jak dziki kot Kiplinga, swojemi własnemi ścieżkami.

I ten czynnik czystości charakteru, ten czynnik honoru, który występował we wszystkich moich czynach, w całości mojej pracy podczas wojny, który sprawił, że pierwszy zjazd polski w Petersburgu mnie, choć stojącego w innym obozie, powołał na swego prezesa honorowego, ten czynnik legendy, który szedł ze mnie, dawał mi siły moralne, gdy sił do pracy codziennej ze swem społeczeństwem nie stawało.

Proszę panów! Kiedy nad tem się zastanawiam, często przychodzi mi na myśl, że ludzie, najbardziej zbrukani w służbie dla obcych, nie mogą znieść tej prawdy, nie mogą spokojnie nad tem przejść do porządku dziennego, że na wyżyny w Polsce został wyniesiony człowiek, który dumnie głowę nosi, człowiek, na którego czci skazy niema, który ma za sobą prace tak trudne, jak może nikt z Polaków. Zepsucie nie znosi cnoty. Człowiek, głęboko upokorzony, nie znosi dumy. To jest moja trzecia hipoteza.

Hipotezy wszystkie, które rzucam, są ubrane w szaty psychologiczne, są ubrane w szaty życia publicznego naszego społeczeństwa. Nie tłumaczą one zjawisk, które poprzednio przedstawiłem w pra-

cy nad sprawę Wilna. Być może dlatego, że są to hipotezy psychologiczne. Hipoteza taka jest niedopuszczalna być może dla wytłumaczenia tych zjawisk. Poruszę hipotezę ostatnią. Hipotezę zobowiązania i służby u obcych. Hipotezę zobowiązania i służby u innych, która do takiej sutenerskiej pracy zmuszała. Rzucam panom te hipotezy, które będą może czynione przez historję. Historja, która będzie prace polskie oceniać, przejść nie będzie mogła nad zjawiskiem, że w początkach pracy naszego życia państwowego, naszej nowej ery, praca narodu polskiego związana jest z jednem ciągle imieniem. Wiąże się z imieniem wybrańca losu, z jego błędami, lub też z zasługami, wiąże się ze stałą pracą niejakiego Józefa Piłsudskiego. Rzucony przez los na szczyty, ma w ręku możność pracy i możność tworzenia, ale obok tego będzie widział kontra pracę, stale idącą obok, stale robiącą te same ruchy i ułatwiającą sobie pracę metodą oszczerstw, potwarzy, łgarstw iście narodowych. Porzuciłem hipotezy.

Niech mi wolno będzie na zakończenie oświadczyć o jednym drobnym fakcie. Przeznaczyłem go dla odczytu w Krakowie, gdzie mam zamiar scharakteryzować pracę swoją w początkach istnienia Polski. Tam powtórzę zapewne fakt, który może nieco rozświetli hipotezy postawione.

Wśród kłopotów, rozpoczynających się dla mnie przy tworzeniu centrali rządowej w Polsce, miałem również kłopoty ze stronnictwami. Starałem się uczynić tak, żeby było jak najlepiej, mieć rząd z różnych stronnictw — nie udało się. Zbierałem wówczas wojsko, gdyż armaty już grzmiały na polach pod Lwowem i groziły grzmieć prawie we

wszystkich miastach na ówczesnych granicach Polski. W tym czasie z Paryża zjawił się do mnie jeden z moich starych znajomych, pan Stanisław Grabski. Przyjechał do mnie, twierdząc, że rząd, który jest tutaj utworzony, może uzyskać uznanie de facto wtedy, gdy sam on do tego rękę przyłoży, a on przyłożyć rękę może też do rządów Polski. Wzruszyłem ramionami. Znam tego pana od wczesnej młodości i znam sposób tworzenia przez niego koncepcyj. Niech pan spróbuje, bo mnie się nie udało. Próba nie udała się. Chciał on mnie krętacką metodą przekonać, że to, co on robi, to udane, a to, co ja — nie. Wówczas oburzony wyjął szyfr i powiedział, że on natychmiast o mojej niepokorze i nieposłuszeństwie zadepeszuje, gdzie należy. Szyfrem mi groził, rzucając przed oczy. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, że znam podstawy pracy szyfrowej i wiem, jak się niemi pracuje. Uprzedzam pana, że stąd pan może wysłać szyfr tylko za moim podpisem i pozwoleniem. Zgóry panu to pozwolenie daję. Był zdumiony moją śmiałością. W oczach jego widziałem zdumienie, że taki jestem warjat. On szyfr posiada, czarował nim Warszawę, było to jego *passe-partout,* — a taki znowu szyfru się nie boi. Szyfry rozdają — powiedziałem — wszędzie podczas wojny. Szyfry rozdają nawet szpiegom i agenturom. Szyfr spłodzić bardzo łatwo. Od tego są specjaliści. Nagle mi szyfrem chciał zaimponować. Ten mały obrazek, moi panowie, może oświetli wam troski moich szczytów.

Szanowni państwo! Sprawa Wilna to męczeństwo moje i męczeństwo wasze, to męczeństwo nasze wspólne. Ileż razy, moi panowie, gdy byłem

Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, widziałem was w moim gabinecie! Ileż razy szukaliście ratunku na swoją biedę u mnie! Praca nad sprawą wileńską była dla mnie jedną z najważniejszych. Pracą tą najbardziej się opiekowałem, najwięcej w nią wkładałem istniejącego w każdym człowieku sentymentu. Ta praca należała do najbardziej zawiłych, do najbardziej trudnych do prowadzenia. Przeszkodą w całym okresie wojny było to, co ongiś na tych ziemiach panowało. Była Rosja, Rosja, która niezatarte piętno na tych ziemiach zostawiła. Zdawałoby się, że z grobu powstają widma tych dawnych i tak niedawnych czasów, okresów wielkich polskich walk. Na tych ziemiach polskich, na których ongiś broniono się przed zaborcą, na tych samych ziemiach Polski znowu walczono, znowu obronę budowano. Stąd ta wielka praca, której dokonać trzeba było, aby się uwolnić od dawnej Rosji, która była tak długo potężna, a po śmierci jeszcze pozostała groźnem widmem.

Szanowne panie i szanowni panowie! Wypowiadając swoje poglądy na sprawę wileńską, swoje prace i dążenia, miałem na celu publiczną obronę siebie, obronę nie w znaczeniu prywatnie osobistem, lecz obronę swej postaci, jako postaci historycznej. Nie chcę dopuścić, by gdy oczy zamknę, mego głosu przy tworzeniu mojej postaci brakowało, mego stwierdzenia własnej mojej pracy, gdyż wtedy jestem spokojny, że dzieci moje i dzieci wasze z radością myśleć będą o tem, jak ongiś w obronie Polski występował niejaki Józef Piłsudski.

XIV
LIST DO FELIKSA POPŁAWSKIEGO
(4 września 1923)

Sulejówek, 4 września 1923.

Do Prezesa Komitetu Imienia Piłsudskiego
Feliksa Popławskiego w Nowym Jorku.

Szanowny i Kochany Panie!

Nie byłem cały miesiąc w domu, więc dopiero teraz mogę przesłać Panu i Jego Kolegom z Towarzystwa mego imienia podziękowanie serdeczne. Wzrusza mnie niezmiernie wasza pamięć o mnie, tak mile wyrażona i tak serdecznie ujęta, z propozycją co miesięcznej pomocy dla mojej pracy w Polsce. Jeszcze raz dziękuję i proszę wziąć pod uwagę następujące moje pod tym względem decyzje. Jestem człowiekiem pracy, który jest dumny z tego, że własną pracą i wysiłkiem mógł uczynić tak dużo na świecie i w Polsce. Z tego płynie już zawsze pewna ambicja, że sam sobie muszę dawać radę w życiu. Dlatego wybaczcie, że nie mogę się zgodzić w zupełności na propozycję, abym sobie brał pieniądze, zbierane z myślą o celach publicznych. Proszę więc zgodzić się na moją propozycję, ta zaś brzmi tak: pieniędzy tych będę używał, to jest na wydatki podróży nieraz dość kosztowne, których dokonać muszę, i na pomoc wydawnictwom, które nie są dochodowemi, a które wydane-

mi być musiały, na nieprzewidziane wydatki, złączone z pomocą dla mnie w tych czy innych wypadkach — jednem słowem, na wydatki, wykraczające poza normalne życie moje z rodziną, któr to wydatki opędzić sam potrafię.

Będę bardzo rad, jeżeli otrzymam od Was Panowie, odpowiedź w tej sprawie i będę bardzo wdzięczny, jeżeli na ten mój projekt zgodę wyrazicie. Proszę przyjąć raz jeszcze serdeczne podziękowanie za pamięć o mnie i zapewnienie o najwyższej przyjemności poczucia mego, że przez ocean wyciągnąć mogę dłoń dla uściskania Waszych dzielnych dłoni.

Józef Piłsudski.

XV

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE NAUCZYCIELSTWA

(10 września 1923)

Szanowne panie i szanowni panowie! Dziękuję za to serdeczne przyjęcie i za te gorące i szczere słowa, z któremi w imieniu waszem zwrócił się do mnie wasz przewodniczący. Stanęliście do pracy odrodzenia w odrodzonej ojczyźnie, aby odrodzić dusze, które się w niewoli splugawiły i znikczemniały. Odrodzić dusze ludzkie, zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym i silniejszym — oto wasze zadanie. Obok pracy wojskowej, która byt nasz utrwaliła krwią wylaną, jesteście tymi, którzy w odrodzeniu Polski i człowieka macie największe prawo do zasługi. Życie wasze płynie w tej samej ciężkiej pracy, w jakiej płynęło życie żołnierskie. Życzyć wam jedynie mogę, dziękując za to przyjęcie, abyście w tej pracy mieli powodzenie i odczuwali płynące z niej szczęście; aby te dzieci, co przez wasze nauczycielskie ręce przechodzą, o was tak serdecznie wspominały, jak chcecie łaskawie o mnie i o mojej pracy wspominać.

XVI

ZE WSPOMNIEŃ O ALEKSANDRZE MALINOWSKIM

(3 grudnia 1923)

Aleksander Malinowski wszedł do centrum kierowniczego organizacji konspiracyjnej Polskiej Partji Socjalistycznej po ukończeniu Technologicznego Instytutu w Charkowie, w drugiej połowie ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku.

Praca w owych czasach była to tak zwana praca „u podstaw". Rzadko bywała uwieńczona powodzeniem, nigdy nie łączyła nazwiska pracownika z blaskiem chwały publicznej, nie miała oparcia w uznaniu tłumu, gdyż nigdy nie schlebiała jego instynktom. Wymagała więc taka konspiracyjna robota specjalnego doboru ludzi o silnych nerwach i wysokiem napięciu nastroju moralnego. W ciasnem gronie konspiratorów zbliżenie następowało szybko, a wspólne przeżycia i twarde przejścia wytwarzały węzły koleżeństwa nierozerwalne, trwające całe życie. Spory, nieraz bardzo namiętne, nigdy nie zostawiały, tak, jak to się zdarzało później, żadnej skazy w stosunkach osobistych, które trwały w serdeczności i we wzajemnej i niezmiennej ufności, pomimo bardzo nieraz rozbieżnych poglądów dyskutujących.

Malinowski był jednym z ludzi, do takiej właśnie pracy nadzwyczajnie przystosowanych. Nazywaliśmy go konspiracyjnie „Władkiem"; przybrane imię tak się z nim zrosło, tak przylgnęło do niego, iż zastąpiło całkowicie istotne imię Aleksandra. Gdy ten pseudonim był już skompro-

mitowany przez żandarmerję polityczną, nie udało mu się nigdy zastąpić go innym, pomimo wszelkich jego starań. Przypuszczam, że nawet w jego najbliższej rodzinie nazywano go nieraz Władkiem, jakgdyby dla zaświadczenia, że całe jego życie było ściśle związane z tą ciężką, bezosobową pracą, w której zmężniał i utrwalił się jego kryształowy charakter. Dziwne koleje przechodziły te pseudonimy — znam zaledwie kilku ludzi, z którymi przybrane imiona zrosły się tak organicznie, że na całe życie zastąpiły rzeczywiste imiona. Dotąd po trzydziestu prawie latach całe mnóstwo ludzi zwraca się do nich lub mówi o nich, gdy zeszli już ze świata, nazywając ich konspiracyjnem imieniem. Gdy myślą przebiegam tę grupę towarzyszy, znajduję zawsze jedną wspólną im cechę — kochano ich więcej, niż innych, byli poza pracą konspiracyjną jakby krewnymi, braćmi, zawsze uczynni, pomoc dający łatwo i niewiele dla siebie żądający. Jednym z nich był „Władek"; dotąd zapewne u jego kolegów — przy wspomnieniu o nim — serdeczny uśmiech zjawia się na twarzy, a dłoń do braterskiego wyciąga się uścisku.

Był człowiekiem wysoko wykształconym, lecz pomimo, iż doktryny, które wyznawał, skłaniać go mogły do ujmowania zjawisk z mglistego, rzekomo najszerszego, ogólnoświatowego stanowiska, głęboka miłość dla rodzimej, swojskiej kultury czyniła go zawsze gorącym patrjotą, będącym w ustawicznej walce ze stałym w socjaliźmie prądem, który unika patrjotyzmu, jak grzechu.

Aresztowany wraz ze mną w roku 1900, został skazany na 8 lat eksportacji do Wschodniej Sy-

berji i zdołał zbiec z drogi na wygnanie. Po krótkim wypoczynku zagranicą stanął, pomimo zachwianego zdrowia, na nowo do pracy. Było to w zaraniu wrzenia rewolucyjnego, które opanowało imperjum rosyjskie podczas i po wojnie z Japonją. Lecz forma ruchu i namiętności sporu zrażały go niezmiernie; nie mógł już znaleźć tej koleżeńskiej serdeczności, do jakiej się był przyzwyczaił poprzednio. Wstręt miał do brudu podjazdowej walki z przeciwnikami i czuł się nieraz bezsilnym wobec panoszącej się plotki. Gdy zaś zdrowie coraz bardziej odmawiało mu posłuszeństwa, wycofał się z czynnego ruchu na bliską emigrację, do Galicji.

W działalności swojej Malinowski miał dwa rysy nadzwyczaj charakterystyczne — przedewszystkiem był najbezwzględniejszym wrogiem frazeologji, tępił ją niemiłosiernie, nie dał się nigdy zwieść frazesem lub łatwem słowem, dlatego też w stosunku do ludzi był wymagającym i zawsze szukał etycznej podstawy przy wyborze ludzi w swej pracy organizacyjnej. Specjalnie skrupulatnym był w dziedzinie finansowej, wymagając, zarówno od siebie, jak i od innych, ścisłych rachunków, chociażby się to tyczyło kilku groszy.

Następnie był bardzo praktycznym w wyborze środków i dróg, prowadzących do celu; śmiałem się zawsze, że pochodziło to z jego inżynierskiego fachu; dlatego też rzadko zawodził w pracy i dobrze oceniał ludzi; na jego rekomendacji zawsze można było polegać. Dzięki tym cechom umiał zachować siebie od deformujących często charakter wpływów życia konspiracyjnego, szedł

w życie bez kompromisów, bez załamań i nadpęknięć w duszy.

Nową Polskę powitał, w nowej Polsce żył, jako jeden z nielicznych, spokojnych jej obywateli, nie odczuwających konwulsyjnych dreszczów z powodu tak zupełnie nowego i tak drażniącego swoją nowością życia. Ile razy spotykałem go już w niepodległej Polsce, zawsze miałem wrażenie, że mam przed sobą człowieka, tak przygotowanego moralnie do swobodnej Polski, że żal mię brał, iż ma ona tak niewielu równie przygotowanych obywateli.

Sulejówek, 3 grudnia 1923 roku.

XVII
O WARUNKACH PRACY W WOJSKU

(9 stycznia 1924)

Na pytanie sprawozdawcy, czy Marszałek zdecydowany był przyjąć tekę ministra spraw wojskowych w niedoszłym gabinecie pana Thugutta — Marszałek odpowiedział:

— Tak jest. Pan Thugutt przybył do mnie z propozycją, abym wziął udział w gabinecie jego, jako minister spraw wojskowych. Odpowiedziałem, że zgodzę się z całą przyjemnością, ale wysunąłem warunki, które postawiłbym rodzonemu bratu, gdyby przyszedł z taką propozycją.

Warunków było kilka. Pierwszy podstawowy, aby gabinet uznał zasadę i bronił jej przed sejmem, że wojsko i urządzenia wojskowe nie mogą być w państwie piłką, którą stronnictwa polityczne robią naprzekór sobie lub rządowi tak zwane gole; taka zabawa demoralizuje niesłychanie wojsko, specjalnie wyższych oficerów, którzy znaczenie i władzę usiłują zyskiwać przy poparciu stronnictw politycznych. Wymieniony powyżej warunek, uniemożliwiający tworzenie wojska partyjnego, może być bardzo uciążliwy dla ministrów, reprezentujących stronnictwa w sejmie, lecz wydał mi się on konieczny po przejściach, które doświadczyła armja za poprzedniego gabinetu.

Drugim warunkiem, wypływającym z poprzedniego, było usunięcie możliwości załatwiania personaljów wojskowych na podstawie postanowień gabinetu; mogą bowem zasiadać w nim przedstawiciele stronnictw, którzy mają interesy stronni-

cze wtedy, gdy minister spraw wojskowych powinien dbać o to, aby oficerowie zdobywali stanowiska swoje na podstawie doświadczenia, wytrawności i uzdolnień do służby. Warunek ten postawiłem także dlatego, że poprzedni gabinet w swoim urządzeniu władz wojskowych mnóstwo wyższych funkcyj wojskowych uzależnił nie od czego innego, jak od decyzji gabinetu.

Postulat trzeci polegał na tem, że żądałem powrotu do ułożenia stosunku wyższych władz wojskowych na podstawie dekretu Wodza Naczelnego z 7 lutego 1920 roku, to jest powrotu do tego stosunku, jaki pozostawiłem, odchodząc z wojska, a co zostało zmienione przez nowe postanowienie gabinetu pana Witosa, posiadające wady, wymienione w drugim moim warunku.

Co do innych warunków, to dotyczyły one budżetu wojskowego oraz sposobu, metody i pracy w gabinecie. Pan Thugutt warunki, postawione przeze mnie, przyjął, no — i jak wiadomo — gabinetu nie sformował.

A potem zwrócił się do mnie generał Sosnkowski, zaproszony na stanowisko ministra spraw wojskowych w gabinecie pana Władysława Grabskiego. Generał Sosnkowski prosił mnie, abym wrócił do wojska i pracy wojskowej na podstawie wspomnianego dekretu Naczelnego Wodza z dnia 7 lutego 1920 roku.

Znając pracę, przerobioną pod moim kierunkiem w ciągu dwu i pół lat po zakończeniu wojny, zgodziłem się na propozycję generała Sosnkowskiego pod jednym warunkiem — abym wziął w swoje ręce przewodnictwo w Ścisłej Radzie Wojennej, czyli stanowisko oficera, mającego objąć w razie kon-

fliktu zbrojnego Naczelne Dowództwo łącznie ze stanowiskiem szefa Sztabu Generalnego armji polskiej. Żądanie to motywowałem kilkakrotnie na najrozmaitszych zebraniach politycznych, które z tego powodu były zwołane.

Motywy, wyłuszczone przeze mnie, były takie: szef Sztabu Generalnego razem z aparatem sztabowym, na którego czele stoi, uzależniony jest w dwóch kierunkach, ściślej — podwójnie uzależniony. Po pierwsze — od ministra spraw wojskowych, któremu pomaga w kłopotach codziennych dowodzenia wojskami w czasie pokoju; druga zależność wypływa ze stosunku do przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, mianowicie — wtedy, gdy zarówno sam szef Sztabu, jak jego aparat wchodzą w grę przy pracy, przygotowującej wojsko do takich czy innych możliwych konfliktów międzypaństwowych.

Znając — powtarzam — cały ten mechanizm, twierdziłem, że nie wybrnąłbym ze swoją pracą, gdybym aparatu sztabowego nie miał zjednoczonego w swoich rękach, zaś pewny byłem siebie, że potrafię dać żądaną pomoc panu ministrowi spraw wojskowych w jego pracy.

Był to warunek, na który odpowiedziano mi odmownie, prosząc o odłożenie tej kwestji aż do ustawowego załatwienia projektu o najwyższych władzach wojskowych.

XVIII

ROK 1863

(styczeń 1924)

Odczyt, jako forma wypowiadania myśli, staje nieraz w sprzeczności z dokładnością i sumiennością w stosunku do treści. Sam czas, zwykle ograniczony, oraz konstrukcja, wymagana od przemówienia, są często ramami, dla których poświęcić trzeba ścisłość określeń, dostateczność dowodów i jasność argumentów. Dlatego też, wydając odczyt mój o powstaniu 1863 roku, prosiłem wydawców, aby zechcieli poprzedzić go wstępem, który, nie mając pretensji do wyczerpania treści, pogłębiłby jednak u czytelników odczucie wagi i znaczenia takiego właśnie, a nie innego ujęcia przeze mnie tematu.

Mówiłem o legendach, w których chowaliśmy się wszyscy my, pogrobowcy ostatniego powstania naszego narodu. Wybrałem jako temat dwie główne legendy, te, które bodaj każdy człowiek musiał w siebie wchłaniać, tak bowiem były powszechne, działały tak sugestyjnie, a zatem tak silnie skaziły przez swój fałsz nietylko samą historję 1863 roku, lecz i dusze ludzkie następnych po powstaniu pokoleń.

Fałsz bowiem był tak jaskrawy, tak rzucający się w oczy, że tylko trwożliwa niechęć do powtórzenia eksperymentu dziejowego powstania wytłumaczyć zdoła ten dziwoląg psychiczny i myślowy.

Dwie te bowiem legendy uczuciowo, psychicznie były sobie sprzeczne, natomiast skwapliwie

były łączone ze sobą, jako czynnik moralnego wychowania tysięcy i tysięcy ludzi, którzy się byli urodzili po powstaniu 1863 roku. Z jednej strony więc prowadzono dziecko lub młodzieńca gdzieś w gęstwę lasu, by go wzruszyć zapomnianą mogiłą powstańca, by mu szeptem w ukryciu, nieraz z wyrzutem mówić, jak jest niepodobnym do swych ojców, gdy kłótnią przysparza domowi kłopotu, gdy nieopatrznem słowem zaczepia jakiś autorytet parafjalny czy powiatowy. A obok tego głośno i nieustannie stwierdzano słowem, wzruszaniem ramion, pogardliwem lub niechętnem burknięciem wszystko, co było drugą legendą, legendą głupoty, szaleństwa, często wprost legendą zbrodni roku 1863 i jego ludzi w stosunku do nas, następnych pokoleń.

Osobiście tak często słyszałem te dwie legendy z jednych i tych samych ust, mieszczące się swobodnie w jednej i tej samej głowie, że nie wiem, czy jest bardziej powszechny i jednolity sąd o jakimkolwiek wypadku historycznym, jak właśnie te zjednoczone, a tak sprzeczne w sobie legendy o 1863 roku. Więc szanować — szaleństwo? Więc czcić — głupotę? Więc kochać — zbrodnię? Taki byłby wywód prosty i jasny z tego dziwoląga logiki uczuciowej i moralnej. Któż z nas nie nasłuchał się kazań z powołaniem się na rok 1863, czy to o niebezpieczeństwie młodego piwka, które się nie wyszumiało, czy to o złośliwej sprzeczności, jaka istnieje zawsze pomiędzy rzeczami szlachetnemi, a temi, które są rozumne i praktyczne?

Wcześnie też w mojem życiu, może przez przekorność mojej natury, ciągnęło mnie do prób rozwiązania tej dziwnej dla mnie sprzeczności, jaka

istniała w stosunku do wypadków 1863 roku. W najdrobniejszym zakątku życia społecznego Polski, w każdej kwestji poważniejszej, gdym ją chciał badać genetycznie, znajdowałem olbrzymi wpływ wypadków 1863 roku. Tymczasem w odpowiedziach, rzucanych o tych wydarzeniach, spotykałem zawsze, z wyjątkiem bardzo nielicznym, tę potworną sprzeczność legendy, wyznawaną publicznie. Niekiedy w odpowiedziach brzmiała jakaś niema trwoga, która mi mówiła — „nie pytaj, jest to szlachetne i piękne, ale zarazem głupie, nienawistnie przeklęte i tak już oczywiście niepraktyczne". Sąd ten, tak powszechny, zostawił swój głęboki ślad nietylko w duszy tych, którzy nie byli świadkami powstania, lecz i w duszy wielu uczestników walk tej epoki. Spotkałem ich jeszcze w wielkiej ilości na wygnaniu na Syberii, spotkałem ich i potem, i nieraz wyczuwałem w nich wyraźną niechęć do rozmów na temat powstania, a często jakąś nieuleczalną gorycz w stosunku do samych siebie, a jeszcze bardziej w stosunku do nas, nowego po nich pokolenia.

Niechże te moje głębokie przeżycia w związku z wypadkami 1863 roku, przeżycia, które wznieciły we mnie namiętną potrzebę poszukiwania prawdy, usprawiedliwią w oczach czytelnika odbicie tej namiętności, którą może odczuje w słowach i określeniach mojego odczytu. I niech na podstawie sugestji i legend popowstaniowych nie zechce zgóry przesądzać, że to, co jest odczute, jest z zasady nierozumne lub nierozsądne.

Starałem się oddzielić od siebie te dwie legendy i ocenić ich istotną wartość na podstawie pamiętników świadków i uczestników powstania 1863 roku.

Ograniczony czasem i strukturą przemówienia, nie byłem w stanie wyczerpać ogromnej ilości faktów, które zbierałem był skrzętnie. Dla potwierdzenia tez swoich chcę przytoczyć we wstępie kilka zdarzeń, podkreślających słuszność moich dowodzeń.

Naprzód rozbijałem legendę o „treuga Dei", legendę zgody narodowej, przedstawiając, jak namiętnemi były ówczesne spory polityczne. Jako skutek tych namiętności, ujawnić się musiała wielka chwiejność w tej najliczniejszej zwykle w społeczeństwach rzeszy, która nie bierze bezpośredniego udziału w sporach politycznych. Tę też chwiejność istotnie spotykałem przy wszystkich swoich studjach nad pamiętnikami. Stąd ogromna ilość wybitnych ludzi w powstaniu, którzy przychodzą do pracy i zajmują w tej pracy nieraz wysokie stanowiska dopiero w drugiej połowie 1863 roku, podczas gdy powstanie rozpoczęło się na samym jego początku.

Ba, w opisach spotykałem ot takich sobie, przeciętnych oficerów powstania, którzy w jego początku, służąc w armji rosyjskiej, nawet z powstańcami bezpośrednio walczyli.

Gdym zaś mówił o wielkim cudzie Rządu Narodowego i panowaniu pieczątki, nie chcąc psuć wrażenia przemówienia, nie dodałem, że w samym rządzie oraz w najbliższem jego otoczeniu spory były tak namiętne i tak silne, że wskutek nich następowały częste zmiany i że w historji samego Rządu Narodowego nie brak nawet zamachów stanu. Niechybnie świadczyło to o braku wśród kierowników tych wielkich, którzy samą wielkością własną zdobywają autorytet i imieniem swojem znaczą epokę, lecz tem bardziej fakty te pod-

kreślają ogromną siłę zbiorowej energji i moralnej chęci poddania się woli swego własnego, polskiego rządu. Bo chyba nikt nie zechce tłumaczyć tego niezwykłego faktu przystosowaniem się do charakteru polskiego i koniecznością dla powagi rządu ukrycia go przed oczami ciekawych.

Z powodu zakreślonego sobie celu nie dotknąłem wcale jeszcze jednej legendy, która ciążyła nad naszemi losami bardzo silnie, a której wyraźne ślady spotykałem jeszcze w nowej, niepodległej Polsce. Mówię o legendzie, że ją tak nazwę włościańskiej, związanej z taką samą legendą carskiego i obcego demokratyzmu. Wyrządziła ona życiu naszemu po powstaniu głęboko sięgające, niezabliźnione poniekąd rany. Obszerny to temat, nad którym niejedna ślęczała głowa, z powodu którego niejedno męczyło się serce. Zasługuje ten temat na ściślejsze i dokładniejsze badanie, niż to mogłem uczynić w odczycie, albo w niniejszym wstępie. Tutaj mogę zaledwie zlekka dotknąć tego tematu. Zwrócę więc przedewszystkiem uwagę na jeden z wyników moich badań, do których doszedłem również na podstawie pamiętników, a mianowicie, że udział włościan w powstaniu zwiększał się z każdym miesiącem jego trwania. Można powiedzieć, iż z rozpoczęciem zimowej kampanji z roku 1863 na 1864 w wielu miejscach powstanie opierało się jedynie na włościanach i na ich życzliwej opiece nad oddziałami.

Spotkałem nawet próby przymusowego poboru do wojska przez oddziały po wsiach w Kieleckiem (ówczesnem województwie krakowskiem), przyczem pamiętnikarz, sam oficer powstania, stwierdzał, że próby tego przymusowego poboru,

robione siłą, nie czyniły z wziętego z poboru parobczaka złego lub niechętnego żołnierza. Następnie zaznaczyć chciałbym niedostatecznie szeroko znany fakt, że uwłaszczenie włościan na całej przestrzeni, objętej powstaniem, uprzywilejowało stan włościański pod względem materjalnym w znacznie wyższym stopniu, niż to się stało w rdzennej Rosji. Jeżeli więc mówić o zmianach w strukturze socjalnej olbrzymiego państwa carów, to powstanie i konieczność konkurencji z dekretami Rządu Narodowego zmieniły tę strukturę znacznie poważniej u nas, niż w Rosji. Walka o duszę włościanina i konkurencja carska z tradycjami powstania stanowiły przez cały czas panowania u nas Rosji niezwykle poważny czynnik życia politycznego i społecznego. Oddziaływanie tego czynnika dałoby się zauważyć i dzisiaj. Na potwierdzenie zaś przytoczę zabawny już teraz, na szczęście, fakt, na który się natknąłem w początkach nowej Polski.

W samym końcu roku 1918 dałem urlop świąteczny jednemu z wyższych oficerów mego sztabu. Były już wtedy rozpisane wybory do pierwszego sejmu Rzeczypospolitej. Gdy oficer ten w drugiej połowie stycznia roku 1919 wrócił z urlopu, pytałem go o wrażenia, jakie wypadki dziejowe wywarły wśród ludności wiejskiej jednego z zapadłych kątów tak zwanego Królestwa. Opowiadał mi o przeróżnych rzeczach, lecz dodał pomiędzy innemi, że włościanie zamierzają powstrzymać się od wyborów, gdyż się boją — bo jak powiadali: „przyjdą tu kozacy, to dopiero dadzą nam Polskę!“

Powstanie 1863 roku wraz z całą jego epoką czeka dotąd jeszcze na swoją historję. Nieliczne prace, dotykające tego tematu, są zaledwie próbami. Wobec olbrzymiego wpływu, jaki miały wypadki 1863 roku na losy naszego narodu, jestem pr ekonany, iż teraz, gdy wszelkie trwogi przed próbą walki o niepodległość już chyba minęły, znajdą się historycy, którzy tej epoce poświęcą swoje siły i pracę. Gdy więc który z nich zechce rzucić łaskawie okiem na moje próby walki z legendami, będę szczęśliwy, gdy mu usunę z drogi w pewnej mierze najważniejszą, zdaniem mojem, przeszkodę. Nic bowiem trudniejszego dla historycznej prawdy, jak ogarnąć wielkość epoki. Wielkiemi były wypadki 1863 roku, wielkiemi ich wpływy, wielkiemi namiętności, wielkiemi są również i braki źródeł dla studjów nad wydarzeniami, odchodzącemi gdzieś w dal przeszłości.

Lecz dla dziejów powstania 1863 roku również wielkie znaczenie ma trwoga oraz sprzeczność myśli i uczuć następnych pokoleń polskich w stosunku do swych ojców i dziadów z 1863 roku, a niema lepszej pożywki chorobotwórczej dla bakteryj fałszu i legend, jak strach przed prawdą i brak woli.

Sulejówek, 31 stycznia 1924 roku.

Rok 1863 stoi na przełomie naszych dziejów; stara Polska umiera — nowa się rodzi. Na przełomie dziejów staje epokowe zdarzenie — powstanie naszego narodu, walka orężna, długo trwająca, długo zalewająca krwią i pożogą ziemię naszą. Na progu nowoczesnego życia społecznego stoją wydarzenia 1863 roku. Wyrasta mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od pokoleń, czyniąc nowe życie, zamykając stare, — mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry 1, 8, 6, 3. Płonęły te cyfry świadomie dla myślących, bezwiednie dla wszystkich, tworząc i kształtując duszę nowego, popowstaniowego Polaka, — nowe zjawiają się załomy duszy, inne nerwy, całkiem odmienny sposób odczuwania i reagowania. Pod wpływem wypadków roku 1863 rodzi się inna Polska z innem ujęciem życia i jego zadań. Skutki sięgają tak daleko, że śmiało rzec można, że dziś jeszcze, gdy dziecko na świat przychodzi, jest obciążone rokiem 1863.

Rok wielki i, zdawałoby się, wielkim będąc, zasłużyćby musiał na to, na co wielkość każda zasługuje, — na pracę historji; a jednak historja nasza rok ten omija ostrożnie, rzuca wzrok na ogniste cyfry jakgdyby trwożliwie, zostawiając nam tylko legendę. Każda wielkość tworzy legendę, idzie ona w parze z każdą wielkością, dążąc z nią do grobu, na jej grobie stoi, jak wierzba

płacząca, w grobie jeszcze strzegąc wielkości. Historja jednak odrzuca powłoki i skorupy legend, szuka prawdy życiowej, jądro prawdy wyłuskuje i okazuje przed oczy.

Habent sua fata libelli — mówi przysłowie — mają swe dziwne losy księgi. Mają też swoje dziwne losy i lata, i cyfry. Cyfry 1863 roku musiały należeć do cyfr nieszczęsnych. Znacząc tyle dla nas, ważąc tyle w życiu narodu, nie miały szczęścia w historji i literaturze, znajdują dla siebie tylko ich surogaty — legendy i anegdotyczne plotki. Więc kiedy dziś w wolnej Polsce i jej stolicy przemawiać mam o roku 1863, legend nie chcę, prawdę dać wam chcę nie mojemi słowy; chcę, żeby groby przemówiły! I jeżeli mi się uda zrobić cud wskrzeszenia i w sali tej trysną żywe kwiaty z grobów, mówiąc ich bólami, dając zapach żywych kwiatów życia ówczesnego, szczęśliwy będę, albowiem sercem wgryzałem się niegdyś w prawdę, szukając w wielkim roku wielkości mojego narodu, szukając w wielkim ruchu wielkości mojej ojczyzny.

Niechże więc groby ozwą się wśród was, niech mówią swoim własnym językiem — nie legendy. My wszyscy, pogrobowcy powstania, znamy chyba doskonale jedną legendę o zgodzie narodowej, o bratniej zgodzie wszystkich, o rękach, podanych ku braterskiemu uściskowi ze łzą sentymentu w oczach. Legenda, szeptana nam wszystkim z wyrzutem, legenda różanego olejku, którym nieraz rodzimy brud usiłowała przytłumić, rzucana, jak wzór, dla niegrzecznych dzieci ojczyzny. Czy odpowiadała ona prawdzie? Jak

wyglądały stosunki pomiędzy sobą ówczesnych stronnictw?

Było ich trzy — Wielopolczycy, Biali i Czerwoni. Trzy wielkie potęgi, co świat ówczesny polski poruszały i w wielkim dziejowym roku silnemi były. Pierwsze, nieliczne, lecz silne pracą i wielkością a potęgą swego przodownika — margrabiego Wielopolskiego. Siła charakteru duża, stalowy człowiek z wielką wolą, rozporządzał niewielką liczbą pomocników i przyjaciół. Co czynił? Wykorzystując osłabienie najeźdźcy po przegranej wojnie krymskiej, grając na zmianach personalnych w otoczeniu nowego cara, pracował nad spolszczeniem urzędów w Polsce, usuwając resztki śladów epoki poprzedniego cara Mikołaja i jego faworyta, namiestnika warszawskiego, Paskiewicza. Cały aparat rządowy stawał się polski, a odrodzona Szkoła Główna dotąd jest pomnikiem jego zasługi. Do społeczeństwa Wielopolski odnosił się z pogardą, żądając jedynie posłuszeństwa. Posłuch zaś wymuszał gwałtownemi środkami i w niczem nie różnił się od najeźdźców, którzy użyczali mu w tym celu rąk i aparatu. Główne siedlisko Białych, Towarzystwo Rolnicze, zamknął gwałtem, poszczególnych ludzi ścigał i szykanował niegorzej od Paskiewicza. Czerwonych nienawidził, jak wrogów osobistych, więził, katował, szpiegował na wspólkę z policją carską. Nieraz całą wielką siłę charakteru zużywał na nienawistne szykanowanie jednych i drugich z pogardzanych stronnictw. Odpłacano jemu i jego stronnictwu tem samem. Wyklęty był z narodu, nienawidzony może wię-

cej od najeźdźców, Moskali, utożsamiany z nimi we wszystkich ówczesnych publikacjach.

Gdy wybuchło powstanie, gdy w lasach grzmiały strzały karabinów i strzelb, śpiewano po obozach znaną dotąd pobudkę powstańczą „Stój, carze, stój, nie ustał bój". W piosence tej z zapałem może największym, z błyskiem nienawiści w oczach śpiewano strofkę „Bo mu (carowi) margraf projekt podał, jak ugasić żar". „Margraf" to Wielopolski, któremu dla większej pogardy zruszczono tytuł margrabiego. Walczono więc i bito się z carem i z margrabią. Gdzież więc jedność narodowa? Przecież to istotna wojna domowa w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Biorę inne stronnictwo. Mamy więc dużą, obejmującą wielką ilość Polaków partję Białych. Na czele czczona postać Zamoyskiego. Jakaż tam prawda? Niech groby mówią. Otwieram księgę najnowszą, najbardziej przetrawioną, pisaną drżącą ręką starca, schodzącego do grobu. Ręka, prowadzona przez rozum, co ból przetrawił, co szukał krótkiej, możliwie nie drażniącej prawdy o roku 1863. Pół-pamiętnik, pół-historja Józefa Janowskiego, członka Rządu Narodowego od chwili wybuchu powstania aż do upadku ruchu.

Otwieram tę księgę na przygotowanym okresie: mowa o Białych, o stosunku ich do tych, co wojnę 1863 roku poprowadzili, o stosunku do tych, którzy stanowią treść i istotę wybuchu powstania 1863 roku: „Całą organizacj Komitetu Centralnego traktowali (Biali) pogardliwie, nazywając ją robotą smarkaczy i głupców". Krótkie określenie, wcale nie mówiące o treuga Dei.

Niech inny grób przemówi. Jest znany pisarz polski, ceniony dotychczas przez wielu. Uśmiech na twarzy wykwita, gdy się mówi o Klemensie Junoszy, o tym bajarzu, o tym cudownym obserwatorze życia. Żył on w tamtych czasach, należał do organizacji Białych i zostawił swoje wspomnienia.

Przed samym wybuchem powstania (o ile pamiętam, w styczniu 1863 roku) dyrekcja Białych nakazała swoim komisarzom na prowincji wybadać stan umysłów. I oto Klemens Junosza, jako komisarz dyrekcji, bada swoją okolicę. Kogo tam bada, gdzie szuka poznania życia? Swobodnie, w wesołym prawie tonie pisze: przedstawicielem Czerwonych w miasteczku był aptekarz, znany głupiec, do którego nie warto było chodzić. Lawy bulgoczą wewnątrz ziemi — jutro płonąca lawa wyleje się za dotknięciem właśnie czerwonem, lecz nie warto z nimi gadać. Do kogóż iść? Do starozakonnego izraelity, kupca miejscowego, żeby u niego zasięgnąć języka o Czerwonych i od niego dowiedzieć się o stanie rzeczy. Treuga Dei — gdzieżeś ty jest?

Idźmy dalej, inny grób mówi. Oksiński na cudownej karcie swoich pamiętników opowiada o początkach powstania. Sam jest Czerwonym z ówczesnej szkoły wojskowej w Cuneo — było to coś w rodzaju szkół strzeleckich przed wojną 1914 roku. Wysyła go naczelny wódz powstania, Zygmunt Padlewski, i daje mu instrukcję. Za tydzień ma się dokonać wybuch i Padlewski mówi: „Posyłam cię na stracenie, tam panują Biali, tam Polaków niema". Do kogóż posyła on Oksińskiego, żeby robić powstanie? Do tajnej organizacji

moskiewskiej „Ziemi i Woli", te adresy mu daje, pogardliwie traktując „nie-Polaków", Białych.

Ciekawa i ładna jest scena, która w tym pamiętniku jest przedstawiona. Oksiński przyjeżdża w Kaliskie, nie mając danych o tych nielicznych Czerwonych, którzy gdzieś w morzu białych głów toną. Jak on ich szuka? Jak silnemi były spory, jak pulsowały one żywo, wskazuje pewien charakterystyczny sposób, w jaki odnalazł tych Czerwonych. Oksiński idzie do oberży, gdzie zebrana miejscowa, że tak rzekę, inteligencja spór polityczny toczy. Oksiński przygląda się zebranym i widzi wśród nich jednego zaperzonego, zaczerwienionego osobnika. Odgaduje, że musi to być ten, co reprezentuje znikomą mniejszość i czuje się skrzywdzonym, a więc to jest Czerwony — i trafia bez pudła. Tak — to Czerwony, bo go w oberży w sporze zaczepiono, pobito i skopano moralnie.

Oto początek powstania. W Białej Podlaskiej Rogiński, młody człowiek, przygotowuje wybuch, organizując miasteczka i okoliczne zaścianki. Dzień wyznaczony na zbiórkę, miejsce wskazane. Rogiński siedzi u siebie i czeka. W wilję wybuchu, w nocy, spiskowi mieszczanie przed wyjściem na bój śpieszą do kościoła, aby pogodzić się z Bogiem. Idą gremjalnie do spowiedzi, aby oczyścić się z grzechów. Księża rozgrzeszenia nie dają, mówiąc: „Idziesz na mord, na rozbój, rozgrzeszenia niema, absolucji niema!". Rogiński widzi, jak ważny trud, całe dzieło jego, chwiać się zaczyna. Zdobywa się po chwili wahania na energję, rzuca się do kościoła, aby wymusić rozgrzeszenie u księży nakazem, krzy-

kiem, groźbą wyroków śmierci. Żąda, żeby rozgrzeszenie dano. Gdzie jesteś o ty, treuga Dei? W przybytku Bożym wojna domowa się toczy!...

Idźmy dalej. Powstanie wybuchło, lawa z wulkanu trysnęła na ziemię, jesteśmy w obozie jednego z wielkich — Langiewicza. Przyjeżdżają do niego Polacy i ofiarują pieniądze, żeby tylko rozpuścił obóz do domu, żeby dał spokój szaleńczemu dziełu. A gdy Langiewicz odpycha tę propozycję, idą do władz moskiewskich, dając znać o rozkładzie obozu, o jego sile. Gdzież jesteś, łzawa treuga Dei?

Idziemy do drugiego obozu. Oto stary wilk, stary weteran trzydziestego roku, znany w dziejach Czachowski, twardy człowiek, bezwzględny w stosunku do podwładnych, przy boku jego stale bat. Batem wymusza posłuszeństwo, trzyma ostro w ręku wojsko, zmusza do pracy, bezwzględny dla siebie, bezwzględny dla wszystkich. Oto opis rozmaitych wizyt Czachowskiego. Do skromnych białych, białych nietylko pod względem zewnętrznego wyglądu, dworków przyjeżdżając, batem walił właścicieli, nakazując rekwizycje, karząc opornych w stosunku do Rządu Narodowego. Bata z ręki nie wypuszczał. I gdzież jesteś ty, treuga Dei?

Idźmy dalej. Powstanie wybuchło w różnych miejscach, pożogi, miasteczka się palą, rannych dobijają. W Warszawie zbierają się Biali, ściągają z różnych stron do stolicy resztki dyrekcji, resztki Białych, niezatrzymanych przez powstanie na prowincji. Dzielą się na grupy. Jedni się wahają, inni wraz z Wielopolczykami idą do władz moskiewskich, prosząc, żeby jak najprę-

dzej we krwi zdusić szaleństwo, nie biorąc za nie odpowiedzialności, szukając ucieczki od brzemienia odpowiedzialności, ciążącej nad krajem.

Idziemy dalej do tych wielkich, do tych, których sam ruch na czoło odpowiedzialności wysunął. Centralny Komitet Narodowy na pierwszem posiedzeniu, ogłaszając siebie jako Rząd Narodowy, zdecydował oddać władzę w ręce dyktatora. Pomimo sporów wewnętrznych, pomimo niechęci osobistych wybrano jednego. Tym jednym był Mierosławski. Co wiemy o Mierosławskim? Ależ on — to wojna domowa! Legendy, osnute koło Mierosławskiego, mówią: Polska nie będzie wolna, zanim — nie przypominam sobie tego określenia, ale, zdaje mi się, że jest tam mowa o śmierci ostatniego księdza. Legenda jego wróży wojnę domową.

Idźmy do drugiego ówczesnego dyktatora, Langiewicza, — znajdziemy to samo, w mniej może jaskrawej formie. Pomimo, że jest on wysunięty na dyktatora w Krakowie przeciw Mierosławskiemu przez mętne, niezbyt zgodne z przeciętną etyką intrygi, w tajemnicy przed Rządem Narodowym zostawia z obawy przed tym „czerwonym djabłem", w listach, pisanych już w więzieniu, po upadku swej dyktatury, zwroty i określenia, polemizujące z Białymi. Czyni im zarzuty, szeroko używa znanych w owe czasy i namiętnie przez Białych zwalczanych haseł, słów i wywodów.

Pozwólcie panowie, abym przytoczył osobiste wspomnienia. Znałem jednego z wielkich powstańców, z którym byłem w szczerej, serdecznej przyjaźni. Był to znany Bronisław Szwarce,

członek Centralnego Komitetu, aresztowany przed samym wybuchem powstania. Gdy przychodziłem do niego z teorjami o treuga Dei, ze łzawą legendą, machnął na mnie niecierpliwie ręką i z ust jego sypały się wyrazy żółci, wyrazy pogardy, wyrazy żartu, — żartu, trawiącego serce.

Gdy badam epokę, gdy poruszam te dzieje, spotykam przedewszystkiem prowokację, prowokację polską. Margrabia Wielopolski branką wymusił wybuch powstania. Władze moskiewskie cofnęły się, nie chciały stosować drażliwego środka branki, odkładały ją na coraz inne terminy; margrabia Wielopolski tę brankę na władzy moskiewskiej wymusił. A więc — mamy prawie wojnę domową. Gdzież jesteś, treuga Dei łzawa? Gdzie ty, legendo? Gdy groby mówią — znikasz, jak złuda!

Gdy badam tę epokę i porównywam ją z innemi, to śmiało powiedzieć mogę: ludzie byli wówczas wulkanami, biło w nich to, co w nich żyło, — pogarda, niechęć, nienawiść, zbliżona prawie do wojny domowej. I gdy życie mego narodu w różnych epokach porównywam, to znam tylko dwie epoki, podobne do tej treuga Dei. Jedna, gdy palec Boży dotknął naszej ziemi i wulkany trysnęły, żeby z nas Herkulanum i Pompeję na wieki zrobić, gorącym popiołem wulkanu, jak w mogile, zasypać — tam znajdujemy tę samą nienawiść, tam znajdujemy tę samą walkę, tam toczyła się wojna domowa. A druga — to epoka, gdy wśród wulkanów świata ziemia nasza na nowo nad potoki lawy gorącej się dźwigała, gdy te Herkulanum i Pompeja, w mogile zasypane, z pod popiołów żywemi się stawały — to epoka nasza.

Legenda o treuga Dei, o pokoju narodowym, zniknąć musi przy dotknięciu prawdy historji. W owe czasy nie było jej w Polsce.

Jest druga legenda, legenda sentymentu, mgiełka łzawa, unosząca się nad grobami, pokrywająca je welonem czarnym, żałobnym. Wszystko owite jakąś łezką, łzą żyje wszystko. Z tą legendą nie warto się rozprawiać. Gdzie widzimy, żeby człowiek, co strzela, płakał, gdzie widzimy, żeby bój toczono we łzach i smutku? Obrazy realne dają inną postać — sute czamary, buty palone, wąs podkręcony, zalotne spojrzenie, taniec wesoły wkoło ogniska, jakaś sentymentalna nutka brzmi we dworze — to mazur ostatni, gdzie panna Krzysia w tańcu łezkę roni. Takiem było życie ówczesne, życie walk, życie niepokojów. Szło się na śmierć swobodnie, szło się w tany ze śmiercią równie wesoło, jak w tany z dziewczyną.

Istnieje jeszcze legenda smutna, a tak potworna...

Więc małość, więc głupstwo, więc tylko szaleństwo? I ta epoka wielka, która latami tkwi w sercu polskiem czy cieniem, czy cierniem krwawiącym, co życie kilku pokoleń wielkiego narodu trawi, jest tak potwornie mała, jest tak śmieszna, tak głupia? Ta legenda małego rozsądku wzorów epoki 1863 roku nam nie zostawia. Uśmiech pobłażliwy — i tyle. Legendę tę znamy. Jesteśmy może bardziej dziećmi tej legendy, niż innej.

Gdy palec Boży ziemi dotyka, na równinach wyrastają góry i dymią, lawa gorąca wewnątrz ziemi bulgoce. I ziemia-matka w bólu, we wstrząśnieniach rodzi ludzi, ludzi wielkości. Gdzie ich

imię? W wielkiej epoce wielkość być musi. Ziemia palcem Bożym dotknięta, lawa przez rok cały tryskała pożogą, płonęły serca ludzkie, płonęli ludzie, płonęły sioła. Wielkości, gdzież twoje imię?

Pamiętam tragedję swoją, gdym jej szukał i gdym, napotykając legendy, jedną za drugą odrzucał.

Została legenda, że to tylko było szaleństwo. Przerażenie mnie ogarnęło — wielka epoka wielkości nie ma, więc ziemia przeklętą jest przez Boga, i usta zbielałe we trwodze szepczą: może koniec? A ta legenda straszna szerzyła się, jak zaraza, jak epidemja, wśród pokolenia pogrobowców powstania 1863 roku. Szukałem, jak opętany, nie mogłem się z tem pogodzić.

Wielkości, gdzie twoje imię? Największe imię to margrabia! Chciałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i godność swego narodu. Widzę wspaniałą scenę — pałac zimowy w ogromnym Petersburgu, liczny zastęp dygnitarzy czeka na wejście cara, czekają — stojąc, pokornie i cierpliwie, — margrabia siedzi. Gdy zwrócono mu uwagę, by powstał, gdyż majestat rosyjski ma wejść w tej chwili, odpowiedział: „przed królem swoim dopiero powstanę". Nie był niewolnikiem, wielka siła, wielka duma. Padł, zduszony obręczą bagnetów z jednej i z drugiej strony, padł pod siłą pogardy, gnieciony często potwarzą nienawiści. Niema wielkości, wielkości szukać trzeba było gdzieindziej. Wielkości, gdzież twoje imię? Szukałem wszędzie. A tamci też szukali i wysuwali na czoło ludzi, jakich znaleźli. Mamy dwóch dyktatorów. W tem bezwiednem posłuszeństwie

palcu Bożemu szukano ludzi i wysunięto dwóch: jeden to dyktator Mierosławski, drugi dyktator— Langiewicz. Niewątpliwie więksi, niż inni, niewątpliwie ludzie nie mali. Zaplątali się obaj w sieci dyktatorskie dyktatury prawie operetkowej, dyktatury na przestrzeni strzału dwururki myśliwskiej, dyktatury nieżywej, martwo urodzonej, krwawej farsy, śmiesznością otaczającej te postacie. Wielkości niema. Szukałem gdzieindziej. Najstarszy wiekiem z przedstawicieli ruchu, Agaton Giller, cofnął się w ostatniej chwili. Dziennikarz, przekręcał dla potrzeb publicysty orzeczenia i słowa naczelnego wodza, Padlewskiego. Szukałem gdzieindziej: ba, są więksi! Oto silna postać, ze stali wykuta, — Jarosław Dąbrowski, siła wewnętrzna olbrzymia, przewidziany przez Czerwonych naczelny wódz, miota się za kratą, uwięziony przed wybuchem, siedzi w cytadeli, za kratą gorączka czynu go trawi, rzuca gorączkowe, silne plany, przerzuca je za kratę, dyktuje nakazy. Ręce ma skrępowane, za kratą duch żywy, ciało martwe.

Zastępca jego, Padlewski, piękna rycerska postać, pół-arystokrata, pół-konspirator i demagog. I tu wielkości niema. Szukam wśród innych, silnych, pierwszorzędnych ludzi epoki. Wielkości, gdzie twoje imię? Są inni — młody Bobrowski szybko w oczach się zjawia. Widzimy, jak ten młody człowiek w jedną godzinę dojrzewa siwizną doświadczenia, siwizną pracy. Ba, już go wypychają na czoło, już ma wielki wpływ. Ledwo się zjawia w Warszawie, już jest powołany do pracy najwyższej, i... przez szuję w pojedynku zostaje zabity.

Wyrzuca potem historja na końcu większą postać Traugutta. Gdzie on jest, gdy palec Boży ziemi polskiej dotyka? Razem z Białymi, siedząc w puszczy litewskiej, waha się, obawia się. Wielkości niema. To kpiny z nas, potomnych. Wielkości, gdzież twoje imię?

Więc legenda głupstwa, legenda szaleństwa, legenda nonsensów historycznych, tak krwawo szarpiąca wnętrzności narodu, napawająca ludzi słabością, dysząca upokorzeniem, straszliwym uśmiechem żalu i zimnego rozsądku! Wielkości, gdzie twoje imię? Gorączką trawiony, szukałem. W bojach, w dziejach wojny nie znalazłem tego. Niech groby mówią, niech dadzą kwiat żywy ze siebie, niech wielkość epoki powstania wzór nam zostawi, niech nam poda naukę.

Gdym czytał, gdym szukał, gdym badał, natrafiałem powoli na to, co ruch cały trzymało tak długo. Nie mogłem się pogodzić, by małość wielkich rzeczy dokonać mogła, by samo szaleństwo, sama śmieszność zdołała zmusić, aby wielkie państwo cara, mające na swe usługi olbrzymie tysiące żołnierza, olbrzymią technikę pracy państwowej, więzienia i baty, rok cały, całe 365 dni toczyło z wysiłkiem wojnę ze słabością i z szaleństwem. Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Wielkości, gdzie twoje imię?

Szukałem gorączkowo. Wielka epoka wielkich ludzi nie dała lub większym z tej doby niezwalczone przez nich przeszkody na drodze postawiła. Gdzie wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu

swej wartości, w instytucjach, w symbolicznych nieraz dziwolągach.

W roku 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba — nieraz wszechwładnie panował nad ludźmi. Była nim pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego.

Widywałem ją w różnych muzeach — kawałeczek bibułki z drobnem pismem, a u spodu pieczęć. To był symbol siły. Cóż robiła pieczęć, co robili ludzie, stojący za tą pieczęcią?

Dla charakterystyki pracy pieczątki i ludzi, strzegących jej powagi i znaczenia w narodzie, przytoczę przedewszystkiem parę wspomnień o stanie prac przygotowawczych przed wybuchem powstania. Jeden z wielkich, Miłkowski (Jeż), jeszcze przed wybuchem powstania, przyjechał konspiracyjnie do Warszawy i był zdumiony potęgą organizacji. Cała poczta konna, którą jechał, a która zastępowała wówczas nieistniejące prawie koleje, była w rękach organizacji. „Urzędnik naszego Rządu jedzie, konie zaprzęgać, niech inni czekają". „Nasz Rząd jedzie!" Trąbka pocztyljona gra i w lesie wpada w tony mazurka Dąbrowskiego. Cała poczta pracuje, pracuje dla swego Rządu, gdy oficjalnie istnieje inny, z którym ma się toczyć walka zbrojna. Stary mój przyjaciel, Szwarce, opowiadał mi chwilę swego aresztowania przed powstaniem. Miał przy sobie papiery rządowe, czuł, że za chwilę będzie wzięty, i cóż zrobił z papierami? Skoczył do pierwszego lepszego sklepiku, rzucił je na ladę i krzyknął: „Papiery Komitetu Centralnego, papiery Rządu!" Dziś sprzedanoby te papiery na giełdzie! Wtedy przechowano je z szacunkiem i oddano komu należało. Jak wiel-

ką musiała być już wtedy spoistość społeczeństwa, jak silną chęć dobrowolnego poddania się przymusowi moralnemu, gdy mogły przezwyciężyć przymus materjalny, nieledwie cielesny, ciążący tak silnie wtedy na wszystkich Polakach.

Spójrzmy teraz, jak wygląda praca pieczęci i jej ludzi w okresie najwyższej jej potęgi. Oto Marjan Dubiecki, co krwią nieledwie napisał pracę cenną, co skrzętnie zbierał dane, jak centrum pracuje, opisuje, jak w Warszawie, zalanej wojskiem, były dwa rządy: jeden, ten w stali zakuty, panował oficjalnie, drugi — ten, co ulegać musi, ten, co po kątach się chowa, ten niewidoczny, toczący wielką walkę, trwającą rok cały. Jakże on pracuje? Gdym przerażony, stary wyga konspiracyjny, przerzucał tę pracę, wybuchnąłem śmiechem — znów same błazeństwa! Masa pisaniny, regulacja drobnych zjawisk życiowych, uwzględnianie najdrobniejszych pytań, biura, dykasterje. Gdzie? — w zalanej wojskiem Warszawie, gdzie patrole ciągle krążyły po ulicy, gdzie człowiek bez latarki na ulicę wieczorem prawa nie ma wyjść, bo musi twarz swoją szpiegom oświetlić. W tych warunkach biura, ministerstwa, piszące olbrzymie foljały, składające pisemne raporty tajne, biura oblężone, tłumy ludzi, nieledwie ogonki, wchodzące kolejno do samej centrali władz tajnych. Śmiać mi się chciało, staremu konspiratorowi, gdy to czytałem. Poco to robili, naco ta praca, poco ta śmieszność?

A jednak śmiech mi zamarł na ustach, gdym w studjach swoich nad wspomnieniami, nad literaturą pamiętnikową raz po raz natrafiał na skutki tej dziwnej, prawie nieprawdopodobnej

pracy ludzi, stojących poza pieczęcią władz centralnych. Wracam do wspomnień Junoszy. Z „Białego", szukającego prawdy o „Czerwonych" u izraelity, przekształcił się on na komisarza Rządu Narodowego — bodaj w Łęczyckiem. Jest posiadaczem pieczątki, a raczej bibułki z pieczątką — symbolem swej władzy rządowej. Na bibułce jest wypisana jego nominacja. Posiada drugą bibułkę czystą z odciśniętą na niej pieczątką. Ma tam wpisać, według swego uznania, nazwisko i imię swego następcy, gdy już nie będzie w stanie prowadzić dalej swej pracy. W pamiętnikach, pełnych humoru i żywej a trafnej obserwacji, jaskrawo występują szczegóły pracy i mnóstwo drobiazgów, przepracowywanych starannie w centrum. Całe życie bacznie jest regulowane, często w drobnych, codziennych sprawach. Wyczuwa się to, co się robi. Czyni to widzialną i namacalną rękę rządu dla wszystkich mieszkańców kraju, pomimo tego, że Rząd Narodowy jest bezimienny, pomimo, że panuje inny rząd, rząd przemocy i najazdu, pomimo, że wojna się toczy w kraju, wojna z całą surowością swoich praw względem ludzi i ich życia. Żywo w pamięci mi stoi organizacja łączności i opieki nad formującemi się w powiecie siłami zbrojnemi Polski. W każdej stajni dworskiej stoi osiodłany dyżurny koń, obok dyżurny chłopak stajenny. Biegnie wieść ostrzegająca, alarmowa — skądś wyruszyło wojsko rosyjskie. Chłopiec dosiada źrebca i pędzi naprzełaj borami, polami do następnej wyznaczonej stacji, wieść wyprzedza ruchy konnicy nieprzyjacielskiej, dopada do wyznaczonego celu z ostrzeżeniem

Szukajmy innych obrazów. Czasy niespokojne, kraj przebiegają bandy ludzi uzbrojonych i walczących ze sobą. Jak zwykle w takich chwilach, życie dla tych, co broni nie noszą, jest ciężkie, jak zwykle, zdarzają się nadużycia. Na niektóre z nich biegną skargi do Rządu. Znam z pamiętników jeden z takich wypadków. Jeden z dowodców małego oddziału — mówiąc językiem bardziej nowoczesnym — zbandyciał. Pędzi rozkaz do dowódcy danego okręgu, Czachowskiego. Rząd nakazuje ukarać śmiercią bandytę, a Czachowski, nie znający ani jednego z członków tego Rządu, nie znający nawet ich nazwisk, sam ścigany przez nieprzyjaciela, czyni specjalną wyprawę, aby winnego odnaleźć. Dopada go i po odczytaniu wyroku każe go natychmiast wykonać.

Oto znowu dalej opisy pracy policji Rządu Narodowego w stolicy kraju, w Warszawie. Praca dwóch Janków — białego i czarnego. Gdy się przerzuca te karty, wyda się może, że się czyta bajkę z tysiąca i jednej nocy.

Czytam jakiś pamiętnik z Łęczyckiego. Opowiada jakiś oficer, instruktor, który tam oddział zbierał i ćwiczył, jakby pokój panował dokoła. Kurjer przybiega z ostrzeżeniem — wysłane jest na nich wojsko. Chowają więc broń i stają do pracy przy żniwie, by wrócić zaraz potem do pracy żołnierza, do ćwiczeń. Ileż szalonej spoistości woli u takich ludzi, ile wzajemnej pomocy! Ile szalonych wysiłków ducha trzeba było dla dokonania bodaj małej rzeczy! Co czyni ta spoistość? Cytuję z tegoż Junoszy: oficer rosyjski, zarządzający powiatem, został przeniesiony

na inne miejsce, wyjeżdża z rodziną. Chce rodzinie zapewnić bezpieczeństwo w podróży po kraju, gdzie wojna się toczy, chce legalnie w tym kraju przebywać. Czego szuka? szuka przepustki rządu innego, nakaz jego własny nie wystarcza, jest inny rząd, nasz, polski, ten go ochroni.

Biorę na świadectwo naszego nieprzyjaciela, Berga, jego *Zapiski o powstaniu.* Co tam znajdujemy? Opis jednej ze scen może służyć jako pouczenie w teraźniejszych czasach. Przyjeżdża świeżo mianowany urzędnik rosyjski do Warszawy. Staje w hotelu, puka ktoś do drzwi. Nakaz płatniczy zapłacenia podatków. Od kogo? W czyjem imieniu? W imieniu rządu polskiego. I urzędnik moskiewski płaci podatek rządowi tajnemu, rządowi pieczęci.

Idziemy dalej. Gdzieś w zapadłym Sandomierzu jest sobie taki warjat, oficer rosyjski, zakochany w koniu. Koń to jego życie. Nagle konia mu kradną, niema konia. Życie biednego człowieka zatrute, zabrakło mu przyjaciela, zabrakło mu życia. Szuka, rozsyła patrole. Rząd przemocy ofiarowuje mu swoją pomoc. Konia jak niema, tak niema. Oficer rozpacza, odchodzi od zmysłów. Mądry izraelita radzi mu: „Pan nie tam szuka, pan potrzebujesz szukać u rządu!“ — „U jakiego rządu?“ — „Nie u tego, jest inny, oni znajdą, jak się pan do nich zwróci“. I oficer zwraca się przez Żyda, płaci podatek, opłaca stempel podania i po trzech dniach koń zostaje mu zwrócony.

Policja narodowa wciska się do biur moskiewskich, śledzi więzienia, otacza opieką prace Rządu Narodowego, prace tajne. Ileż niezapomnianych klechd, ileż niezapomnianych legend wáw-

czas powstało, na które po latach trzydziestu stale się natykałem w mej pracy wśród robotników warszawskich. Żyły one życiem kwiatów, swym cudnym zapachem budząc zachwyt nad tą wielką pracą ludzi, pracą ogromnej ilości wysiłków, ogromną ilością woli, by rząd swój własny zrobić silnym.

Przenieśmy się na chwilę tam, gdzie powstanie najdłużej trwało. Jeszcze w 1864 roku dowodził ksiądz Brzózka ludem podlaskim. Ze wszystkich dzielnic polskich powstanie było tam najsilniejsze. Na czele organizacji rządu stanął tam niejaki Rawicz, były Biały. Zorganizował on szybko pracę rządu, wciągnął do organizacji wszystko, co tylko żyło. Zginął na szubienicy.

Niech mi wolno będzie z tych wspomnień wybrać może najoryginalniejsze, wydające się czemś nieprawdopodobnem, a świadczące o tej ogromnej potędze sugestji, którą posiadała silna władza Rządu Narodowego. Dotyczą one licznego udziału Żydów w powstaniu. Organizacja wówczas wszędzie była oparta na pewnym schemacie. W miasteczku każdem był burmistrz chrześcijanin i pomocnik burmistrza Żyd. I pamiętam ze wspomnień jednego młodego Żydka, któremu najniebezpieczniejsze ekspedycje poruczano, który przewoził wszystkie tajne rzeczy, który masowo broni dostarczał i który, jako o jedyną łaskę, prosił, by mu jakieś najmniejsze odznaczenie dano od rządu polskiego. W swojem życiu napotkałem tradycję tej pracy. Podczas wojny japońskiej, w pracy konspiracyjnej, zabłądziłem do Siedlec. Polecono mi, jako adres, pewną fabrykę, która właściwie była zwyczajnym war-

sztatem farbiarskim, i gospodarz, poczciwy grubasek, miał mię przyjąć. Zjawiłem się u niego również jako wysłannik takiej pieczęci, jako człowiek bez nazwiska, o którym wiedział jednak, że jest czemś więcej, wysłannikiem jakiejś władzy. Przyjął więc mnie z należną czcią. Po dłuższej rozmowie, gdy już załatwiłem u niego wszystkie sprawy, uległ ku mnie jakiejś nadzwyczajnej sympatji i przed odjazdem zwrócił się do mnie: „Nie możemy się tak rozstać, niech ja na pożegnanie podzielę się z panem największą pamiątką". I z pod pułapu swojej fabryczki wyciągnął zawinięte w mnóstwo papierków dwie małe bibułki. Widniały na nich pieczęcie Rządu Narodowego. Pytam się, skąd to pochodzi. Opisuje mi historję. — Przeszły te bibułki przez piekło katorgi syberyjskiej i wróciły potem do Polski. Taki to właśnie pomocnik burmistrza — Żyd, wróciwszy z katorgi, w nowem życiu nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, bo od jednego brzegu odpłynął, a do drugiego nie przypłynął, w kurczach i bólach konając, tę świętość, zachowaną z katorgi, ojcu tego rzemieślnika oddał. — Teraz ten spadkobierca tradycji pracy Rawicza dzieli się ze mną tą świętością, jak opłatkiem; sobie zostawił jedną kartkę, a mnie drugą na życie późniejsze oddał.

Pieczątka nakazywała nieraz ciężkie, nieznośne obowiązki dla tłumów. Znam te smutne prawa wojny, znam je z opowiadań ludzi, którzy przez te najcięższe obowiązki przechodzili. W mieście ogłoszono stracenie powstańca. Warczą bębny ciemięzcy, żołnierze stoją rotami, prowadzą skazańca. Nakaz rządu brzmi: „Wy tam być musicie,

śmiałemi oczami patrzcie w oczy skazańcowi, niech umiera wśród swoich". Cisza zalegała ulicę, gdy warczały bębny. Patrzano w oczy śmierci, mówiono skazańcowi: idziesz na śmierć, ale my jesteśmy z tobą.

To cud siły, cud Rządu Narodowego, cud jakiejś wielkości. Gdym karty historji Rządu Narodowego przerzucał, pytałem siebie, gdzie przy tej cudownej treuga Dei był spór, gdzie podziały się te namiętności, które przy wybuchu powstania tak żywo grały? Czy Czerwoni i Biali, jedni i drudzy, przebrali się w kolor różowy i różaną wodą zlewali siebie ku uspokojeniu własnemu? Nie! Ludzie zostali ludźmi, a z nimi namiętności i ich siła. Umieli się przezwyciężyć, a przy tem zwycięstwie nawet ludzie mali stanęli do pracy, jako ludzie, godni swojej epoki.

Wielkości, gdzie twoje imię?

Rok 1863 dał wielkość nieznaną, wielkość, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość, zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej wysiłków woli, siły moralnej, — nie treuga Dei szui zbiorowej, nie treuga Dei tchórzów, lecz treuga Dei ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął, rosną w olbrzymy olbrzymiej pracy moralnej.

Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu, szkielety —
Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.

I gdy raz jeszcze rzucam pytanie: wielkości, gdzie twoje imię? — znajduję odpowiedź: wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 roku istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który, nieznany z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów.

Gdy palec Boży znów dotknął naszej ziemi, gdy nad nią znów lała się lawa ognista, gdy ziemia nasza dudniła pod miljonem armat, gdy płonęła od ognia, gdy uderzały oczy lśniące w słońcu bagnety, gdy skrzyło się niebo od pocisków, gdy roty za rotami, gdy pułki za pułkami mięszały się ze sobą, by lepką swą krwią zlać ziemię naszą, byłem między niemi. Pomiętam chwilę jedną, która, jako symbol, rzucała mi raz jeszcze cienie przeszłości. W samym początku wojny szedłem drogą, gdzie stoi książęca rezydencja wielkiego margrabiego. Wielkie zamczysko opustoszałe, prawie zrujnowane, ogromny dziedziniec zarasta chwastem. Gdzie sala zamczyska — obozowisko. Byłem tam i patrzyłem — cienie przeszłości wracają. Gdym oczy na chwilę zamknął, wielka postać margrabiego stanęła przede mną. Opasłe cielsko, oparte na kiju, ze wzgardliwym twarzy wyrazem. I znów głos jego ozwał się: „Znowu to samo — lecz i ty, i ci twoi, jacyście mali, mała wasza nikczemność, małe bohaterstwo!“

Polska trudy ciężkie przeżywa, nieraz Polak miota się w trwodze

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali,

I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali —
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Boga pokaże i przed Nim powali

— wtedy wiedzcie: z mogił, z grobów 1863 roku żywy cień powstaje, cień wielkości epoki, cień Rządu Narodowego i wtedy mogiły zawołają głosem straszliwym: — „Idź i czyń!"

XIX

NACZELNI WODZOWIE

(luty 1924)

Autor leżącego przed czytelnikami dziełka *Naczelni Wodzowie* przed napisaniem utworu zwrócił się do mnie z prośbą o radę i wskazówki. Przypuszczał bowiem, że mogę je dać, jako jedyny w Polsce fachowiec w omawianej przez niego sprawie, gdyż w jedynej wojnie, którą nowa Polska prowadziła, byłem Naczelnym Wodzem jej armji. Ograniczyłem się do jednej rady — poruszać jak najmniej doświadczenia polskie, natomiast brać wszystkie argumenty z historji wojen, prowadzonych przez inne narody. Przeświadczony bowiem byłem, że omawiając sprawę, tak ważną dla nas, jak obronę świeżo otrzymanej i świeżo obronionej niepodległości, więcej chodzi o to, by argumenty były przyjęte, niż o co innego. Niechybnie zaś wszystko to, co jest obce, wzbudza wśród Polaków wrażenie wielkości, a to, co swoje, wzbudza wątpliwości o prawdzie faktów historycznych, widzianych nawet na własne oczy.

Sam postąpię też według tej rady, gdy proszony przez wydawców, rozwinę temat, rozpatrzony w cennej pracy mego przyjaciela, i postaram się zanalizować te strony życia wojny i pracy naczelnych wodzów, które zaledwie są dotknięte przez autora.

Historja wojen, tak, jak i wogóle historja, ma swe wstydliwe, że tak powiem, zakątki. Nieledwie każdy historyk niechętnie zagląda do nich, nie-

chętnie analizuje ich znaczenie, jakgdyby obawiając się zaćmić niemi wielkie słońce prawdy historycznej. Takim właśnie zakątkiem w historji wojen jest analiza personalnych stosunków głównych aktorów tej czy innej pracy historycznej, tych czy innych wojen, które dotąd stały prawie zawsze na progu przełomów życia ludzkości. Tak zwani poważni historycy zbyt często pozostawiają te personalne stosunki, jakby je lekceważąc, historycznej anegdocie, w najlepszym wypadku usuwają je do zakresu prac monograficznych i biograficznych. Tymczasem przy bacznej i dostatecznie głęboko posuniętej analizie wypadków znajdziemy zawsze czynnik o niepośledniej wadze, czynnik stosunków personalnych, wywierający swój wpływ często nawet decydujący. Nie chcę czynnika tego przeceniać, lecz wstydliwie narzucać nań zasłonę znaczyłoby, zdaniem mojem, w najżywszem tworzywie pracy ludzkiej — w wojnie — przestać widzieć żywych ludzi, a spostrzegać tylko manekiny i działanie różnych maszyn wojennych.

Przy studjach swoich nad historją wojen natrafiałem bardzo często na wybitny nieraz wpływ personalnych stosunków pomiędzy dowódcami na przebieg największych nawet w świecie bitew i na całą pracę wojny. Z licznych przykładów, które żywo stoją mi w pamięci, wybieram niektóre.

W epokowej, podwójnej bitwie pod Jeną i Auerstaedt, bitwie, która złamała potęgę pruską, marszałek Davoût, niespodzianie dla siebie, stanął w gorącym boju z głównemi siłami pruskiemi, wśród których obecnym był sam król pruski. Borykając się w ciężkiej walce z przemożnym wro-

giem, niepewny swego losu, błagał o pomoc swego najbliższego sąsiada, manewrującego jeszcze bez boju, marszałka Bernadotte'a. Marszałek Bernadotte pomocy odmówił i, zasłaniając się rozkazami cesarza, usuwał się od Auerstaedt, idąc w kierunku Weimaru, tak, że korpus jego w tym decydującym dniu nie brał udziału w żadnej z tych dwu bitew. Wszyscy pamiętnikarze, wszyscy historycy przypisują to jedynie wrogim stosunkom personalnym, jakie pomiędzy obu marszałkami istniały. A w tym czasie, gdy Bernadotte złośliwie pozostawił swego kolegę w trudnej sytuacji, losy korpusu Davoût, jak i losy głównych sił pruskich, ważyły się i chwiały przez dzień prawie cały, nim wreszcie energja i talent marszałka i nadzwyczajne wysiłki jego żołnierzy nie przechyliły szali zwycięstwa na jego stronę.

Dzieje epoki napoleońskiej dają mnóstwo podobnych przykładów. Cała długa kampanja hiszpańska, a z nią razem i rosnąca sława Wellingtona, późniejszego zwycięzcy Napoleona pod Waterloo, była nieustanną ilustracją wpływu zadrażnień personalnych na przebieg wypadków. Marszałkowie i generałowie francuscy nie chcieli uznawać nad sobą żadnego autorytetu, oprócz autorytetu cesarza. Tracono czas na nieustanne kłótnie i waśnie, podstawiano sobie nogę przy operacjach wojennych, unikano posłuszeństwa i dyscypliny, jak jakiej ubliżającej, brudnej choroby. Praca wojenna rwała się, jak nadgniła nitka, nieprzyjaciel raz po raz wykorzystywał sytuację, a autorytet francuski, oparty na błyskawicznych, oszałamiających zwycięstwach Napoleona, padał szybko w Hiszpanji, podtrzymując

tem powstanie i zamieszki wśród ludności. Wpływ zaś historyczny przeciągłej i zgniłej wojny hiszpańskiej, więżącej wielką ilość sił Napoleona, dawał się odczuwać zarówno w kryzysie, jak i w upadku potęgi wielkiego cesarza Francuzów.

Ileż tarć personalnych, ile trudnych sytuacyj przeżył sam Napoleon w swojej dziwnej, zawrotnej karjerze wojennej! Dość wspomnieć początkowe jego kroki w pierwszej klasycznej kampanji włoskiej, gdy generałowie, dowodzący na tym froncie przed jego przyjazdem, zmawiali się pomiędzy sobą, jak wykazać niechęć do jakiegoś smarkacza, przysłanego na ich utrapienie z Paryża na naczelnego wodza. Genjusz i olbrzymia wola przezwyciężyły wszystko, lecz ile drobnych ukłuć i upokorzeń szarpać musiało nerwy lwa, ile chytrości i wybiegów zastosować musiał lew, by utorować sobie drogę wśród lisów i zajęcy. Czy nie stamtąd pochodzi, napół upokarzający genjusz, a napół tchnięty wzgardą, aforyzm Napoleona, że wielki wódz musi być komedjantem.

A historyczny spór i waśnie Bonapartego, już pierwszego konsula, z generałem Moreau, gdy zwycięzca pod Hohenlinden nie mógł się zdobyć na poddanie się genjuszowi Marengo. Gdy się zaczyna myśleć o tej niekiedy zabawnej i śmiesznej, niekiedy tragicznej pracy ludzi podczas wojny, gdy się przerzuca karty historji i najżywsze dokumenty życia — listy prywatne i pamiętniki, gdy się analizuje i porządkuje fakty i zdarzenia według ich wagi i siły historycznej, nie można się czasem oprzeć paradoksalnym nieraz wywodom, wynikającym z analizy stosunków personalnych na wojnie.

Więc przypuśćmy, naprzykład, — a przypuścić to bardzo łatwo, — że marszałek Davoût i marszałek Bernadotte, zamiast być wrogami osobistymi, byli serdecznymi przyjaciółmi i w dziejowej godzinie Auerstaedt'u Bernadotte, zamiast unikać boju i zato potem wpaść w niełaskę i być prawie wyrzuconym z wojska, pobiegł na pomoc słabnącemu w nierównej walce przyjacielowi. Niema wątpliwości, że to przybycie świeżego korpusu musiałoby prawie natychmiast zdecydować o losach boju i oddać w ręce marszałków nietylko zwycięstwo, które i tak przez samego Davoût było odniesione, lecz prawdopodobnie i główną kwaterę pruską wraz z królem. Najprawdopodobniejszym tego wynikiem wtedy byłoby szybkie zawarcie pokoju i... nie byłoby ani Tylży, ani Księstwa Warszawskiego.

W gorącem, wulkanicznem życiu rewolucyjnej Francji i w bujnej epoce wojen napoleońskich musiały rosnąć i rozwijać się silne charaktery wraz z silnemi uczuciami nienawiści czy przyjaźni. Anormalne stosunki z ich ogromną łatwością szybkiego wywyższania się nad innych lub tracenia równie szybkiego nietylko karjery życiowej, lecz i samego życia, wytwarzać musiały silne, niepohamowane ambicje wraz z nieokiełzaną zawiścią w stosunku do szczęśliwych wybrańców losu. Dlatego nie chcę się zatrzymać jedynie na przykładach właśnie z tej epoki. Dla udowodnienia wielkiej wagi stosunków personalnych pomiędzy ludźmi podczas wojny przytoczę jeszcze przykład z armij monarchistycznych, mających zwykle bardziej utrwalone i uregulowane posuwania się naprzód w karjerze militarnej.

Rozmyślnie wybieram epizod z wojny francusko-niemieckiej 1870 roku, w którym może najjaskrawiej, jakgdyby dla nauki, skupione zostały po obu stronach walczących wszystkie zadraśnienia i niechęci personalne, wszystkie złości i znaczne uchybienia dyscyplinie wojskowej. Epizodem tym jest dziwaczna bitwa pod Spicheren, otwierająca kampanję 1870 roku, bitwa, pełna dziwacznych nieporozumień, pełna błędów najbardziej rażących. Szala zwycięstwa, przy analizie objektywnej, chwieje się dzień cały 6 sierpnia 1870 roku tak gwałtownie i śmiesznie, jakgdyby co godzinę zwycięzcy groziła klęska, a zwyciężonemu świeciła już gwiazda triumfu w następnej chwili.

Bitwa została stoczona na skutek wyraźnego nieposłuszeństwa dowódcy 1-ej armji niemieckiej, generała von Steinmetza. Nieposłuszeństwo zaś nie było wywołane przez jakieś zniewalające do nieposłuszeństwa działanie nieprzyjacielskie, gdyż Francuzi nie ruszali się wcale. Von Steinmetz, lew Nachodu, okryty chwałą bitwy pod Nachodem w roku 1866, nie znosił wywyższonego nagle Moltkego, czuł dokoła siebie, we własnym sztabie, splot intryg, czynionych z ramienia Moltkego, i nie chciał ustąpić pierwszeństwa zasługi pobicia nieprzyjaciela wybranemu, jak mu się zdawało, do odegrania roli zwycięzcy, dowódcy sąsiedniej 2-ej armji, księciu Fryderykowi Karolowi

Oto stosunki, jakie panują na początku wojny w armji 1-ej i 2-ej. Pułkownik Wartensleben ze sztabu generała Steinmetza pisze tak o tym okresie czasu: „Prowadzimy tutaj (w sztabie 1-ej armji) dwie wojny — jedną przeciw Francuzom, drugą

przeciw Steinmetzowi". W sztabie 2-ej armji mówią głośno: „my boimy się mniej Francuzów, niż Steinmetza". Odwrotnie, sam Steinmetz pisze: „Fryderyk Karol i ja jesteśmy, jak dwa krzemienie, tarcie daje wciąż iskry". Na skutek takich stosunków niedługo trzeba było czekać.

Francuzi na samym początku wojny zajęli pograniczne miasto Saarbrücken. Ostrożna koncentracja Moltkego opóźnia znacznie nadejście nad rzekę Saarę 2-ej armji, gdy 1-sza, generała Steinmetza, w dwóch trzecich swej siły jest już zebrana niedaleko od rzeki. Depesza Moltkego nakazuje Steinmetzowi czekać nadejścia 2-ej armji i przy podziale dróg droga do Saarbrücken wraz z tem miastem jest wyznaczona wyraźnie armji 2-ej. Ba, awangarda tej armji, korpus III, idąc po tej drodze, zjawia się w przeddzień bitwy spichereńskiej pod samym, że tak powiem, nosem Steinmetza.

Rozkazy Moltkego są wyraźne. 5 sierpnia o godzinie 6 rano wysyła depeszę do Steinmetza: „Tylko wtedy, gdy 2-ga armja zbliży się do Saary, będzie czas dla 1-ej armji przechodzić rzekę. Ofenzywa cząstkowa i odosobniona prawdopodobnie prowadzić musi do klęski". Tegoż dnia w południe pędzi do wściekłego Steinmetza depesza druga. Nakazuje ona oswobodzić zupełnie drogę na Saarbrücken dla ruchu 2-ej armji, wskazuje, jako cel, obejście lewego skrzydła francuskiego, gdy 2-ga armja zaatakuje ją z frontu, przewiduje możliwość tej operacji dopiero od 9 sierpnia i wreszcie dodaje wyraźnie: „Jego Królewska Mość rezerwuje sobie stanowczo wydanie rozkazów dla wykonania tej operacji".

Generał Steinmetz widzi w tych rozkazach poprostu osobistą obrazę. Więc nieprzyjaciela, który jest tu przed nim, ma pobić Fryderyk Karol, *protégé* znienawidzonego Moltkego? Nie, Steinmetz do tego nie dopuści, niedarmo zwą go lwem Nachodu. Chytrze wydaje rozkaz zabiec drogę saarbrückeńską 2-ej armji i nieokreślonem sformułowaniem tego rozkazu podsuwa swym podwładnym myśl przejścia rzeki następnego dnia. Dowódcy korpusów wlot pojmują myśl swego przełożonego i 14-ta dywizja pod różnemi pozorami, na oczach zdumionej kawalerji 2-ej armji, maszeruje po drodze, przeznaczonej dla 2-ej armji, przekracza rzekę Saarę, spędza awangardę francuską i zawiązuje, niespodzianie dla wszystkich, ciężki, nieprzygotowany zupełnie bój pod Spicheren.

Skutki tych kroków Steinmetza i jego podwładnych są zupełnie niezwykłe dla tak zwartej organizacji, jak armja pruska, i zupełnie sprzeczne z tradycjami i z duchem twardej dyscypliny wojsk dynastji Hohenzollernów. Bataljony, baterje, całe brygady nadciągają do boju w jakimś chaosie, w bezładzie, niekierowane zgóry żadną ręką, prowadzone jedynie pięknem, rycerskiem uczuciem dania pomocy kolegom, będącym w opresji. Z wielkim trudem, jakgdyby przypadkowo, ustala się kierownictwo bitwą. Dochodzi do tego, że zebrani pod wieczór na jakimś pagórku trzej dowódcy korpusu naradzają się pomiędzy sobą, kto właśnie z pomiędzy nich ma objąć dowodzenie, czy ten, kto rangą jest najstarszy, czy ten, kto zdążył wprowadzić do boju największą liczbę podkomendnych mu wojsk. Bitw

rozpryskuje się na poszczególne epizody, rwie się i plącze prawie bez systemu, dając raz po raz przewagę nieprzyjacielowi i wytwarzając ustawicznie objektywne warunki dla zupełnego zwycięstwa francuskiego.

Lecz i po stronie francuskiej znajdziemy również wpływy zadraśnień personalnych. Bitwą, coprawda, dowodzi jedna ręka, jest nią generał Frossard, dowódca II korpusu, i jego podwładni, trzej dywizjonerowie, nie wykazują ani chwili wahania, gdy spełniają jego rozkazy. Lecz niedaleko od niego stoją dwie dywizje z obcego korpusu, a nieco dalej, w St. Arold, marszałek Bazaine, świeżo wyznaczony dowódca i generała Frossard. Przy śledzeniu różnych perypetyj bitwy prawie nieodzownie nasuwa się przypuszczenie, że zjawienie się na placu boju dwóch sąsiednich dywizyj, nie mówiąc o trzeciej z St. Arold, rozstrzygnęłoby najzupełniej dzień 6 sierpnia na korzyść Francuzów. Lecz nikt się nie rusza. Dopiero wieczorem, prawie przed samą decyzją generała Frossard wycofania się z boju, na rozpaczliwą depeszę słabnącego generała Frossard, jego wódz, marszałek Bazaine, posyła mu jedną dywizję generała Métman i brygadę jazdy na pomoc. Niechybnie w tej dziwnej pasywności kolegów i przełożonego generała Frossarda największą rolę odegrały teorje i teoryjki o wartości defenzywy i silnych pozycyj, panujące w owych czasach w armji francuskiej. Nie bez znaczenia jednak był fakt, że generał Frossard był powołany na dwór cesarski, by wychować następcę tronu Napoleona III. Wzbudził tem dużą zawiść wśród kolegów, którzy mu darować nie mogli tego wy-

wyższenia. Świadczą o tem pogardliwe słowa marszałka Bazaine'a, wyrzeczone podczas bitwy spichereńskiej: *le maître d'école est dans le pétrin; qu'il se debrouille.* I drugie wyrażenie z tegoż samego dnia: „Trzy lata generał Frossard studjuje pozycje w Forbucku i uważa za wspaniałe dla dania bitwy. A więc ma on nareszcie tę swoją bitwę".

Nieraz, gdy jeszcze nie znałem realnego życia wojennego, zastanawiałem się nad tą dziwaczną bitwą i nad możliwemi konsekwencjami jej na dalszy przebieg wojny. Bezład strategiczny i chaos bitewny pod Spicheren ze strony niemieckiej był rzucający się w oczy. Zawsze zdawało mi się, że wystarczyłoby trochę choćby energji, wykazanej ze strony francuskiej armji, a walne zwycięstwo byłoby po stronie Francji. Przypominałem sobie kwaśną, niechętną ocenę tej bitwy przez Moltkego, który, wyrażając swój ujemny sąd o pracy Steinmetza, tego dnia jednak stwierdził wielkie moralne znaczenie taktycznego zwycięstwa na początku wojny. Zawsze przypuszczałem, że wszystkie objektywne warunki składały się na to, aby ta wielka moralna korzyść była po stronie francuskiej. Teraz zaś, po przebyciu tylu doświadczeń wojennych, śmiałe przypuszczenie moje z czasów studjów nad bitwą rozszerzyłbym znacznie. Dość przypuścić — co nie jest wcale trudnem — że albo ponury Bazaine był przyjacielem Frossarda albo że na czele korpusu, walczącego pod Spicheren, stał nie *maître d'école* następcy tronu, lecz zwyczajny generał, to energja Bazaine'a byłaby pobudzoną, chociażby dla zyskania dla siebie sławy pierwszego zwycię-

stwa. A wtedy dwie trzecie 1-ej armji Steinmetza wraz z dodatkami 2-ej armji, rzucone silniejszem pchnięciem wstecz, musiałyby z konieczności zawalić wszystkie drogi, wyznaczone dla pochodu 2-ej armji i powstrzymać rozwinięcie strategiczne Moltkego, dając na pewno czas, dostateczny dla zakończenia spóźnionej mobilizacji francuskiej. Możeby wtedy i wojna 1870 roku wyglądała inaczej, możeby energja, rozbudzona u Francuzów zwycięstwem, nie dała Sedanu, nie dałaby oblężenia i kapitulacji Paryża. A zatem może i skutki Sedanu i kapitulacji Paryża dla całego świata nie byłyby tak smutne i tak trudne do odrobienia.

W historji wojen znaleźćby można było mnóstwo przykładów tego rodzaju, mnóstwo wstydliwych zakątków historji. Tych zakątków, w których, że użyję słów Steinmetza, „widocznemi są skry, wywołane przez tarcie różnego rodzaju krzemieni". Wpływ tych tarć na przebieg wojny jest niechybny i nie brać ich pod uwagę, nie starać się zawczasu, przed wybuchem wojny, ich usunąć lub co najmniej zneutralizować, byłoby wielkim błędem. Dla każdego zaś naczelnego wodza sprawy personalne są dodatkowym ciężarem, cisnącym i szarpiącym jego nerwy, a zabierającym znacznie więcej czasu i pracy, niż sobie to ludzie wyobrażają.

Nie chcę zakończyć historycznych przykładów, nie dotknąwszy naszej rodzimej gleby.

Zawsze w pamięci mi stoi główna kwatera wojska 1831 roku z generałem Skrzyneckim na czele. Naczelny wódz ma tępą głowę, nie ma w sobie ani krzty tego, co nad niziny taktyczne wodza

wynosi, co wielki Napoleon nazywa *l'art supérieur de la guerre.* Obok niego sztab. Z jednej strony zgryźliwy, żółciowy, niechętny dla wszystkich szef sztabu, Chrzanowski. Z drugiej — lotny, impulsywny, szybki w orjentacji, namiętny w sporze, kwatermistrz Prądzyński. Jakżeż wygląda współpraca? Dwa krzemienie, skry dające, to Chrzanowski i Prądzyński. Tylko zapomocą tych skier rozświetla się tępa głowa Skrzyneckiego, który wygląda wtedy, jak wesz, żywiąca się sporem wyższych od siebie talentów. Tępa głowa, leniwie myśląca o pracy, zajęta myślami o dobrym kucharzu i o reklamie zapomocą parad i dobrych obiadów.

Mniej wstydliwym zakątkiem w historji wojen są personalne stosunki naczelnych wodzów z rządem i ludźmi, ten rząd składającymi. Wszędzie ludzie są ludźmi i wszędzie tarcia krzemieni skry dawać mogą i muszą. Historja mniej wstydzi się tych skier może dlatego, że łatwiej jest, stosownie do humoru, zwalać winę to na jedną, to na drugą stronę. Współżycie jednak naczelnego wodza z rządem i jego ludźmi jest konieczne. Wpływa ono niechybnie zarówno na przebieg wojny, jak i na codzienny stan nerwów naczelnego wodza. Dla ilustracji tej dziedziny wybrałem ładny przykład stosunku marszałka Frencha, dowodzącego armją angielską w początkach tak zwanej wojny światowej, do ministra spraw wojskowych w gabinecie angielskim, lorda Kitchenera. Dwóch tych ludzi wiązała historja z poprzedniej wojny południowo-afrykańskiej. Kitchener był podczas niej przełożonym Frencha, przez pewien czas nawet naczelnym wodzem. Co więcej — gdy marszałkowi

Frenchowi powiedziano, że jest przewidziany na naczelnego wodza armji na wypadek udziału w wojnie francusko-niemieckiej, robił bezskuteczne starania i w rządzie, i u samego lorda Kitchenera, by ten właśnie objął dowództwo, obiecując mu lojalną współpracę w roli podwładnego mu szefa sztabu.

Cytuję odrazu bez pewności, czy dosłownie przetłumaczyć mogę angielski tekst, który mam przed sobą, określenie marszałka Frencha o stosunku jego do lorda Kitchenera. „Jako żołnierza i dowódcę w polu, zawsze go lubiłem i szanowałem. W stosunku do jego właściwości, jako męża stanu i ministra, moje uczucia i wyczucia *(feelings)* nigdy nie były te same. Zgodzę się przypuścić, że różnice zdań pomiędzy nami — a te były duże i daleko sięgające — mogły być do pewnego stopnia moim własnym błędem, lecz gdyby tak i było, nasze wzajemne stosunki aż do czasu jego tragicznej śmierci były zawsze zaćmione przez pewne wzajemne niezaufanie". Daję umyślnie tę długą cytatę, charakteryzującą tak pięknie zarówno dżentelmeństwo w najwyższym stylu, jak i delikatność serca marszałka Frencha, gdy mówi o tarciach między nim a lordem Kitchenerem, które z wielkim wydatkiem nerwów i sił swoich prawdopodobnie przeżywał.

Nieporozumienia pomiędzy dowodzącym armją angielską w polu i sekretarzem stanu dla wojny (ministrem) w rządzie Jego Królewskiej Mości zaczęły się prawie natychmiast po rozpoczęciu działań wojennych. Najsilniej jednak przejawiły się w krytycznym momencie upadku Antwerpji i, jak wiadomo, w dużym stopniu zagroziły bezpośrednim interesom Anglji podczas wojny. W tarciach tych stroną agresywną i aktywną był lord Kitche-

ner. Po zwycięstwie nad Marną, w bojach nad rzeką Aisne siły angielskie związane były we wspólnej pracy z całą armją francuską, stanowiąc już od paru tygodni część nierozłączną całego rozkładu wojsk francusko-angielskich. Gdy obrona Antwerpji przez armję belgijską słabnąć zaczęła i widocznemi były pierwsze oznaki zbliżającej się katastrofy dla fortecy, marszałek French, zgodnie z instrukcjami swego rządu, rozpoczął natychmiast starania o przeniesienie sił angielskich na północ, by być bliżej wypadków i móc szybciej podać pomocną rękę armji belgijskiej. Pertraktacje w sprawie manewru prowadzone były przez marszałka Frencha z dowodzącym armją francuską obecnym marszałkiem Joffrem. Pertraktacje trwały zbyt długo dla lorda Kitchenera, zatrwożonego i niespokojnego o los Antwerpji i wybrzeża morskiego. Zaczyna więc nacisk ze swojej strony nietylko na marszałka Frencha, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, lecz czyni zabiegi poza plecami naczelnego wodza we wszystkich możliwych kierunkach. Raz po raz marszałek French dowiaduje się, że tak powiem, ze strony o różnych faktach, już dokonanych, o różnych żądaniach Kitchenera, sprzecznych ze stanem pertraktacyj, prowadzonych z generałem Joffrem. Stawia to ciągle marszałka Frencha w fałszywej sytuacji, zmniejszając niechybnie jego autorytet, jako naczelnego wodza sił angielskich, i doprowadza przy samym upadku Antwerpji do wielkiego zamieszania w stosunkach dowodzenia.

Na pomoc dla Antwerpji wysyłano właśnie 7-mą dywizję angielską, dywizję kawalerji i część marynarki pod dowództwem generała Rawlinsona. W chwili upadania Antwerpji generał Rawlinson już nie wiedział, od kogo właściwie zależy. Była

nawet mowa o możliwości powrotu wojsk do Anglji i biedny generał Rawlinson szukał swego przełożonego z zapytaniem, co ma robić.

O tej *confusion of ideas* świadczy depesza marszałka Frencha do generała Rawlinsona. Brzmi ona: „Pańska depesza Nr. 19 do lorda Kitchenera i powtórzona do mnie, otrzymana. Ja istotnie nie rozumiem, czy pan uważa siebie za będącego pod mojemi rozkazami, czy nie. Ale jeżeli pan sądzi, że tak, proszę być tak grzecznym natychmiast mi wytłumaczyć jasno swoją sytuację, gdyż ja nie mam żadnej wiadomości o jakiejkolwiek konieczności dla pana powrotu do Anglji *(reembarkation)* albo o pańskiej intencji uczynienia tego. Haazebrouck będzie zajęty przez III korpus jutro rano. Proszę w jakikolwiek sposób odpowiedzieć mi natychmiast, gdyż moje własne i generała Joffra plany zależą bardzo od tego i mogą być skompromitowane przez całe to nieporozumienie".

Nie chcę wdawać się w dokładniejszą analizę wypadków wojennych z okresu pierwszych dni października 1914 roku, wypadków, związanych z upadkiem Antwerpji, chociażby dlatego, że nigdy tej części operacyj wojennych nie studjowałem. Przytoczę więc tylko zdanie samego marszałka Frencha, że przy innem użyciu wojsk Rawlinsona, bardziej zgodnem z planami naczelnego wodza angielskiego i z zamiarami marszałka Joffra, można byłoby osiągnąć co najmniej skuteczną obronę Lille, a nawet Ostendy i Seebrugge. Dałoby to Anglji, jak słusznie twierdzi marszałek French, uniknięcie jej stałych trwóg *(infinite trouble)*.

Niechybnie jednak każdy, oswojony choć cokolwiek z operacjami wojennemi, przyzna, że sytuacja oddziału, reprezentującego w owe czasy siód-

mą część sił angielskich, nie należała do normalnych i była krytyczną. Dowódca tego oddziału musiał rozpaczliwie szukać specjalnemi depeszami przełożonego, któryby mu pomógł i rozkazem rozwiał mu jego poważne, prawie rozpaczliwe wątpliwości. Stało się zaś to jedynie z powodu nieopatrznego, powiedziałbym złośliwego, wtargnięcia członka lub członków rządu do funkcyj naczelnego wodza.

Słusznie też marszałek French, poświęciwszy cały rozdział swoich pamiętników temu momentowi, dodaje, że zatrzymał się nad tym faktem dla przestrogi swojej ojczyzny, gdyby w przyszłości miała być ona zaangażowana znowu w jakiekolwiek działania wojenne. „Klęska sedańska — mówi on — była wywołana w części przez spory *(interference)* pomiędzy Paryżem a armją w polu, a amerykańska wojna cywilna bardziej, niż prawdopodobnie, została znacznie przedłużona przez kilkakrotne wtrącenie się ze strony sekretarza stanu do spraw dowódców w polu".

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia innego faktu z dziedziny stosunków marszałka Frencha z lordem Kitchenerem, faktu nadzwyczaj charakterystycznego, chociaż dla powierzchownego sądu nieznacznego. Nie mogę nie powiedzieć, że jest mi przykro przytaczać świeży historycznie fakt, tyczący się jednego z lepszych żołnierzy świata, jakim był niewątpliwie lord Kitchener. Na usprawiedliwienie mam ten sam argument, który zawarty jest w wyżej przytoczonej cytacie z pamiętników marszałka Frencha.

Wskutek wielkiej różnicy zdań przed bitwą nad Marną przybył do Paryża 1 września lord Kitchener, uważany przez marszałka Frencha, jak on sam

pisze, za reprezentanta rządu Jego Królewskiej Mości. Lord przybył w uniformie feldmarszałka, na samym początku rozmowy wziął ton naczelnego wodza i zapowiedział pobyt swój w polu dla inspekcji stanu armji. Z wielką energją wystąpił przeciwko temu zamiarowi ambasador angielski, który natychmiast sformułował depeszę do Londynu, protestującą przeciwko temu zamiarowi. Pomiędzy obu generałami nastąpiła żywa wymiana myśli, po której lord Kitchener zrzekł się swego zamiaru obniżania autorytetu istotnego naczelnego wodza sił angielskich, marszałka Frencha, i brał udział w dalszych konferencjach z rządem francuskim już w cywilnem ubraniu, w istotnej swojej roli członka gabinetu w Londynie. Łatwo sobie wyobrazić można, ile przykrych chwil, ile starganych nerwów zawdzięczał marszałek French tym personalnym zadrażnieniom z lordem Kitchenerem.

Jeżeli zatrzymałem się tak długo na wypadku z dziejów angielskich, to uczyniłem to jedynie dlatego, że możliwość takich tarć właśnie w Anglji wydawała mi się zawsze najmniej prawdopodobną. Istotnie Anglja w odróżnieniu od całego kontynentu posiada silnie rozwinięty rys wybitnego cywizmu w swoim charakterze narodowym. Ta najstarsza w Europie demokracja, która swe ostatnie wstrząśnienia przebyła gdzieś aż w epoce Kromvella, w ewolucyjnym swym nieprzerwanym rozwoju wypracowała tak rozpowszechniony i tradycyjnie utrzymujący się szacunek wzajemny urzędów i obywateli, że nawet grzeczność pomiędzy wrogami personalnymi jest tam obowiązkiem. Gdy więc w Anglji personalne stosunki naczelnego wodza z członkami rządu mogą znaczyć tyle, cóż mówić

o innych bardziej nerwowych lub bardziej brutalnych narodach.

Wojna zawsze jest naprężeniem nadzwyczajnem sił, energji i nerwów ludzkich, i nic dziwnego, że różne uczucia i praca duszy ludzkiej przejawiają się w tych epokach silniej i jaskrawiej. Dlatego też nie znam prawie wojny, którą studjując, nie spotkałbym przejawów tarć personalnych pomiędzy naczelnym wodzem i członkami rządu. Komuż nie jest znana zacięta, niezmordowana walka, która się toczyła w głównej kwaterze niemieckiej pomiędzy Hindenburgiem i Ludendorffem a kanclerzem Bethmannem-Hollwegiem; Ludendorff i Bethmann-Hollweg jeszcze po wojnie ostremi i niechętnemi wyrażeniami docinali swym przeciwnikom. W sąsiedniem państwie, w Austrji, zacięte walki i intrygi prowadzono pomiędzy Wiedniem a Cieszynem. Każdy wie, że tradycją austrjacką były *Hofkriegsraty,* które, opierając się o autorytet cesarza, próbowały z Wiednia, jeśli nie kierować wypadkami wojennemi, to przynajmniej dokuczać naczelnym wodzom. Świadectwa arcyksięcia Karola, arcyksięcia Albrechta i Conrada von Hetzendorfa dają obfity materjał faktów, które na przebieg wojny miały o wiele znaczniejszy wpływ, niż spory pomiędzy marszałkiem Frenchem i lordem Kitchenerem.

Najklasyczniejszym może przykładem z ostatniej doby historycznej byłby generał Nivelle, który w 1917 roku, podczas silnej ofenzywy wiosennej, padł ofiarą ostrych tarć pomiędzy nim, jako naczelnym wodzem francuskim, a panami, stanowiącymi w owe czasy rząd w Paryżu. Pomimo nadzwyczaj interesujących szczegółów tego tarcia nie chcę wchodzić w ściślejszą ich analizę, gdyż boję

się, że oparłbym się na zbyt jednostronnych dokumentach. Nie chciałbym jednak ominąć w zupełności tego faktu bez oświetlenia pewnych szczegółów. Tarcia były tak namiętne i tak silne, że przedmiotem sporów stały się drobne nawet szczegóły operacyj, zakrojonych na wielką miarę. W naradach, które z tego powodu prowadzone były w Paryżu pomiędzy dwoma gabinetami: paryskim i londyńskim, premjer angielski, Lloyd George, wypowiedział się w tej sprawie w sposób następujący: „My nie mamy potrzeby znać detali, które interesują bardziej tych, którzy ponoszą odpowiedzialność wyraźną za prowadzenie operacyj militarnych. My wolimy, ażeby generałowie zatrzymali dla siebie to, co się tyczy ich planów wykonawczych. Jeżeli się je napisze na papierze, dla zakomunikowania ministrowi, rzadkim jest wypadek, aby ministrowie byli jedynymi, którzy znają te detale. A jest rzeczą bardzo ważną, ażeby detale pozostały tajemnicą. W Anglji — dodał z dumą pan premjer — nie stawiamy podobnych pytań, zresztą nasi generałowie nigdy nas nie ośmielają do tego, odnosimy się do nich z szacunkiem, na jaki zasługują, i powstrzymujemy się od wszelkiej niedyskretnej ciekawości".

Z prawdziwą przyjemnością cytuję te słowa angielskiego premjera, uznając zarazem, że godnym szacunku jest i taki rząd, który tak szanuje swoich naczelnych wodzów.

Jeżeli z trudnością dałoby się twierdzić, że silne tarcia w owym czasie pomiędzy generałem Nivelle a rządem paryskim były przyczyną i jedynym powodem wybuchu silnych niezadowoleń, prawie buntów, w wojsku francuskiem, to niewątpliwie mają niektórzy autorowie rację, że dysonans mię-

dzy generałem Nivelle a rządem francuskim przyczynił się w znacznej mierze do tych smutnych zjawisk. Kilka rad wojennych, zwołanych w tym czasie, nieskończone dyskusje w tej sprawie w parlamencie, odwoływanie generałów, dowodzących wojskiem, podczas ważnych operacyj wojennych dla odbycia z nimi tych narad — wszystko to nie mogło nie wywołać wśród wojska zachwiania zaufania do dowództwa i do rządu, i musiało stworzyć podłoże do kursowania najrozmaitszych legend, plotek i opowiadań, ubliżających powadze zarówno generałów, jak i rządu.

Jeśli tarcia personalne podczas wojny pomiędzy wojskowymi dają się najczęściej zneutralizować, a nawet niekiedy można ich zupełnie uniknąć, to całkiem inaczej wyglądają tarcia pomiędzy ludźmi, reprezentującymi politykę państw w stanie wojny, a naczelnymi wodzami, dającymi siłę ramienia swemu krajowi i dyrygującymi właściwą istotą zjawisk wojennych — operacjami w polu. Tarcia, zdaniem mojem, są nieodzowne, są koniecznością, wynikają z istoty pracy dziejowej, zwanej wojną. Polityka i działanie wojenne w ciągu wojny stoją zbyt często ze sobą w sprzeczności. I niech nikt nie sądzi, że w jakiemkolwiek stadjum wojny dadzą się te sprzeczności w jakikolwiek sposób usunąć. Rozwiązać sprzeczność — można, ale tylko zapomocą decyzji, uszczuplającej żądania i wymogi albo polityki, albo działań wojennych.

Nic więc dziwnego, że wszyscy, którzy się teorją wojny zajmowali lub wojnę na stanowiskach decydujących przeżyli, nie mogli nigdy łatwo przejść do porządku dziennego nad tą koniecznością wojny.

Kilka przykładów chciałbym przytoczyć dla zilustrowania tej sprawy. Na początku wojny w 1914 roku Francja dla celów całkiem politycznych, w które wchodzić nie chcę, nakazała wojsku przy osłonie swych granic i koncentracji swych armij cofnąć swe oddziały od granicy co najmniej na kilka kilometrów, nieraz wbrew zdrowemu sensowi taktyki wojennej. W innym kraju, w Niemczech, rozpoczęcie walki na morzu zapomocą łodzi podwodnych dało powód do ciężkich tarć, gdzie po jednej stronie stał kanclerz ze swojemi wymogami czysto politycznej natury, z drugiej — dowódcy wojenni z żądaniami, wypływającemi z natury operacyj militarnych. W Rosji atak na Wschodnie Prusy, który się skończył katastrofą przy Mazurskich Jeziorach, był nakazany wbrew głosom dowódców, żądających zwłoki. W umyśle rządu rosyjskiego i wielkiego księcia Mikołaja przeważyły wtedy względy polityczne nad wymogami czysto wojennemi.

Ta zasadnicza sprzeczność odczuć się daje wyraźnie prawie w każdej większej decyzji wojennej. Gdy się zaś wciągnie w rachunek i kalkulację wewnętrzny stan narodu, kraju, czy państwa, prowadzącego wojnę, i odniesie ten szereg zjawisk do dziedziny politycznej, to niema prawie kroku na wojnie, w którym nie ważyłyby się szale, z których na jednej napis brzmi: „polityka", na drugiej — „działania wojenne". Rzeczy nierozerwalne, a tak, niestety, często pomiędzy sobą sprzeczne! Ileż klęsk i porażek zna historja wojen z powodu nieroztropnego zrównoważenia szal na tej wadze dziejowej!

Ludzkość rozstrzygała być może, niestety, tyle swoich zagadnień zapomocą wojny, że problem po-

wyższy był nieraz objektem rozmyślań i rozważań wielu myślicieli, wielu mężów stanu i z natury rzeczy wielu wielkich wodzów wojennych. Każdy naczelny wódz, w każdej wojnie, w pierwszej chwili swojej pracy ciężar tego problemu ma na swoich barkach. I czy chce, czy nie chce, czy o tem myślał kiedykolwiek przedtem, czy lekkomyślnie od problemu się usuwał, uciekając do szczegółów techniki, musi z tem zagadnieniem mieć do czynienia, musi nad rozwiązaniem sprzeczności się biedzić, nerwy swe w poszukiwaniu rozstrzygnień szarpać i pracować nieledwie codzień udatnie czy nieudatnie nad zestawieniem swego technicznego rachunku, do którego wedrzeć się muszą cyfry, znaki i hieroglify o naturze politycznej. Odwrotnie, każdy rząd i ludzie, go składający, także czy chcą, czy nie chcą, czy są rozważni, czy lekkomyślni, będą musieli w trwożliwych często rachunkach politycznych czekać nadejścia piekących ogniem cyfr, znaków i hieroglifów, mówiących o operacjach wojennych, o kurzawie bitewnej, o błyskawicach i gromach, któremi znaczą losy kraju i losy swoje wodzowie naczelni. Tarcia w tej sprzeczności, spory nieraz namiętne z powodu tego problematu są, powtarzam, nieuniknione i konieczne, i nie należy nigdy tchórzliwie zamykać oczu przed tą wielką prawdą życia wojennego.

Tarcia te i spory wraz z rozwojem komplikacyj zarówno w dziedzinie techniki wojennej, jak i życia społecznego i politycznego, wynikają łatwiej i trudniejsze są do usunięcia.

Technika pracy wodzów naczelnych staje się coraz bardziej niezrozumiała nietylko dla ludzi, nie mających z wojskiem do czynienia, lecz nawet dla przeważnej większości podwładnych im oficerów.

Odwrotnie, praca polityczna na naczelnych stanowiskach wymaga coraz wyższego wykształcenia i większej wprawy, niż to było dawniej. Dlatego też przy końcowem wciąganiu przy rachunku działań wojennych politycznych cyfr i znaków, i odwrotnie — przy konieczności wpływu pracy wojennej w polu na życie polityczne, społeczne i na stosunki międzynarodowe, łatwo jest o spory, gdy rzeczy, jasne dla jednej strony, są niezrozumiałe dla drugiej, gdy, że tak powiem, alfabet, czytany łatwo przez jednego, staje się jakimś chińskim hieroglifem dla drugiego. Problemat w tych warunkach, nawet przy dobrej wierze, zaplątuje się niesłychanie, nie mówiąc o tem, że każda zła wola, każda niechęć doprowadzić może do zupełnego niezrozumienia się.

Charakterystycznem, naprzykład, było dziwaczne nieporozumienie w tarciach generała Nivelle'a z rządem paryskim. Na podstawie słów jednego z deputowanych, który był w kwaterze głównej jednej z armij francuskich przez czas pewien, oskarżano w Paryżu głośno generała Nivelle'a o nieliczenie się zupełne ze stratami. Atak bowiem na pozycje fortu Brimont miał jakoby kosztować 60000 krwawych strat ludzkich. Powoływano się przytem na zdanie generała, który miał dowodzić tym atakiem. Można wyobrazić sobie zdumienie i oburzenie generała Nivelle'a na swego podwładnego. Wiedział bowiem, że siły, wyznaczone do ataku na tę pozycję, w swym stanie bojowym nie dochodzą do wymienianej liczby. Przy przeprowadzonem śledztwie okazało się, że generał, na którego się powoływano, podał liczebność oddziałów, mających atakować Brimont mniej więcej na 60000 ludzi, prawdopodobnie wliczając w to cały stan

żywnościowy oddziału, który niekiedy stanowi dwa razy większą liczbę, niż stan bojowy, narażony na krwawe straty. A jednak pomimo tak wyraźnego nonsensu połowa parlamentu, a wraz z nią prawdopodobnie połowa Paryża przez tydzień co najmniej poza plecami generała Nivelle'a brała za dobrą monetę oczywisty absurd, opowiadając o krwiożerczości i dzikiej bezwzględności generała głównodowodzącego.

Przyjaciel mój, autor następnej rozprawy, rozważając ten problem, nie dotknął prawie tej koniecznej sprzeczności, jaka istnieje, zdaniem mojem, podczas wojny pomiędzy polityką a działaniem wojennem. Przechodzi on bez zatrzymywania się nad zasadniczą stroną kwestji do wyrozumowanego stwierdzenia konieczności skoordynowania całej pracy wojny i do próby znalezienia metody prawnej dla tego celu. Ujmując słusznie *réalité des choses* wojny, wie dobrze, że decydująca i najważniejsza część pracy wojennej państwa czy narodu jest na placu boju, tam, gdzie dzierży władze i rozstrzyga losy całego kraju nie kto inny, jak wódz naczelny. Wyciąga więc stąd wniosek, że musi on być częścią składową tego rządu, który przed całem państwem czy narodem niesie odpowiedzialność za pomyślność walki orężnej. Znając doniosłość działań wojennych dla pracy politycznej i lekko tylko zarysowując konieczność uwzględnienia spraw natury politycznej w rachunkach i kalkulacji czysto wojennej, szuka on możliwie ścisłego kontaktu, możliwie masowej łączności tych, co pracę polityczną prowadzą, z tym, co miecz trzyma w dłoni. Szuka więc nakazu prawa, musu ustawy dla jednej i dla drugiej strony, łączy bowiem w jednej in

stytucji rządu główne osobistości polityczne wraz z wodzem naczelnym.

Rozstrzygnięcie to wydaje mi się w zasadzie słusznem, chociaż niechybnie daje niejedną moralną i techniczną trudność do przezwyciężenia. Osobiście przy swoich długoletnich studjach nad wojną i jej zagadnieniami w każdej ze studjowanych historyj wojen natykałem się na ten problem z jego sprzecznościami. Nie będąc zaś w swojej karjerze życiowej jedynie wojskowym i przeszedłszy w życiu swojem różnego rodzaju prace polityczne, łatwiej może, niż inni, dostrzegałem całą grozę sytuacji, całą śmieszność nieporozumień i całą trudność rozwiązywania tych niechybnych sprzeczności w codziennem życiu wojny. Ogromnem ułatwieniem w dzisiejszych czasach dla spokojnego rozważania tego problematu jest olbrzymie doświadczenie, którego ludzkość nabyła w tej dziedzinie przez ostatnie wstrząśnienia olbrzymiej wojny, tak niedawno zakończonej. Wypadki te tak ogromnej miary, które wciągały w życie wojny i w czynny oraz świadomy w niej udział nieledwie każdego obywatela czy poddanego wszystkich państw i narodów Europy, zostawiły niechybnie szerokie podłoże dla zrozumienia tych zagadnień, podłoże o znacznie wyższym, znacznie jaśniejszym poziomie myśli i wykształcenia. Obawiam się, że jest gorzej z tem podłożem u nas, w Polsce.

Tutaj bowiem olbrzymia większość obywateli i obywatelek Polski była tylko biernym, wystraszonym tłumem ludzi, na których plecach, kosztem ich życia i mienia, odbywali inni swe eksperymenty wojenne. Na całej prawie przestrzeni naszego kraju miljonowe armje obu przeciwników przetańczyły parokrotnie krwawego kontredansa, uwa-

żając Polaków raczej za mierzwę wojny, niż za aktorów dziejowej tragedji.

Techniczne trudności rozwiązania tego problemu, które daje pan Miles, polegają, zdaniem mojem, głównie na tem, że wódz naczelny w swej pracy bardzo często nie ma możliwości obcowania bezpośrednio z głównymi mężami stanu. Pan Miles chce przez swoje rozstrzygnięcie osiągnąć wspólne ponoszenie odpowiedzialności i stworzyć konieczności wspólnego przeżywania trwóg, nadziei, wątpliwości i złudzeń ze wspólnej pracy głównych ludzi narodu, prowadzącego wojnę. Ułatwia to olbrzymie wyjaśnienie sprzeczności, wiąże ludzi, odpowiedzialnych za losy wojny, silniej węzłami solidarności pracy, niż jakiekolwiek inne rozstrzygnięcia. Przy nieobecności jednak jednej ze stron i to głównej — naczelnego wodza, w chwilach częstych kryzysów wojennych trzeba bardzo silnych nerwów nie u naczelnego wodza, lecz u strony innej, dla wytrzymania dręczącej niepewności i niepokojących zagadek kryzysowych. A pamiętać należy, że wszystkie kryzysy wojen czy bitew wymagają tak wyczerpującej pracy i tak wielkiego napięcia nerwów wojsk i naczelnego wodza, że ten przeżywać te momenty musi zawsze w najściślejszym związku nie z kim innym, jak z najbliższymi towarzyszami broni.

Przy studjach swoich nad historją wojen napotykałem różne próby rozstrzygnięcia zagadnienia, jak w pracy wojennej łączyć z sobą wymogi polityczne z zadaniami działań wojennych. Najdalej idącem rozstrzygnięciem jest danie absolutnej prawie przewagi stronie politycznej, która rozstrzyga o operacyjnych decyzjach, przygotowywanych przez wojskowych. Ten typ rozwiązania problemu

spotyka się jedynie tam, gdzie kraj, prowadzący wojnę, przeżywa równocześnie wielką polityczną walkę wewnętrzną, a więc we wszystkich wojnach rewolucyjnych. Tak wielka rewolucja francuska przystawiała do wszystkich dowódców komisarzy konwentu, którzy mieli absolutną przewagę nad generałami, kontrolując nietylko ich prawomyślność rewolucyjną, lecz i poszukując elementu zdrady w decyzjach wojennych. Ten sam przykład mieliśmy u przeciwnika naszego w ostatniej wojnie. I tu byli również komisarze sowieccy, którzy, pilnując *specóv* wojskowych, mieszali się w każdą decyzję, rozstrzygali często swoją władzą wątpliwości wojenne.

Nie chcę się zatrzymywać na analizie tak wyjątkowych stosunków. Urządzenia takie wnoszą tak głęboko w organizm wojskowy i państwowy konieczność tarć personalnych i tak daleko rozszerzają dziedzinę sprzeczności pomiędzy polityką a działaniami wojennemi, że tylko wyjątkowemi środkami — terrorem — daje się zatrzymać cała budowa. Zdaniem mojem, jedynie nadzwyczajne napięcie nerwów i niezwykłe poprostu wysiłki, wywołane w ludziach przez wstrząśnienia rewolucyjne, upoważnić mogą do przypuszczenia, że w takich warunkach mogą być jakiekolwiek szanse zwycięstwa. We wszystkich innych spotykanych konstrukcjach nigdy nie było tak daleko idącej przewagi jednego czynnika nad drugim.

Najdłuższym może dziejowo był system monarchistyczny, gdzie cały ciężar rozstrzygania wzajemnego stosunku czynnika politycznego i technicznego podczas wojny leżał na barkach króla, cesarza czy księcia. To znaczy, że wszystkie sprzeczności w każdej fazie wojny rozstrzygniętemi być

mogły przez jednego człowieka. Obojętnem w tym wypadku było, czy dynasta, „z łaski bożej“ panujący, rozstrzygał to sam osobiście, czy oddawał to rozstrzygnięcie w ręce czyjekolwiek, chociażby w ręce faworyta czy nawet ciała zbiorowego.

Ostatnie słowo, słowo decyzji, stwierdzone podpisem, należało do niego. To samo działo się, może z wyjątkiem Anglji, i w monarchjach konstytucyjnych do ostatnich czasów, gdy stan wojny, wprowadzający zwykle prawa wyjątkowe, dawał w ręce monarchów i nadzwyczajne przywileje władzy, i siłę postępowania.

To najprostsze rozstrzygnięcie spotkamy również w najstarszej i najsilniejszej zarazem demokracji świata historycznego — republice rzymskiej. Rzym niechybnie w porównaniu ze światem ówczesnym był państwem bardzo demokratycznem. Ba, pod wielu względami prześciga on swemi urządzeniami i duchem demokracji życie nowożytne. Nieustanne, wielkie spory plebsu i patrycjuszów, dające zwycięstwo aż do epoki cesarzów zawsze plebsowi, przewyższają pod względem napięcia i natężenia, z wyjątkiem może okresów rewolucyjnych, wszystko, co znamy z dziejów walk stronnictw i tarć socjalnych w nowoczesnych demokracjach. A jednak mimo tych walk wzrasta potęga wiecznego miasta, narzucającego coraz szerzej i dalej swą władzę miastom, plemionom, krajom i narodom. Przy nieustannych walkach wewnętrznych Rzym prowadzi przytem nieustanną też wojnę zewnętrzną. Republika rzymska stworzyła epokę w dziejach całego świata. Wpływ jej cywilizacji trwa dotychczas. Musiała być w urządzeniach rzymskich nadzwyczajna siła, musiało być w prawach wojennych niezwykłe zrównoważenie mądro-

ści politycznej i siły wodzów wojny, gdy tak olbrzymie efekty osiągnięto.

Wojny prowadzili tam zwykle konsulowie, którzy zarazem byli najwyższymi urzędnikami cywilnymi republiki. Łączono więc znowu w jednej głowie mus rozstrzygania wszystkich sprzeczności zadań wojennych, wszystkich agresyj polityki do działań na polu bitwy. Najjaskrawiej jednak ilustrują ten system postępowania Rzymian chwile nadzwyczajnych niebezpieczeństw. Ustanawiano wtedy „dictatora", dla którego wszystkie zastrzeżenia demokratyczne, które jeszcze dla konsulów istniały, cofano doszczętnie. Dawano mu termin półroczny dla trwania jego absolutnej władzy. I pomimo, iż dzieje Rzymu, jak powtarzam, dają obraz namiętnie nieraz prowadzonych sporów i walk wewnętrznych, pomimo, że tarcia socjalne nieraz były tak głębokie i upodobniały się prawie do wojny domowej, nie znają dzieje Rzymu aż do epoki poczynającego się cesaryzmu ani zamachu stanu „dictatorów", ani podejrzeń i obaw, że taki absolutny pan republiki po upływie swego półrocznego terminu władzy tak rozległej nie złoży. Ta nadzwyczajna siła cywizmu republiki rzymskiej zostawiła także niezrównane wzory takich właśnie „dictatorów". Któż bowiem z marzycieli, śniących o silnych demokracjach, nie zna imienia Cincinata, co zubożały przez zapłacenie wysokiej kary pieniężnej za ekscesy w walkach domowych swego syna, oderwany został od pługa, by stanąć, jako „dictator", w obronie zagrożonej ojczyzny. Po upłynięciu swego półrocza i zwycięskiem usunięciu niebezpieczeństwa wrócił spokojnie do przerwanej pracy przy uprawie swego pola.

Jeżeli pan Miles w swej próbie rozstrzygnięcia problemu polityki i działań wojennych szuka możliwego zbliżenia w jednej instytucji przedstawicieli obu czynników wojny, to rzecby można, że najsilniejsza demokracja świata — rzymska — posunęła w chwilach niebezpieczeństwa tak daleko owo zbliżenie, że umieściła je w jednej głowie. Mus wtedy zbliżenia się obu czynników, działających przy niebezpieczeństwie państwowem, jest tak wielki, że jedynem pytaniem, jakie w tych warunkach postawić można, to to, czy głowa danego człowieka od sporu wewnętrznego nie pęknie, czy serce nacisk niebezpieczeństwa wytrzyma, czy nerwy wreszcie dadzą możność zharmonizowania wszystkiego w nieustanne akty woli, przy zawsze chwiejnych, zawsze wątpliwych losach wojny.

Ustrój więc monarchiczny i ustrój republikański Rzym doprowadzał, jak widzimy, do jednakowego rozstrzygnięcia. W obu wypadkach dawano politykę i miecz, będące tak często w sprzeczności i w sporze, jednej głowie, jednym rękom i jednej woli. Różnicą zaś zasadniczą było to, że w Rzymie szukano w chwili bezpieczeństwa człowieka, gdy monarchje na traf i wypadek urodzenia się takiego człowieka na tronie czekać musiały. Znajdziemy też w dziejach wielkości państw monarchistycznych u podstawy tej wielkości zawsze ten traf urodzenia się człowieka na tronie. Chrzci historja tych ludzi nietylko w swoim kraju, lecz w całej ludzkości mianem wielkich. Są oni jednocześnie mężami stanu większej miary i stwarzają nieraz epoki w dziedzinie sztuki wojennej. Rozbiorcze państwa, sąsiadujące z nami, znają tych wielkich. Piotr Wielki w Rosji, Fryderyk Wielki w Prusach są tymi ludźmi, którzy w jednej głowie łączyli

problemy polityki wewnętrznej i zewnętrznej z najbardziej technicznemi zadaniami wojny. Cóż mówić o największym z takich, o wielkim Napoleonie, cesarzu Francuzów. Błyskawicznemi zwycięstwy łamał, jak nikłe słomki, wiekowe budowle ludzkości, posługując się triumfem bojowym dla celów politycznych, i odwrotnie, czynił sobie zwycięstwo łatwem przez mądrą przebiegłość wielkiego męża stanu.

Pomimo jednak, że te najprostsze rozstrzygnięcia pociągały zawsze i niechybnie pociągać będą ludzi ku sobie podczas kryzysów dziejowych, podczas wojen, trudno przypuszczać, by systemy rzymskie bez dusz rzymskich i systemy monarchiczne bez monarchów nie napotkały nieprzezwyciężonych przeszkód przy próbach urzeczywistniania. Zresztą, że powtórzę raz jeszcze, dzisiejsze życie społeczne i polityczne oraz sama technika życia ludzkiego daje tyle zagadnień i tyle pracy, że ustawy i prawa z trudem ułożyć się dadzą w najprostsze, w tak mało skomplikowane ramy.

Sądzę jednak, że wielu mi przyzna rację, gdy wypowiem główną zasadę, wyciągniętą przeze mnie z moich studjów nad wojną.

Każda wojna nasuwa wszystkim tyle wątpliwości i tyle trwogi, że olbrzymia większość ludzi staje w razie jej nadejścia w pewnej bezradności i w poczuciu bezsilności w stosunku do wielkości zagadnienia. W takim stanie, jak przy każdem wielkiem wstrząśnieniu, ludzie, wiednie i bezwiednie, poszukują człowieka lub niewielkiej ilości ludzi, którym, słusznie czy niesłusznie, przypisują siłę i tężyznę ducha oraz zdolność i umiejętność, przewyższającą przeciętną miarę danego narodu czy obywateli państwa. Jeżeli więc trudno przypuszczać, by najprost-

sze rzymskie rozstrzygnięcie, wybieranie jednego człowieka, mogło być urzeczywistnione, to niechybnie współczesne rozstrzygnięcie da kilku czy kilkunastu ludzi, na których głowy, serca i nerwy spadać będzie cały ciężar problemu wojennego. Wśród tych ludzi, jak słusznie dowodzi pan Miles, największa część ciężaru spadnie na tego, kto ma być wodzem naczelnym. A jeśli czytelnik zechce łaskawie pamiętać wszystkie rzucone przeze mnie przed jego oczy przykłady tarć i sporów i ich skutków podczas wojny, to może razem z panem Milesem dojdzie do przekonania, że nakaz wszystkich zmuszać powinien tych kilku czy kilkunastu pracować z sobą jak najściślej i jak najbardziej łącznie. Stwarza się w ten sposób najdogodniejsze warunki dla utrzymania autorytetu władzy politycznej oraz największe szanse dla uproszczenia kalkulacyj polityczno-wojennych w pracy naczelnego wodza. Praca zaś jego, jak słusznie twierdzi pan Miles, jest decydująca dla losów wojny, gdyż w ostatnim rachunku rozstrzygnięcie ich pada nie gdzieindziej, jak na polach bitewnych.

Jeden z wielkich teoretyków wojny, von der Goltz, porównywując pracę ludzką w najrozmaitszych funkcjach państwowych, twierdzi, że najcięższą, najwięcej wysiłku umysłu, woli i nerwów wymagającą jest funkcja naczelnego wodza podczas wojny. Bez względu na normy ustaw czy praw, postawiony on jest w głównem ognisku wielkiej maszyny wojennej i każde koło i kółko zaczepia o niego w ten czy inny sposób, czyniąc swoje prawidłowe funkcjonowanie zależnem wprost od sukcesu jego pracy. Jasnymby był z tego wywód, że im mniej ten ogrom kół zaczepi o nerwy naczelnego wodza, im mniej jest niepotrzebnych szarpnięć

i złośliwych tarć, tem łatwiej może on przepracować swą decyzywną robotę. Zawsze, gdym myślał o wielkiej prawdzie von der Goltza i gdym zestawiał ją z tem mnóstwem wstydliwych zakątków historji wojen, o których pisałem wyżej, stawała mi przed oczami smutna postać jednego z naczelnych wodzów wielkiego państwa—Kuropatkina. Wszystkie powyżej wyłuszczone wywody i wszystkie myśli można, zdaje się, najlepiej zilustrować jednym przykładem z jego działalności — momentem, gdy generał Kuropatkin w walnej rozprawie z Japończykami pod Liaoyangiem w ostatnim dniu tego boju decydował o losach bitwy, o losach swoich i o losach swego kraju.

Karjera generała Kuropatkina w Rosji nie była zwykłą; pracował on jako szef sztabu przy efektownym, zdolnym i śmiałym generale Skobielewie, który w opinji świata rosyjskiego dorastał do znaczenia bohatera narodowego w wojnie z Turkami i w wyprawach turkiestańskich. Wyszedł generał Kuropatkin na ministra spraw wojskowych nagle i niespodziewanie, wywyższając się ponad wszystkich generałów, odrabiających swoją karjerę długiemi latami służby, i rozniecił tem niezadowolenie w wielkim świecie petersburskim, jako jakiś parwenjusz, który zawdzięcza swe stanowisko głównie swym zdolnościom i pracy. Był przeciwnikiem zadzierania z Japończykami i opierał się ekspansywnej polityce Rosji w kierunku tak zwanego Wielkiego Wschodu. Promotorem tej właśnie polityki był na wschodzie admirał Aleksiejew, jak powiadają, spokrewniony z lewej strony z dworem, który zrobił sobie na wschodzie nieledwie udzielne księstwo, pełne przepychu i luksusu, i który z całą pogardą lekceważył sobie wszystkie ludy Wschodu

łącznie z Japonją. Kręcili się przy nim różnego rodzaju niepewni ludzie, aferzyści, brudni geszefciarze bankowi, leśni, kolejowi, portowi. Gdy wreszcie Aleksiejew doprowadził do wybuchu wojny, został jako głównodowodzący na wschodzie w pierwszych bitwach przez Japończyków sromotnie pobity. Na ratunek wtedy posłano, jako głównodowodzącego sił lądowych, generała Kuropatkina, zostawiając nad nim, jako głównodowodzącego nad armją i flotą, namiestnika Dalekiego Wschodu, admirała Aleksiejewa, który świeżo od swojej floty w Porte-Arturze wycofał się szczęśliwie do dalekiej stolicy Mandżurji — Mukdenu.

Nie znam pobudek, które skłoniły Kuropatkina do przyjęcia tego posterunku. Może był do tego zmuszony. W każdym razie poczynił pewne kroki ostrożności, i jako swego szefa sztabu wybrał generała Sacharowa, którego brat miał zastąpić samego Kuropatkina na stanowisku ministra spraw wojskowych w Petersburgu.

Od samej chwili przybycia generała Kuropatkina do głównej kwatery w Liaoyangu rozpoczęła się ostra, zjadliwa walka pomiędzy Liaoyangiem a Mukdenem. Walka ta odbywała się na tle sprawy Porte-Artura. Generał Kuropatkin zdecydował nie dać się wciągnąć w żadną wielką bitwę, nim nie będzie miał dostatecznej ilości wojska, i jako miejsce koncentracji korpusów, przybywających z Rosji, przeznaczył Liaoyang. Odwrotnie, admirał Aleksiejew, lekceważąc zupełnie przeciwnika, pchał ustawicznie do otwarcia drogi do Porte-Artura, żądając oswobodzenia związanej w Porte-Arturze floty i uważając nieledwie za tchórzostwo ostrożność Kuropatkina. Jeżeli starcia pomiędzy Steinmetzem a Moltkem i Fryderykiem Karolem dawały

iskry, tu swobodnie buchał już pożar, oświetlający plotki, obmowy, kpiny i wszelkiego rodzaju ukłucia i poniżenia, jakich się swobodnie dopuszczano w Mukdenie w stosunku do parwenjusza Kuropatkina. Stało się zwyczajem zatrzymywanie transportów wojskowych w Charbinie czy Mukdenie dla sformowania niezależnych od Kuropatkina oddziałów, zmuszając tem generała do upokarzających targów. Zwyczajem też była złośliwa praca poza plecami Kuropatkina w Petersburgu dla obniżenia autorytetu generała, który opuścił najwyższy posterunek wojskowy w państwie dla objęcia dowództwa w polu. Petersburg dawał też odczuć Kuropatkinowi w dalekiej Mandżurji, że jego czasy członka rządu już minęły i że pogodzić się musi, jako parwenjusz, z brakiem wpływów i brakiem znaczenia w głównem centrum państwa.

Z różnych drobnych uwag, rozsianych w wielu wspomnieniach i pamiętnikach z tych czasów, widać, że generał Kuropatkin cierpiał bardzo z powodu tego miljona szpilek, ukłuć i inwektyw, które znosić musiał w przeciągu kilku miesięcy, poprzedzających bitwę pod Liaoyangiem.

Szarpało mu to nerwy, przeszkadzało nieraz pracować. Przeglądając zaś korespondencję urzędową z tego czasu generała Kuropatkina z generałem Aleksiejewem, spostrzegałem wyraźnie, jak zrównoważony, spokojny, z pewnym odcieniem wyższości ton korespondencji zmieniał się powoli w ton znacznie mniej opanowany, rozdrażniony i złośliwy. W takim stanie osłabionych nerwów przyjął Kuropatkin pierwszy wielki bój, próbę sił obu przeciwników, bitwę pod Liaoyangiem. Dziwna bitwa! Zrazu Japończycy uderzyli ze swą przedziwną odwagą i brawurą, z pogardą śmierci, na

przygotowane zawczasu pozycje pod Liaoyangiem. Przyzwyczajeni dotychczas do przewagi nad nieprzyjacielem, nie przedsiębrali może zbytnich środków ostrożności, szli szybko, by w gwałtownym szturmie złamać nieprzyjaciela. Po paru dniach boju pierwszy promyk triumfu w tej kampanji zaświecił nad stroskaną głową Kuropatkina. Skrwawione, niekiedy zdziesiątkowane bataljony i dywizje japońskie zaległy w bezsilności przed pozycjami, nie uzyskawszy nigdzie większej przewagi, nie zrobiwszy nigdzie większego wyłomu w pozycjach nieprzyjacielskich. Kuropatkin daje rozkaz przygotowania się do kontrataku. Wysyła do Petersburga nieledwie triumfujące depesze o zwycięstwie. W tej sytuacji następuje fakt niespodziany, który mąci nieco obliczenia Kuropatkina, lecz jakgdyby rozmyślnie stwarza nowe warunki, dające mu w ręce nieledwie ułatwienie dla pobicia przeciwnika. Na skrajnem prawem skrzydle japońskiem generał Kuroki, dowodzący 1-szą armją japońską, dostrzegłszy wzmocniony ruch pociągów, idących ku północy — do Mukdenu, osądził, że jest to oznaką cofania się rosyjskiego i zdecydował się na krok nadzwyczajnie śmiały. Przerzucił mianowicie trzy i pół dywizyj, będących w rezerwie, na drugą stronę rzeki po jednym tylko moście, by uderzyć na flankę cofającej się jakoby rosyjskiej armji.

Na pierwszą wieść o tym wypadku Kuropatkin, nie wiedząc zresztą o sile Kurokiego, zdecydował się zmienić front, zebrać przeciwko nowemu przeciwnikowi prawie *gros* swojej armji, mianowicie — 4 i pół korpusów swego wojska, by Kurokiego zdusić i wyrzucić zpowrotem do rzeki. Była to ostatnia faza boju pod Liaoyangiem.

Kuroki wkrótce spostrzegł, że o pościgu, tak, jak marzył, nie było mowy, znalazł się w opresji i przeszedł prawie zupełnie do defenzywy, przerywanej tylko od czasu do czasu kontratakami. Gdym studjował dzieje tej bitwy, największą ciekawość budził we mnie ostatni dzień boju. Kuropatkin dnia tego z każdą chwilą tracił pewność siebie. Z niedawnego jeszcze zwycięzcy zmienił się stopniowo w złamanego moralnie człowieka. Jedno z pięknych określeń Napoleona mówi, że *le chef doit avoir une tête froide*, musi mieć zimną głowę, by należycie i spokojnie oceniać wypadki, nie denerwować się tem czy innem niepowodzeniem, nie tracić nerwów przy kalkulacji częściowych zwycięstw. Dla takiej *tête froide d'un chef* trzeba mieć nerwy spokojne, nerwy, niedopuszczające zbyt silnych wrażeń, zbyt łatwych impresyjnych pojęć o wypadkach i zdarzeniach. Tej *tête froide*, tych spokojnych nerwów Kuropatkin ostatniego dnia nie wykazał. Przecenił te czy inne niepowodzenia; inteligentny, wykształcony jego umysł nie zdołał wiązać wypadków z sobą. Oczy wodza nie dostrzegały zmęczenia nieprzyjaciela, zatrzymania prawie zupełnego kontrataków. Umysł przestał brać w rachubę swoje własne siły, których miał jeszcze poddostatkiem dla dnia następnego. Kuroki z trudem dotrzymywał placu. Świadczy o tem fakt, że jego bohaterska 15 ta brygada (część 2-ej dywizji), postawiona w najgorętszem miejscu boju, gdy nazajutrz zeszła z pozycji, nie była w stanie ugotować sobie ryżu. Generał Jan Hamilton, attaché angielski przy armji Kurokiego, cudowny w swych zapiskach o wojnie japońskiej, mówi, że parę szwadronów jazdy odkomenderowano specjalnie poto, by wyczerpanym w boju kolegom z 15-ej brygady gotowali strawę.

Tenże świadek naoczny mówił, że gdy dnia tego wszedł na pagórek, skąd sztab Kurokiego obserwował bitwę, poczuł prawie fizycznie jakgdyby niechęć i nienawiść Japończyków do cudzoziemca, mogącego obserwować ich klęskę i przegraną.

Gdy się śledzi w tym ostatnim dniu boju z godziny na godzinę bieg raportów i rozkazów Kuropatkina, wydać się może, że gdzieś u najwyższego sędziego wiszą i wahają się wielkie szale na wagach, na których miecze rosyjskie i japońskie dla zważenia złożono. Szale tak się chwieją, jakgdyby zupełnie już zrównoważyć się miały. Brak ostatniego ciężaru na tej lub innej wadze. Do szali japońskiej nikt już nic dorzucić nie zdoła. A na szalę rosyjską nic prócz ostatniego słowa Kuropatkina spaść nie może, i ostatnie słowo padło: wstecz! Kuropatkin nakazał cofanie się.

Wielki sztab niemiecki *(Grosser Generalstab)*, wydając analizę tego boju, kończy określeniem, że był to bój w całej wojnie najważniejszy, gdyż złamał on gruntownie *morale* rosyjską, dając Japończykom aż do końca wojny wielką przewagę moralną i olbrzymią pewność siebie, której do boju pod Liaoyangiem nie mieli. Ktoby temu nie chciał wierzyć, tegoby niechybnie przekonało studjum następnej bitwy, tak zwanej bitwy na Sza-che. Kuropatkin bój ten prowadzi drżącą ręką. Trwoga już dyktuje mu jego rozkazy. Dosyć obserwować ruchy prawego skrzydła, gdzie oficerowie rosyjscy sami mówili, że posuwają się dwa kroki naprzód, a jeden lub dwa wtył. Dosyć przeczytać, ile przestróg, ile nakazów wahania się i ostrożności idzie od Kuropatkina do decydującego lewego skrzydła, gdzie jedna marna maleńka rezerwowa brygada japońska trzyma trzy dni w szachu całą armję generała

Stackelberga. Wydaje się, że groźny duch Liaoyangu stoi na straży pozycji tej brygady, grożąc ognistym mieczem nawet wtedy, gdy brygada już swe pozycje opuściła.

Nerwy generała Kuropatkina były rozbite. Jeden z jego przyjaciół opisuje zmiany, jakie w nim zaszły po boju pod Liaoyangiem. Kuropatkin przywitał go dobrotliwym, jakgdyby zażenowanym uśmiechem. Miał oblicze zestarzałe *(osunuwszejesia lico)*. W porównaniu z czasami petersburskiemi miał ruchy niepewne i nerwowe. Skarżył się ustawicznie na intrygi petersburskie, a radość wyraził jedynie z powodu wyjazdu Aleksiejewa do Rosji.

Objektywne warunki boju pod Liaoyangiem dawały, zdaniem mojem, prawie pewność zwycięstwa rosyjskiego. Nie wytrzymały tylko nerwy Kuropatkina, które tak nieużytecznie i tak nikczemnie targano ze wszystkich stron przed bojem. Drogo też Rosja zapłaciła za stargane nerwy swego naczelnego wodza w bitwie pod Liaoyangiem. Cała polityka Wschodu, koleje i porty poszły na marne. A po przegranej wojnie miano, jako skutek porażki, rewolucje i zamieszki wraz z osłabieniem autorytetu państwa w całym świecie. Tyle stanowić mogą, a nieraz i więcej, nerwy naczelnego wodza, ten może najcenniejszy materjał na wojnie.

Gdym przejrzał wszystko, com napisał na poparcie tez pana Milesa, dając te strony życia wojny, których pan Miles poruszać nie chciał, a które nazwałem „wstydliwemi zakątkami historji", dostrzegłem w swej wyobraźni tyle twarzy znajomych, radośnie uśmiechniętych. Więc wszędzie, z wyjątkiem Rzymu i to tak dawnego, wszędzie to samo. Więc o cóż chodzi, jak było wszędzie, tak będzie

i u nas, nie chcemy być gorsi od całego świata. Jeżelim takie wrażenie zostawił — żałuję; jeżelim kogokolwiek oświecił i nauczył — dziękuję, żem to potrafił.

XX

LIST DO GENERAŁA SIKORSKIEGO

(29 lutego 1924)

Sulejówek, 29 lutego 1924 roku.

Szanowny Panie Generale!

W sposób dosyć niezwykły, bo za podwójnem pośrednictwem, został mi przysłany Pański projekt o najwyższych władzach wojskowych z wyraźnem i niezrozumiałem dla mnie żądaniem czy prośbą, abym porobił „uwagi, inne sformułowania i skreślenia“ w związku z projektem.

Wyznaję, że ten niezwykły sposób uważam za niegrzeczność względem mnie, niegrzeczność, uzasadnioną chyba tem, że wychowuje się Pan Generał w atmosferze, gdzie niegrzeczność względem mnie uważana jest za „dobry ton“, coś w rodzaju szyku czy elegancji państwowej dla dostojników tak wysokich, jak minister.

Co się tyczy samego projektu, to streszczam krótko swą opinję. Jest to bardzo nieudolne naśladownictwo instytucyj francuskich z zapomnieniem o radykalnej różnicy pomiędzy nami a Francją. Tam ministrem jest zmienny człowiek cywilny, do którego dostawiają gabinet, aby go uczył być trochę rozumiejącym wojsko, a właściwym ministrem wojskowym jest szef sztabu generalnego. U nas zaś ministrem jest zmienny także, lecz oficer armji. Wobec tego ta przewaga, jaką dekrety we Francji dają generalnemu inspektoro-

wi, — generałowi, przewidzianemu na naczelnego wodza, — nad szefem sztabu generalnego czyni z generalnego inspektora głównego oficera w armji, co jest w zgodzie ze zdrowym duchem wojska, którego jedyną racją istnienia jest zbrojna obrona państwa, a nie hocki-klocki pokojowych intryg i burz w szklance wody przechodnich ministrów i gabinetów.

U nas więc wszystkie hocki-klocki dotychczasowych projektów i ustaw w tej dziedzinie są, niestety, ubliżające wojsku i zdrowemu poczuciu służby oficera; próba obniżenia wartości ducha wojny przez obniżanie generała, mającego w swej pracy odpowiednik ducha wojny, albo na korzyść oficera ministra (zmiennego), albo — co najśmieszniejsze — szefa Sztabu Generalnego.

W tym trójkącie małżeńskim oficerów — ministra, szefa sztabu i, niechaj będzie, inspektora czy przewodniczącego Ścisłej Rady — szef sztabu ma rolę przewrotnej kobiety, dającej tylka na dwie strony, aby ciągnąć dla swego prostytucyjnego życia korzyści z obu stron.

Współpraca w tych warunkach jest, zdaniem mojem, niemożliwa.

Zaznaczam, że nie mając zamiaru wogóle w tych hockach-klockach dawać swego sumienia na handel polityczny, mówię objektywnie, nie będąc w niczem zainteresowanym.

Powstrzymuję się od uwag szczegółowych co do projektu z powodu, że samą zasadę uważam za hocki-klocki, niewarte poważnego zastanowienia się nad niemi.

Samego projektu nie odsyłam, gdyż zacząłem robić na nim notatki w stylu sobie właściwym

i nie chciałbym, aby Pan Minister już literalnie wziął te określenia do siebie.

Proszę przyjąć zapewnienia wysokiego szacunku, z jakim pozostaję.

J. Piłsudski.

P. S. Kopję listu zachowuję sobie.

XXI

ZEZNANIA W PROCESIE PORUCZNIKA BŁOŃSKIEGO

(21 marca 1924).

Po wejściu na salę Marszałka Piłsudskiego, przewodniczący zwrócił się do niego: — Panie Marszałku! Porucznik Błoński oskarżony jest o to, że przed władzami swojemi złożył meldunek rzekomo fałszywy tej treści, że major Pieczonka, oficer oddziału II, polecił mu przeprowadzenie inwigilacji Pana Marszałka. Obrona porucznika Błońskiego wezwała Pana Marszałka na świadka w tym celu, żeby Pan Marszałek był łaskaw wyjaśnić, jaka była wówczas polityka i stosunek do Pana Marszałka i czy taka inwigilacja była możliwa. Co Pan Marszałek wogóle o tej sprawie może powiedzieć?

Marszałek Piłsudski: — Proszę powtórzyć pytanie.

Przewodniczący: — Obrona porucznika Błońskiego powołała Pana Marszałka na tezę dowodową, że wtedy, kiedy miało miejsce rzekome przestępstwo porucznika Błońskiego, to jest jesienią 1923 roku, stosunek Pana Marszałka do pewnych sfer był tego rodzaju, że Pan Marszałek pozostawał pod ścisłą opieką i kontrolą pewnych czynników państwowych.

Marszałek Piłsudski: — W tym okresie — pan mówi o raporcie — nie mogę stwierdzić dokładnie, w jaki sposób i od kogo, czy to od pana porucznika Błońskiego, czy od kogoś z jego znajomych, otrzymałem kopję tego raportu. W tym czasie, muszę stwierdzić, że istotnie byłem inwigilowany, o ile

to pojęcie inwigilacji oznacza obserwację mojej osoby, zarówno w Sulejówku, gdzie mieszkałem, jak też moje wprawne oko, które mam wyrobione z przeszłych doświadczeń, stwierdzało to i w innych miejscach. Natomiast inwigilacja w Sulejówku była tak widoczna, jak to może być widoczne na wsi, gdzie wszyscy sąsiedzi zwracali mi na to uwagę. Sam fakt inwigilacji był dla mnie widoczny.

Pan pytał mnie o motywy i z czyjej to był strony?

Przewodniczący: — Wogóle o wyjaśnienie tego na tle tych stosunków, jakie były wtedy.

Marszałek Piłsudski: — Wtedy panowały w naszem państwie dziwaczne warunki. Dziwaczność polegała na tem, że wszyscy wszędzie mówili o jakichś zamachach stanu. Warszawa była w specjalnych warunkach. Wyglądało niejedno, jak przygotowanie do jakiejś rewolucji i kontrrewolucji zamachu stanu. Sprowadzono specjalne wojska, które były wybierane, które miały pilnować takiego czy innego porządku. Sprawa wyglądała nawet tak, że wyznaczano nawet terminy takich czy innych zaburzeń, takich czy innych zamachów stanu.

Więc w tym czasie co do mnie, jeśli idzie o przypuszczenie, gdyż pewnych danych po temu nie mam, — jeśli idzie o przypuszczenie, to gdybym mógł określić jako szanse, to powiedziałbym, że ośmdziesiąt na sto było szans na to, że byłem obserwowany z polecenia panów z rządu. Takie były moje przypuszczenia. Czy do tego były jakie inne dodatki, to znaczy dobrowolne pod tym względem szpiegowanie i dobrowolna obserwacja mojej osoby, to trudno mi stwierdzić.

Te rzeczy ja odczuwałem w życiu mojem bardzo często i bardzo długo, naprzód w Rosji, kiedy byłem czynnym, jako człowiek, występujący przeciwko rządowi rosyjskiemu; w Austrji i Galicji panowie „szpektorowie" obserwowali mnie bardzo pilnie. Podczas okupacji Beseler obserwował mnie bardzo łaskawie — miałem więc pod tym względem bardzo wyrobione oko.

Natomiast w państwie polskiem, niestety, muszę skonstatować, że w okresie, kiedy wychodziłem z Belwederu, jako Naczelnik Państwa, obserwowano mnie bardzo dokładnie, prawdopodobnie z tych grup, które zabiły Prezydenta, mego przyjaciela, Gabrjela Narutowicza. Czy tu dodatki były z rządowych sfer, tego skonstatować nie mogę. Natomiast podam dla potwierdzenia tego to, że miałem inwigilację telefoniczną, że jedna stacja rembertowska, która była połączona z mojem mieszkaniem, miała nakaz podsłuchiwania. Ta inwigilacja była bardzo staranna w tym właśnie okresie, o który obronie chodzi.

Przewodniczący: — Czy Pan Marszałek nie wiedział, że byli pewni ludzie, przeznaczeni do strzeżenia Pana Marszałka?

Marszałek Piłsudski: — Skonstatowałem rzecz jedną, że trzej ludzie zgłosili się do mnie i przedstawili się, że są przeznaczeni do strzeżenia mnie. Była tam jedna z wybitnych osób w administracji państwowej, która właśnie w tym celu przysłała tych trzech panów.

Mecenas Paschalski: — Ośmielam się przedłożyć Panu Marszałkowi zapytanie, czy nie zachodziła w stosunkach Pana Marszałka do pana generała Szeptyckiego okoliczność, któraby usprawiedliwia-

ła i wyjaśniała poza ogólnym charakterem politycznych rządu Witosa potrzebę rozkazu inwigilacyjnego?

Marszałek Piłsudski: — Osobiste stosunki moje z panem generałem Szeptyckim nie należały do najlepszych. I jeżeli panu idzie o skonstatowanie, czy ja osobiście to przypuszczałem — to tak.

Mecenas Paschalski: — W tych stosunkach czy to jest pierwszy wypadek, że pan generał Szeptycki w tej czy innej formie, to znaczy, że za jego rozkazem Pan Marszałek był inwigilowany?

Marszałek Piłsudski: — Generał Szeptycki był generał-gubernatorem w Lublinie, a wtedy byłem na pewno inwigilowany i oczywiście to nie mogło być bez jego wiadomości. Należało to wówczas do służby państw okupacyjnych.

Mecenas Paschalski: — Czy Pan Marszałek nie przypomina sobie wypadku, gdy jednego z członków Pana warty próbowano zrewidować, gdy miał wyjechać do majora Świtalskiego?

Marszałek Piłsudski: — Słyszałem o tem. Jeden z podoficerów meldował mi o tem, ale dokładnie sobie tego nie przypominam. Wiem tylko, że coś podobnego było.

Mecenas Paschalski: — Panie Marszałku, w jakim czasie otrzymał Pan wiadomość o podsłuchu telefonicznym? Zdaje się, że podsłuch telefoniczny był w ręku władz wojskowych?

Marszałek Piłsudski: — Zdaje się, że się pan myli. Podsłuch telefoniczny jest w Polsce bardzo rozpowszechniony. Już w czasie mojego urzędowania w Polsce na najwyższych stanowiskach ten podsłuch był stosowany.

Mecenas Paschalski: — Do jakiego czasu odnosi się zawiadomienie o podsłuchiwaniu w Sulejówku?

Marszałek Piłsudski: — Mam wrażenie, że to było w początkach października. Ja to łączę z okresem, kiedy rząd ówczesny zachwiał się. To było przed wyjściem pana Głąbińskiego i pana Seydy z gabinetu, w okresie wielkiego zamętu w Warszawie.

Mecenas Paschalski: — Ze słów Pana Marszałka wywnioskowałem, że Pan Marszałek został zawiadomiony przez posterunek w Rembertowie o podsłuchu telefonicznym?

Marszałek Piłsudski: — Tego nie mogę z całą ścisłością powiedzieć, bo w tym czasie mnóstwo osób mnie o różnych rzeczach ostrzegało i o różnych rzeczach mi komunikowało. O ile chodzi o te rzeczy, mój stan psychiczny był zobojętniały — nic sobie z tego wszystkiego nie robiłem. Obecnie nie mogę skonstatować kto, kiedy i o czem mnie zawiadamiał.

Mecenas Paschalski: — Pan Marszałek kwestję swojej inwigilacji połączył z nastrojami ówczesnego rządu. Pan Marszałek był łaskaw podkreślić, że były to nastroje daleko idących obaw. Czy Pan Marszałek nie mógłby nam dać jakiego drobnego przykładu, któryby te obawy w formie daleko idących posunięć precyzował?

Marszałek Piłsudski: — Taką rzeczą było, naprzykład, ściąganie do Warszawy różnych wojsk, specjalnie dobieranych. To jest rzecz, o której ludzie, znający sposób rządzenia, — a ja należę do nich — wiedzą, że to jest rzecz wyjątkowa, która codziennie się nie dzieje. Nie przerzuca się wojska z różnych stron i nie ponosi się dużych kosztów tak sobie, dla zabawki. To jest jedno. Po drugie, jeżeli

chodzi o fakty, mnie się zdaje, że każdy mieszkaniec Warszawy słyszał chyba o wyznaczanych terminach różnych zamachów stanu. Wątpię, czy ktokolwiek w Warszawie o tem nie wiedział.

Wreszcie, jeżeli chodzi o władze wojskowe, to znam taki wypadek, że minister spraw wojskowych nie nocował w domu, ale w kordegardzie na placu Saskim, oczywiście nie bez pewnego powodu. Te wszystkie rzeczy były bardzo szeroko komentowane, wszędzie mówiono o zamachu stanu.

Mecenas Paschalski: — Czy Panu Marszałkowi nie wiadomo, czy osoba, która Pana zawiadomiła o podsłuchu telefonicznym, była osobą cywilną czy wojskową?

Marszałek Piłsudski: — Wojskową.

Mecenas Paschalski: — Czy Pan Marszałek przypomina sobie dzień swojego aresztowania przed wywiezieniem do Magdeburga?

Marszałek Piłsudski: — To było 22 lipca.

Mecenas Paschalski: — Pan Marszałek został aresztowany w nocy. Czy w przeddzień nie widział Pan Marszałek generała Szeptyckiego?

Marszałek Piłsudski: — Pan zapewne słyszał o mojem opowiadaniu. W przeddzień spotkałem generała Szeptyckiego, jadącego w stronę Belwederu.

Mecenas Paschalski stwierdza, że w Belwederze mieszkał wówczas Beseler.

Prokurator: — Chciałbym jedno pytanie zadać, czy Pan Marszałek przypomina sobie nazwisko tego wojskowego, który zawiadomił o nakazaniu inwigilacji przez podsłuch telefoniczny w Rembertowie?

Marszałek Piłsudski: — Powtarzam, że nie byłbym w stanie tego powiedzieć. Wtedy mnie ostrzegano prawie codziennie o różnych rzeczach i nie przywiązywałem do tego znaczenia, i szczegółów nie pamiętam. Zresztą człowiek, obeznany z temi rzeczami, biorąc słuchawkę może sam skonstatować, że jest podsłuch telefoniczny.

Przewodniczący:—Czy Pan Marszałek ma jeszcze co do powiedzenia w sprawie stosunku do pewnych osobistości wyżej położonych, któryby uzasadniał przypuszczenie, iż nieufność tych osób szła tak daleko, że aż potrzebę inwigilacji uzasadniała?

Marszałek Piłsudski: — Wprowadza mnie pan w nadzwyczajną trudność określenia sytuacji, gdyż tyczy się to spraw politycznych, które się datują oddawna i które są swego rodzaju tłem politycznem życia politycznego naszego kraju i należą do historji. Ja osobiście odnosiłem się bardzo niechętnie do pewnych jednostek, które wchodziły w skład rządu, i to motywowałem, wychodząc z wojska, w mojem przemówieniu w tak zwanej „Sali Malinowej" w Bristolu, tu, w Warszawie, kiedy mówiłem, że nie jestem w stanie służyć w wojsku ze względu na stosunek niektórych panów, będących w rządzie, do sprawy zamordowania Prezydenta, mego przyjaciela.

PRZYPISY DO TOMU VI

I.

WYWIADY REDAKTORA „KURJERA POLSKIEGO".

Do str. 1.

Na przełomie lat 1922 i 1923 udzielił Marszałek Piłsudski, wówczas szef Sztabu Generalnego, dwóch wywiadów redaktorowi *Kurjera Polskiego*, panu Ignacemu Rosnerowi, zawierających uwagi, związane z ówczesnemi wypadkami w Polsce.

Dnia 30 grudnia odbyła się w sądzie okręgowym w Warszawie rozprawa przeciw zabójcy Prezydenta Narutowicza, Eligjuszowi Niewiadomskiemu. W zeznaniach swoich stwierdzin on, że strzały, które skierował do Narutowicza, były przeznaczone dla Naczelnika Państwa Piłsudskiego. Myśl o tym zamachu kiełkowała w nim oddawna. Przygotował zamach na 6 grudnia, kiedy Józef Piłsudski miał być na otwarciu wystawy w domu Baryczków. Plan ten jednak upadł 5 grudnia, kiedy Niewiadomski przeczytał w gazetach, że Piłsudski stanowczo rezygnuje z kandydowania na urząd Prezydenta. Narutowicza zamordował (16 grudnia 1922), jako symbol kierunku, rządzącego w Polsce.

Temu zeznaniu oraz wyjaśnieniu stosunku swego do Narutowicza poświęcił Piłsudski wywiad pierwszy, ogłoszony w *Kurjerze Polskim* dnia 3 stycznia 1923, a udzielony redaktorowi Rosnerowi 31 grudnia 1922.

Drugi wywiad, udzielony 6 stycznia 1923, stanowi jakby dalszy ciąg poprzedniego i jest poświęcony rozważaniom na temat roli plotki w naszem życiu publicznem. Rozwinięcie tez, w tym wywiadzie zawartych, nastąpi w szeregu wykładów, wygłoszonych przez Piłsudskiego w roku 1923, szczególnie we Lwowie i w Wilnie. Wywiad ogłoszony był w *Kurjerze Polskim* z 9 stycznia 1923.

Do str. 7, wiersze 9 i 10.

...zimną głowę i słuszną ocenę sił i środków własnych oraz obcych.

Do str. 13, wiersz 23.

Odpowiednik polskiego przysłowia: każdy sądzi według siebie.

II.

SPRAWA OBRONY PAŃSTWA

Do str. 17.

Redaktor miesięcznika *Droga*, Adam Skwarczyński, zainicjował w piśmie tem ankietę wśród szeregu osób, mających do czynienia w różnym zakrasie ze sprawą obrony granic, celem oświetlenia tego zagadnienia. Przedewszystkiem zwrócił się on do Marszałka Piłsudskiego, pełniącego wówczas funkcje szefa Sztabu Generalnego.

Marszałek na przyjęciu w gmachu Sztabu podyktował Adamowi Skwarczyńskiemu swoje opinje, które tenże w skrócie zanotował i opublikował w miesięczniku *Droga*, nr. 2—3 z roku 1923, na str. 3—6.

III.

PRZEMÓWIENIE DO MARSZAŁKA FOCHA.

Do str. 25.

Dnia 2 maja 1923 przybył do Polski naczelny wódz wojsk sprzymierzonych w wojnie światowej, marszałek Ferdynand Foch. W dniu 3 maja wziął on udział w uroczystościach odsłonięcia pomnika księcia Józefa Poniatowskiego na placu Saskim w Warszawie; dnia 4 maja o godzinie 10 odbyło się w Belwederze, ówczesnej siedzibie Prezydenta Rzeczypospolitej, uroczyste odznaczenie marszałka Focha wielkim krzyżem orderu „Virtuti Militari“ przez Prezydenta w obecności. Kapituły orderu z Marszałkiem Piłsudskim na czele, prezesa Rady Ministrów, ministra spraw zagranicznych i posła francuskiego de Panafieu.

Pierwszy przemówił Prezydent Rzeczypospolitej, Wojciechowski, po nim Marszałek Piłsudski, poczem Prezydent dokonał dekoracji marszałka Focha.

Następnie w krótkiem przemówieniu marszałek Foch podziękował za odznaczenie; na zakończenie odbył się na dziedzińcu belwederskim przegląd i defilada kompanji honorowej.

Przemówienie podajemy według *Kurjera Porannego* z dnia 5 maja 1923.

IV.

POŻEGNANIE W SZTABIE GENERALNYM

Do str. 29.

Naskutek mianowania w dniu 28 maja 1923 rządu, złożonego ze stronnictw prawicy i „Piasta", z którym Józef Piłsudski nie chciał współpracować, wniósł on w dniu 30 maja prośbę o dymisję ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego i przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, a równocześnie o zwolnienie go z wojska.

Nowym szefem Sztabu Generalnego został mianowany generał Stanisław Haller, który przejął funkcje w dniu 13 czerwca. Tegoż dnia po południu w gabinecie szefa Sztabu Generalnego zebrali się szefowie oddziałów Sztabu Generalnego i instytucyj, szefowi Sztabu bezpośrednio podległych, celem pożegnania Marszałka Piłsudskiego. Przemówienie pożegnalne wygłosił zastępca szefa Sztabu, generał Rybak, poczem odpowiedział mu Marszałek Piłsudski.

Tekst przemówienia podajemy według *Kurjera Porannego* z dnia 14 czerwca 1923.

V.

PRZEMÓWIENIE DO KRÓLA RUMUŃSKIEGO FERDYNANDA I.

Do str. 33.

Dnia 24 czerwca przybyła z oficjalną wizytą do Warszawy królewska para rumuńska, król Ferdynand I ze swoją małżonką Marją. Marszałek Piłsudski, jakkolwiek już nie pełnił funkcyj szefa Sztabu Generalnego, zachował jednak stanowisko przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej aż do odjazdu pary królewskiej, i w tym charakterze brał udział w przyjęciu pary królewskiej, aby — jak wyraził się do korespondenta pisma *Adeverul*, J. Nedeka — „odwzajemnić

się za gościnność przyjęcia podczas mojego pobytu w Sinaja. Będę miał sposobność pokazania moich żołnierzy władzom Rumunji podczas manewrów wojskowych, które odbędą się w Rembertowie" (*Kurjer Poranny* z 24 czerwca 1923).

W dniu 25 czerwca o godzinie 9.30 odbyło się w Belwederze wręczenie królowi Rumunji orderu „Virtuti Militari" I klasy w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej, Kapituły orderu, ministrów spraw zagranicznych i świty.

Pierwszy przemówił Prezydent Wojciechowski, po nim zabrał głos Marszałek Piłsudski. Po podziękowaniu odbył się przegląd kompanji honorowej na dziedzińcu Belwederu.

Tekst przemówienia podajemy według *Kurjera Porannego* z 26 czerwca 1923.

VI.

PRZEMÓWIENIE NA BANKIECIE W HOTELU „BRISTOL".

Do str. 37

Po ustąpieniu ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego (por. przypis do str. 29) Marszałek Piłsudski na posiedzeniu Ścisłej Rady Wojennej dnia 2 lipca 1923 zrzekł się definitywnie przewodnictwa w Ścisłej Radzie Wojennej. W ten sposób Józef Piłsudski usunął się całkowicie z życia publicznego.

Z tego powodu grono przyjaciół i towarzyszów pracy Marszałka wydało w dniu 3 lipca bankiet, który się odbył w sali „Malinowej" hotelu „Bristol" w Warszawie. Zebrało się przeszło dwieście osób — reprezentantów świata naukowego, artystycznego, politycznego i prasy.

Pierwsze przemówienie wygłosił gospodarz bankietu, poseł Antoni Anusz, oddając cześć zasługom Piłsudskiego, drugi zkolei przemawiał redaktor Kołakowski, mówiąc o stosunku emigracji amerykańskiej do walk o niepodległość; zkolei przemawiali Jędrzej Moraczewski, profesor Michałowicz i wreszcie senator Bolesław Limanowski.

Następnie zabrał głos Marszałek Piłsudski. Tekst przemówienia podajemy według *Kurjera Porannego* z dnia 4 lipca 1923.

Do str. 43, wiersz 18.

Po słowach Józefa Piłsudskiego: „wydanym i podpisanym jego nazwiskiem" — obecny na bankiecie pan Bukowiecki zauważył: „Tak jest".

VII.

WSPOMNIENIA O GABRJELU NARUTOWICZU.

Do str. 57.

Pracę pod tytułem *Wspomnienia o Gabrjelu Narutowiczu* napisał Józef Piłsudski bezpośrednio po wycofaniu się z życia politycznego, w lipcu 1923, w Sulejówku, i wydał ją w osobnej książce (Józef Piłsudski. *Wspomnienia o Gabrjelu Narutowiczu* — Towarzystwo Wydawnicze „Ignis" Sp. Akc. Warszawa 1923. Str. 62).

Tutaj podajemy przedruk tej książki.

VIII.

O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGJONÓW.

Do str. 95.

W dniach 4, 5 i 6 sierpnia 1923 odbył się we Lwowie II zjazd legjonowy z udziałem Marszałka Piłsudskiego. Uroczyste otwarcie zjazdu odbyło się w południe dnia 5 sierpnia w wielkiej sali ratuszowej. Po przemówieniach przewodniczącego zjazdu, posła Jana Dąbskiego, oraz przedstawicieli wojska, obrońców Lwowa i organizacyj zaprzyjaźnionych, wygłosił Marszałek Piłsudski przemówienie na temat wartości żołnierza Legjonów.

Stenogram tego przemówienia był po zjeździe zweryfikowany i poprawiony przez autora i w tej formie wydany drukiem, jako oddzielna broszura. (Józef Piłsudski — *O wartości żołnierza Legjonów* — Towarzystwo Wydawnicze „Ignis", Warszawa 1923. Str. 51).

Tekst, podany tutaj, jest przedrukiem tej broszury.

IX.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW.

Do str. 127.

W drugim dniu zjazdu legjonowego we Lwowie (por. przypis poprzedni), dnia 6 sierpnia 1923 toczono przez cały dzień obrady, w czasie których jeden z delegatów w imieniu legjonistów II Brygady okręgu stanisławowskiego i tar-

nolskiego postawił wniosek, aby Komendant Piłsudski nadał legjonistom II Brygady odznakę „Za Wierną Służbę“ (por. *Pisma-Mowy-Rozkazy*, tom IV, str. 42). Następnie uchwalono też z aplauzem rezolucję, wyrażającą hołd Komendantowi i zapewniającą go o oddaniu legjonistów dla obrony przed napaściami i oszczerstwami.

W czasie odczytywania rezolucyj wszedł na salę Marszałek Piłsudski i pod koniec obrad zabrał głos.

Przemówienie Piłsudskiego podajemy według tekstu, ogłoszonego w *Kurjerze Porannym* z 7 sierpnia 1923.

X.

OBRONA LWOWA.

Do str. 135.

Nazajutrz po zjeździe legjonistów (por. przypisy poprzednie) dnia 7 sierpnia 1923 o godzinie 18.30 wygłosił Marszałek Piłsudski w sali Rady Miejskiej odczyt o obronie Lwowa.

Odczyt ten podajemy według *Kurjera Lwowskiego* z 9 sierpnia 1923, który, mając na sali wykładowej stenografa, najdokładniej odtworzył tekst przemówienia.

XI.

WYWIAD „SŁOWA“ WILEŃSKIEGO.

Do str. 161.

Dnia 12 sierpnia 1923 Marszałek Piłsudski przybył do Wilna na pobyt dwutygodniowy i zamieszkał u brata, Jana Piłsudskiego.

W czasie tego pobytu wygłosił pięć wykładów wojskowych, pod tytułem *Dowodzenie podczas wojny*, ilustrowanych analizą pracy swej w czasie wyprawy wileńskiej 1919 roku oraz dwa wykłady polityczne pod tytułem *Sprawa wileńska*.

Dnia 14 sierpnia Marszałek przyjął redaktora dziennika wileńskiego *Słowo*, Stanisława Mackiewicza, któremu udzielił wywiadu.

Tekst wywiadu podajemy według *Słowa* z dnia 15 sierpnia 1923.

XII.

DOWODZENIE PODCZAS WOJNY.

Do str. 167.

W dniach 16, 17, 18, 20 i 21 sierpnia 1923 wygłosił Marszałek Piłsudski w sali Śniadeckich uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie pięć wykładów wojskowych, zatytułowanych *Dowodzenie podczas wojny*. Odbyły się one staraniem oddziału wileńskiego Towarzystwa Wiedzy Wojskowej; jako słuchacze — przeważali oficerowie, nie brak było jednak publiczności cywilnej, szczególnie ze sfer naukowych i politycznych.

Wykłady te nie były stenografowane, zachowało się też z nich tylko streszczenie, zestawione z pobieżnych notatek słuchaczy, drukowane w dzienniku wileńskim *Słowo* z 17, 18, 19, 21 i 22 sierpnia 1923, które tutaj przedrukowujemy.

XIII.

SPRAWA WILEŃSKA.

Do str. 197.

Bezpośrednio po wojskowych wykładach o *Dowodzeniu podczas wojny* wygłosił Józef Piłsudski w Wilnie w dniach 24 i 25 sierpnia dwa wykłady o politycznej stronie sprawy wileńskiej. Wykłady te, jak donosi ówczesna prasa, były zorganizowane staraniem wybitniejszych członków społeczeństwa wileńskiego; odbyły się one w sali teatru Wielkiego, przy przepełnionej widowni; przed rozpoczęciem i po zakończeniu obu wykładów publiczność urządzała gorące owacje i zarzuciła prelegenta kwiatami.

Niestety, podobnie, jak przy poprzednich wykładach wojskowych, nie zachował się tekst ścisły i skontrolowany przez autora.

Pierwszy wykład — z dnia 24 sierpnia — pozostał tylko w formie streszczenia dziennikarskiego; podajemy go tutaj według tekstu. drukowanego w *Kurjerze Porannym* z dnia 25 sierpnia 1923. Do drugiego wykładu natomiast, z dnia 25 sierpnia, oprócz sprawozdania dziennikarskiego *(Kurjer Poranny* z 26 sierpnia, *Słowo* wileńskie z 28 sierpnia 1923) zachował się w archiwum Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski tekst, przepisany ze stenogramu, odbity na maszynie. Niestety, stenograf był snać niezbyt wprawny, czy

też nie miał dobrych warunków pracy i nie orjentował się zupełnie w treści wykładu, stenogram bowiem pełen jest niedokładności, sprzeczności, przerw w środku zdania. Pomimo tego jednak daje on tyle rzeczy, nie zawartych w sprawozdaniu dziennikarskiem, że redaktorzy niniejszego wydania uznali za właściwe przyjąć go za podstawę, skreślając ustępy, niewątpliwie nieściśle zanotowane, i uzupełniając tekst starannem porównaniem ze streszczeniem, przytoczonem w prasie. Jest to zatem rekonstrukcja nowa, niewątpliwie bardziej zbliżona do tekstu przemówienia, jednakże pod względem autentyczności przedstawiająca wartość rekonstrukcji późniejszej, robionej bez wglądu autora.

XIV.

LIST DO FELIKSA POPŁAWSKIEGO.

Do str. 227.

Komitet imienia Józefa Piłsudskiego, założony dnia 2 lipca 1923 w Nowym Yorku, przysłał do Marszałka Piłsudskiego następujące pismo.

Czcigodny Komendancie!

Na wieść o zmianie rządu i Twej rezygnacji ze stanowiska Szefa Sztabu Generalnego Armji, przez Ciebie, Komendancie, stworzonej, postępowa część wychodźtwa w New Yorku i okolicy zwołała walny wiec dla złożenia czci i hołdu Tobie, jako Głównemu Przewodniczącemu Nowej Polski.

Zebrani na wiecu uczucie swoje wypowiedzieli rezolucją, jednogłośnie przyjętą, w której, wyrażając słowa czci i uznania za pracę Twoją przy budowie państwa polskiego, zaznaczyli, że państwo i armja polska przewodnictwa Twego potrzebuje. Zebrani wyrazili również głębokie ubolewanie, że wytworzono takie warunki polityczne w Polsce, które Ciebie, Komendancie, do ustąpienia zmusiły.

Znając Twe życie, pełne poświęceń dla sprawy ojczystej, zebrani uchwalili opodatkować się i ze zbieranego funduszu wysyłać Ci miesięcznie pewną sumę, aż do czasu, gdy znowu staniesz do służby czynnej, aby naród prowadzić do wielkiej i świetlanej przyszłości.

Wraz z listem niniejszym załączamy przekaz na dolarów 200.00, które zebrani złożyli z wyraźnem poleceniem wysłania pieniędzy na Twój, Komendancie, osobisty użytek, a nie

na cele dobroczynne. Rozumiemy bowiem wszyscy, że potrzebne są środki, abyś mógł, Komendancie, działać dla sprawy, której życie poświęciłeś.

Przyjmij od nas ten drobny, materjalny wyraz uczuć, jako zapewnienie, że szeregi nasze tutaj na ziemi amerykańskiej zawsze są gotowe do czynu, gdy chodzi o Demokrację, której jesteś, Komendancie, Twórcą w Nowej Polsce i Wodzem.

Za Komitet:

Feliks Popławski — prezes, Zygmunt Bogdański — sekretarz, Jan Władysław Wojłaszek — Skarbnik, Władysław Kucharski.

List Piłsudskiego, podany w tekście, jest odpowiedzią na to pismo.

Pismo Komitetu przytaczamy z oryginału, odpowiedź Piłsudskiego była drukowana w *Gazecie Polskiej*, nr. 262, z 23 września 1930.

XV.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE NAUCZYCIELSTWA.

Do str. 231.

Na V zjeździe delegatów Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych Rzeczypospolitej w Warszawie zjawił się w trzecim dniu obrad, 10 września 1923, Marszałek Piłsudski i został owacyjnie przywitany przez członków zjazdu. Przemówienie powitalne wygłosił prezes Związku, Stanisław Nowak, na co odpowiedział Piłsudski.

Tekst przemówienia podajemy według *Kurjera Porannego* z dnia 11 września 1923 z poprawkami na podstawie protokółu zjazdu, użyczonego przez Zarząd Główny Związku.

XVI.

ZE WSPOMNIEŃ O ALEKSANDRZE MALINOWSKIM.

Do str. 235.

Aleksander Malinowski, jeden z najbliższych współpracowników i przyjaciół Józefa Piłsudskiego w P. P. S., urodził

się w roku 1869 na Ukrainie. Jako student Instytutu Technologicznego w Charkowie wszedł w stosunki organizacyjne z P. P. S., a po ukończeniu studjów, przeniósłszy się do Warszawy, wziął czynny udział w życiu tej partji, szybko wysuwając się na jedno z naczelnych miejsc w jej kierownictwie. Zagrożony aresztowaniem, wyjechał na kilka miesięcy do Londynu, gdzie w drukarni partyjnej Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich nauczył się zecerki, poczem wrócił nielegalnie do zaboru rosyjskiego i zajął stanowisko członka C. K. R., poświęcając się całkowicie partyjnej pracy organizacyjnej. Aresztowany w lutym 1900 roku w Łodzi, w związku ze sprawą drukarni nielegalnego *Robotnika*, został skazany po prawie $2^1/_2$ letniem więzieniu śledczem na 8 lat zesłania do Wschodniej Syberji. P. P. S. zorganizował jednak jego ucieczkę z drogi na Sybir, i Malinowski znalazł się w początku czerwca 1903 roku w Galicji, skąd udał się do Londynu, gdzie likwidując resztki dawnej placówki P. P. S. przystąpił do gromadzenia materjałów do historji ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim, z czego powstało później jego dwutomowe dzieło *Materjały do historji P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim* (por. Przypisy do t. II str. X — XI). Wkrótce potem Malinowski przenosi się do Galicji, gdzie bierze udział w pracach zakonspirowanego Komitetu Zagranicznego P. P. S. i dojeżdża nielegalnie do zaboru rosyjskiego, biorąc między innemi udział w organizowaniu propagandy rewolucyjnej w wojsku rosyjskiem. Po rozłamie w P. P. S. pracuje we Frakcji Rewolucyjnej. Aresztowany w grudniu 1906 i wypuszczony za kaucją, emigruje znowuż do Galicji, gdzie też osiada na stałe, wyspecjalizowawszy się w budownictwie żelazo-betonowem. Przed wojną bierze czynny udział w pracach Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, a po wybuchu wojny udaje się wraz z pierwszemi oddziałami strzelców Piłsudskiego do Królestwa, gdzie pracuje jako członek Polskiej Organizacji Narodowej. W Polsce niepodległej poświęca się pracy zawodowej. Zmarł w grudniu 1922, oddawna trawiony ciężką chorobą suchot.

Artykuł *Ze wspomnień o Aleksandrze Malinowskim* został napisany dla wydawnictwa *Aleksander Malinowski 1869—1922. Zbiorowa Księga Pamiątkowa* (Kraków, 1924, 8, str. 64), zawierającego poza życiorysem Aleksandra Malinowskiego pióra redaktora tego zbiorku, Leona Wasilewskiego, wspomnienia samego Aleksandra Malinowskiego oraz szereg wspomnień kilku osób o nim, w tej liczbie i Józefa Piłsudskiego (str. 36—38).

Do str. 238, wiersz 33.

Aresztowania Józefa Piłsudskiego w Łodzi dokonano w nocy z 21 na 22 lutego 1900. W zbiorowej księdze pamiątkowej o Aleksandrze Malinowskim w artykule Józefa Piłsudskiego spotykamy się z datą roku 1899, powstała niechybnie wskutek omyłki drukarskiej.

XVII.

O WARUNKACH PRACY W WOJSKU.

Do str. 241.

Gabinet prawicowy Witosa, z powodu którego Marszałek Piłsudski usunął się od pracy publicznej w lipcu 1923 roku (por. przypis do str. 29), upadł dnia 14 grudnia 1923. Misję tworzenia gabinetu powierzył Prezydent Rzeczypospolitej Stanisławowi Thuguttowi, a kiedy jego próby nie dały rezultatu — Władysławowi Grabskiemu. Ten utworzył w dniu 20 grudnia 1923 gabinet, w którym ministrem spraw wojskowych został generał Sosnkowski.

Z natury rzeczy z chwilą, kiedy do władzy dochodziły gabinety, co do których Piłsudski nie miał zasadniczych zastrzeżeń ,powrót jego do pracy publicznej stawał się aktualnym. To też zarówno Thugutt, jako kandydat na premjera, jak później Sosnkowski, nawiązywali z nim kontakt celem ustalenia warunków, na jakich gotówby był wrócić do pracy wojskowej.

Rozmowy te zostały odłożone w dniu 7 lutego 1924, kiedy Prezydent Rzeczypospolitej zdecydował odpowiedzieć odmownie na warunki Piłsudskiego, aż do ustawowego załatwienia spraw, związanych ze stanowiskiem naczelnego wodza.

Do str. 244, wiersz 11.

Data dekretu wymieniona omyłkowo. Dekret był datowany 7 stycznia 1921.

Według tego dekretu były organizowane i pracowały najwyższe władze z Józefem Piłsudskim, jako przewodniczącym Ścisłej Rady Wojennej, aż do dnia 2 lipca 1923, kiedy Piłsudski ostatecznie odsunął się od pracy na stanowisku przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej. Bezpośrednim powodem tego był fakt, że dnia 28 czerwca został przez rząd wniesiony

do sejmu projekt *Nowej Organizacji Naczelnych Władz Wojskowych;* projekt ten nie był uzgodniony ze Ścisłą Radą Wojenną i był sprzeczny z poglądami Marszałka Piłsudskiego na tę sprawę. Projekt ten znosił Ścisłą Radę Wojenną i czynił każdorazowego ministra spraw wojskowych dowódcą sił zbrojnych w czasie pokoju, zaś Generalnego Inspektora wcielał do Ministerstwa i pozbawiał go sztabu.

Dekret Wodza Naczelnego o organizacji najwyższych władz wojskowych z 7 stycznia 1921 przewidywał:

RADA WOJENNA.

A. Pełna Rada Wojenna.

1. Rada Wojenna ustanowiona jest przy Prezydencie Rzeczypospolitej. Jako całość jest ona organem doradczym w walnych sprawach wojskowych, — jak zasadnicze ustawy, ważne zmiany w uzbrojeniu i zaopatrzeniu armji, system jej organizacji, — wyrażającym we wszystkich tych sprawach swą opinję.

2. Rada Wojenna nadaje ogólny kierunek odnośnie zasadniczych zagadnień, wchodzących w zakres jej kompetencji ad punkt 1. Jej uchwały stanowią ogólną wytyczną działalność Ministerstwa Spraw Wojskowych.

3. Prezydent Rzeczypospolitej jest przewodniczącym Rady Wojennej.

4. Członkami Rady Wojennej są:

a) Minister spraw wojskowych — jako 1-szy wice-przewodniczący,

b) generał, przewidziany na Naczelnego Wodza w czasie wojny, jako 2-gi wice-przewodniczący,

c) Szef Sztabu Generalnego,

d) Wice-minister,

e) obydwaj zastępcy szefa Sztabu Generalnego,

f) generałowie, przewidziani na dowódców armji w czasie wojny i fungujący w czasie pokoju, jako inspektorzy armij,

g) generałowie — w liczbie nieprzekraczającej 3, wyznaczani specjalnie co roku przez ministra spraw wojskowych.

5. Rada Wojenna ma być obowiązkowo informowaną o wszystkich kwestjach, wpływających lub mogących wpływać na siłę zbrojną i na organizacyjne przygotowania do wojny, przedewszystkiem zaś w przedmiotach, dotyczących:

a) ogólnej organizacji armji, systemów wyszkolenia i przygotowania wojsk oraz służb do wojny,
b) zarządzeń zasadniczych o mobilizacji,
c) sieci komunikacyjnych, względnie ich planów budowy,
d) udoskonaleń wojskowo-technicznych,
e) tworzenia, względnie zniesienia fortyfikacyj wszelkiego rodzaju.

Ponadto Rada Wojenna jest informowaną o wszystkich sprawach, które Prezydent Rzeczypospolitej, względnie minister spraw wojskowych uzna za pożyteczne poddać jej rozważaniu.

6. We wszystkich kwestjach, rozważanych przez Radę Wojenną, może ona, dla dokładnego zorjentowania się w danej sprawie, powoływać do referatu oficerów, względnie inne osoby według swego uznania.

Z posiedzeń Rady Wojennej prowadzony jest protokół.

B. Ścisła Rada Wojenna.

1. Ścisła Rada Wojenna pracuje pod przewodnictwem generała, przewidzianego na Naczelnego Wodza w czasie wojny.

Ścisła Rada Wojenna jest organem kierującym w zakresie przygotowań wojennych, planów operacyjnych i obrony kraju. W tych sprawach decyzje Ścisłej Rady Wojennej obowiązują Ministerstwo Spraw Wojskowych.

2. Członkami Ścisłej Rady Wojennej są członkowie Rady Wojennej, wskazani w punkcie 4 litery b), c) i f) — 2-gi zastępca szefa Sztabu Generalnego, jako szef Biura Ścisłej Rady Wojennej, bez prawa głosu decydującego. Minister spraw wojskowych bierze udział w posiedzeniach Ścisłej Rady Wojennej według potrzeby i swojego uznania.

3. Członkowie Rady Wojennej, wskazani w punkcie 4, litera f, pozostają pod rozkazami generała, przewidzianego na Naczelnego Wodza w czasie wojny, i opracowują pod bezpośredniem jego kierownictwem w myśl puntu 1 wszystkie sprawy, które z punktu widzenia sprawowania dowództwa w polu mają lub mogą mieć związek z wyznaczonemi im zgóry zadaniami wojennemi.

Poza tem w związku z powyższemi zadaniami opracowują oni plany operacyjne w zakresie prac Sztabu Generalnego.

4. Do kompetencji Ścisłej Rady Wojennej należy również kwalifikacja dowódców od dowódcy pułku włącznie wgórę,

przyczem powzięte przez nią w tym zakresie opinje są decydującemi.

5. Członkowie Rady Wojennej, wskazani w punkcie 4, litera f, posiadają jako swój bezpośredni organ pracy: po kilku oficerów Sztabu Generalnego, z niezbędnym personelem pomocniczym. Oficerowie ci stanowią kadry przyszłych dowództw armij.

Sztab Generalny, Sekretarjat Generalny, wice-minister, jako też wszelkie podwładne ministrowi spraw wojskowych organy obowiązane są dostarczyć członkom Ścisłej Rady Wojennej potrzebnych materjałów i informacyj na bezpośrednie ich żądanie.

6. 2-gi wice-przewodniczący Rady Wojennej ma poruczoną z ramienia ministra stałą inspekcję wszystkich dowództw, oddziałów i instytucyj wojskowych, oraz w szczególności inspekcję Szkoły Sztabu Generalnego.

Generałowie, przewidziani na dowódców armij, wykonują podczas pokoju—z urzędu—inspekcjonowanie wojsk i służb tych jednostek terytorjalnych, które na wypadek mobilizacji wystawić mają odnośną armję polową. Czynności ich w tym zakresie obejmują również inspekcję szkół oficerskich.

7. Członkom Rady Wojennej, wskazanym w punkcie 4, litera f., wykonującym już z urzędu inspekcjonowanie armij, może minister spraw wojskowych powierzać również pewne szczególne zlecenia do wykonania w drodze służbowej przez 2-go wice-przewodniczącego Rady Wojennej.

8. Zakres władzy, przysługujący osobom ad punkt 6 i 7 w wykonywaniu inspekcji wobec poszczególnych dowództw, oddziałów, zakładów i instytucyj wojskowych określi osobny dekret.

9. Ścisła Rada Wojenna posiada dla prowadzenia należących do niej spraw Biuro Rady Wojennej, zorganizowane w trzy oddziały. Na czele Biura Rady Wojennej stoi 2-gi zastępca szefa Sztabu Generalnego, jako szef Biura Ścisłej Rady Wojennej".

Punkt 10 omawia szczegółowo organizację Biura.

Odnośnie Ministerstwa Spraw Wojskowych dekret przewidywał:

„1. Na czele Ministerstwa Spraw Wojskowych stoi minister spraw wojskowych.

2. Ministerstwo Spraw Wojskowych składa się z następujących części:

a) Sztabu Generalnego
b) Szefostwa Administracyjnego,
c) Departamentów (względnie samodzielnych oddziałów),
d) Sekretarjatu Generalnego,
e) Gabinetu Ministra".

Odnośnie Sztabu Generalnego dekret przewidywał:

„1. Pracą Sztabu Generalnego kieruje bezpośrednio generał, noszący tytuł szefa Sztabu Generalnego i pozostający pod rozkazami ministra spraw wojskowych.

2. Szef Sztabu Generalnego ma dwóch zastępców, którzy noszą tytuły „I i II zastępca szefa Sztabu Generalnego".

I zastępca szefa Sztabu Generalnego pozostaje i pracuje w Sztabie Generalnym, II zastępca jest szefem Biura Ścisłej Rady Wojennej.

3. W czasie wojny obejmuje szef Sztabu Generalnego stanowisko szefa Sztabu Generalnego wszystkich walczących sił zbrojnych, zaś I zastępca szefa Sztabu Generalnego pozostaje przy ministrze, obejmując wraz z tytułem szefa Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych kierownictwo pracy Sztabu Generalnego w kraju".

Następują punkty dotyczące szczegółowej organizacji Sztabu Generalnego i poszczególnych części Ministerstwa Spraw Wojskowych.

XVIII.

ROK 1863.

Do str. 247

Odczyt Marszałka Piłsudskiego *Rok 1863* był wygłoszony dnia 20 stycznia 1924 staraniem Związku Legjonistów w wielkiej sali „Coloseum" w Warszawie.

Stenogram tego odczytu został poprawiony i przygotowany do druku przez autora, który ponadto zaopatrzył go w przemowę, datowaną 31 stycznia 1924.

W tej formie odczyt ukazał się w druku jako osobna broszura (Józef Piłsudski — *Rok 1863. Odczyt wygłoszony 20 stycznia 1924 w Warszawie.* Towarzystwo Wydawnicze „Ignis" (E. Wende i S-ka) Sp. Akc. Warszawa 1924. Str. 52). Tekst niniejszy jest tej broszury przedrukiem.

XIX.

NACZELNI WODZOWIE.

Do str. 279.

Kiedy po upadku rządu Witosa w grudniu 1923 stała się aktualną sprawa powrotu Piłsudskiego do wojska i kiedy on na propozycje ze strony przedstawicieli rządu odpowiadał stawianiem bardzo daleko idących warunków, czynił to nie dla chwilowego przystosowania instytucji Generalnego Inspektora do swojej osoby, lecz z myślą o zasadniczem uregulowaniu sprawy naczelnego dowodzenia w wypadku wojny, tak, ażeby uzyskać jak najdalej idące ułatwienia przyszłemu naczelnemu wodzowi pracy przez stworzenie dla niego odpowiednich ram prawno-organizacyjnych. Uzasadniał też swoje stanowisko i poglądy nietylko w konkretnych rozmowach z przedstawicielami rządu, lecz również na zebraniach politycznych oraz wystąpieniach publicystycznych, mających na celu wyjaśnienie sferom wojskowym i politycznym teoretycznych i historycznych podstaw swoich żądań.

W tym też celu powstała praca pod tytułem *Naczelni Wodzowie.* Została ona skonstruowana jako rozwinięcie historyczne rozprawy pułkownika Tadeusza Kutrzeby (piszącego pod pseudonimem „Miles"), pod tym samym tytułem napisanej w ścisłem porozumieniu i na propozycję Piłsudskiego.

Obie te prace wyszły w marcu 1924 w książkowem wydaniu w wydawnictwie miesięcznika *Droga,* zatytułowanem *U źródeł niemocy Rzeczypospolitej.* (Józef Piłsudski i Miles. *Naczelni Wodzowie.* Nakładem miesięcznika Droga. Warszawa, 1924. Str. 114). Tutaj podajemy przedruk z tej broszury.

XX.

LIST DO GENERAŁA SIKORSKIEGO.

Do str. 321.

Dnia 17 lutego 1924 nastąpiła zmiana na stanowisku ministra spraw wojskowych. Ze stanowiska tego ustąpił generał Sosnkowski miejsce zaś jego objął generał Władysław Sikorski. Jakkolwiek bezpośrednim powodem ustąpienia generała Sosnkowskiego były jak podawała prasa ówczesna,

nieporozumienia jego z szefem rządu, Władysławem Grabskim, na tle budżetu wojskowego, jednak sfery wojskowe i polityczne najbardziej były zainteresowane ustosunkowanem się nowego ministra do sprawy organizacji najwyższych władz wojskowych i w związku z tem z powrotem do pracy w wojsku Marszałka Piłsudskiego. Generał Sikorski, który w sprawie organizacji najwyższych władz wojskowych miał poprzednio już przepracowany projekt, (zasady jego były publikowane w miesięczniku *Bellona*, tom XII, 1923) zabrał się bez zwłoki do tej pracy. Już 25 lutego przeprowadził na Radzie Ministrów wycofanie z Sejmu projektu ustawy, wniesionej przez generała Szeptyckiego dnia 28 czerwca 1923, zaś na posiedzeniu 10 marca przedstawił Radzie Ministrów nowy projekt, który został przyjęty. Zasady jego były następujące:

Najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych państwa jest Prezydent Rzeczypospolitej. Dla rozpatrywania zagadnień zasadniczych dotyczących obrony państwa, przygotowania mobilizacji całego narodu, skoordynowania w tym kierunku działalności właściwych ministrów i uzgodnienia dobrowolnej akcji społeczeństwa z akcją rządu, powstaje Rada Obrony Państwa, pod przewodnictwem Prezydenta ,złożona z kilku zainteresowanych ministrów, Generalnego Inspektora Wojsk i szefa Sztabu Generalnego. Minister spraw wojskowych jest w czasie pokoju i wojny naczelną władzą we wszelkich sprawach kierownictwa wojskowego oraz dowódcą sił zbrojnych państwa w czasie pokoju.

Organem doradczym ministra we wszystkich sprawach, dotyczących zasad organizacji, mobilizacji, zaopatrzenia, uzbrojenia i wyszkolenia armji, a także w sprawach, dotyczących fortyfikacji i przemysłu wojennego, jest Rada Wojenna. Do niej należy ponadto opinjowanie dyslokacji i planów koncentracji wojsk oraz projektów obsady personalnej wyższych stanowisk w wojsku.

Przewodniczącym Rady Wojennej jest minister, stałym zastępcą przewodniczącego Generalny Inspektor Wojsk w skład jej wchodzą szef Sztabu Generalnego, inspektorowie armij, inspektorowie broni, inspektor szkół, szef Administracji Armji oraz dwaj generałowie, powołani przez ministra na przeciąg jednego roku.

Generalny Inspektor Wojsk jest ustanowiony dla zabezpieczenia ciągłości prac nad przygotowaniem obrony państwa i utrzymaniem zdolności bojowej armji. Jest on mianowany przez Prezydenta na wniosek Rady Ministrów i podlega bezpośrednio ministrowi spraw wojskowych.

Generalny Inspektor Wojsk daje szefowi Sztabu Generalnego ogólne dyrektywy odnośnie planów operacyjnych, stawia wnioski na obsadę wyższych dowództw na wypadek mobilizacji, kwalifikuje generałów, opinjuje obsadę pokojową stanowisk od dowódców pułków wzwyż, kieruje wyszkoleniem wyższych dowództw i wykonywa za pośrednictwem szefa Sztabu Generalnego zwierzchni nadzór nad Wyższą Szkołą Wojenną. We wszystkich sprawach zasadniczych, dotyczących przygotowania obrony państwa, wizuje projekty zarządzeń szefa Sztabu Generalnego przed przedłożeniem ich ministrowi spraw wojskowych.

Generalny Inspektor Wojsk wykonywa bezpośrednio lub pośrednio przez inspektorów armij inspekcję całej armji.

Inspektorowie broni i inspektor szkół podlegają bezpośrednio ministrowi spraw wojskowych. Inspektorowie armij zaś pośrednio przez Generalnego Inspektora Wojsk, któremu podlegają w jego zakresie działania.

Szef Sztabu Generalnego podlega bezpośrednio ministrowi spraw wojskowych. Kieruje on pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie rozkazów ministra spraw wojskowych, dyrektyw Generalnego Inspektora Wojsk i z własnej inicjatywy. Jest on stałym zastępcą ministra w sprawach, związanych z dowodzeniem armji w czasach pokoju.

Szef Administracji Armji podlega bezpośrednio ministrowi i zastępuje go wobec Sejmu i w Rządzie.

Szef Korpusu Kontrolerów podlega bezpośrednio ministrowi; wykonywa on kontrolę całokształtu administracji armji.

W listopadzie 1924 roku wniósł generał Sikorski poprawkę do tego projektu ustawy w artykule, dotyczącym zakresu pracy Generalnego Inspektora Wojsk. W poprawce tej dodany jest ustęp, mówiący, że Generalny Inspektor Wojsk jest przewidziany na Naczelnego Wodza podczas wojny; poza tem nie przedstawia ona zasadniczych zmian w stosunku do projektu poprzedniego.

Przez dłuższy czas nie było szerszym sferom wiadomem, jak się do tego projektu odnosi Marszałek Piłsudski, którego zdanie musiało być w tej sprawie decydujące, skoro całe zagadnienie obracało się dookoła umożliwienia mu powrotu do wojska na stanowisko Generalnego Inspektora. Z otoczenia ministra Sikorskiego dawano do zrozumienia, że projekt jest z Marszałkiem Piłsudskim ściśle uzgodniony. Dopiero dnia 12 sierpnia 1925 naskutek zapytań, skierowanych do niego w tej sprawie podczas zjazdu legjonistów, opublikował Piłsudski list swój do Sikorskiego, datowany w Sulejówku 29 lu-

tego 1924. Wobec tego, że list ten w sposób bezdyskusyjny odrzucał zasady projektu Sikorskiego, wniesienie go w dziesięć dni później na Radę Ministrów jako projektu ustawy sejmowej oznaczało przekreślenie przez Sikorskiego możliwości powrotu Piłsudskiego do wojska.

W sprawie tego listu Gabinet Ministra ogłosił w dniu 17 sierpnia następujące informacje:

„Opracowując i wnosząc swój projekt, miał minister, generał Sikorski ,przed sobą projekt swego poprzednika, generała Sosnkowskiego, dalej idący po linji żądań Pana Marszałka Piłsudskiego i, zdaniem kompetentnych czynników rządowych ,nie dający się pomieścić w ramach Konstytucji. Projekt ten był już zaopatrzony odrzucającemi go, bardzo dosadnemi zapiskami Pana Marszałka Piłsudskiego. Powyższy fakt wykluczał, zdaniem pana ministra, oficjalne zwrócenie się do Pana Marszałka z projektem nowym, siłą rzeczy narażonym na ostrzejszą jeszcze replikę. Pozostawało nawiązanie rokowań w drodze pośredniej. Z chwilą otrzymania listu z dnia 29 lutego 1924 pan minister odpowiedział jak następuje: „Z prawdziwą przykrością stwierdzam, że naskutek nieporozumienia, spowodowanego przez adjutanturę, Pan Marszałek uczuł się dotkniętym i mógł przypisać mi zamiary, zupełnie mi obce. Opinje Pana Marszałka, dyskwalifikujące projekty generała Sosnkowskiego, znam. Z tego też względu, jak również, by nie utrudniać sobie, a nawet nie zamykać możliwości zaproponowania w imieniu rządu powrotu Pana Marszałka do służby czynnej, co uważam dla armji za pilne i niezmiernie potrzebne, nie przysyłałem Panu Marszałkowi odnośnych projektów rządowych do zaopinjowania. Adjutantowi wytknąłem niewłaściwość jego postępowania, o czem mam zaszczyt zawiadomić Pana Marszałka. Raczy Pan Marszałek przyjąć wyrazy głębokiej czci, z jaką pozostaję

minister spraw wojskowych,
Sikorski, generał dywizji".

Tekst listu Piłsudskiego oraz ustępu z komunikatu Gabinetu ministra spraw wojskowych podajemy według broszury: *Argumenty i Kontrargumenty Polemiczne.* Warszawa 1925.

ZEZNANIA W PROCESIE PORUCZNIKA BŁOŃSKIEGO.

Do str. 327.

Z rozkazu ówczesnego szefa Sztabu Generalnego, generała Stanisława Hallera, została wytoczona sprawa sądowa po-

rucznikowi Błońskiemu, referentowi II Oddziału Sztabu Generalnego„ za złożenie fałszywego meldunku władzy przełożonej, między innemi o tem, że jego przełożony w II Oddziale, major Pieczonka, polecił mu w październiku 1923 roku inwigilować Marszałka Piłsudskiego, zwerbować do tego zaufanych ludzi i że proponował mu na tę akcję dać natychmiast pieniądze.

Sprawa ta nabrała dużego rozgłosu wiązała się bowiem z istotnym stosunkiem wówczas będącego u władzy rządu prawicowego Witosa, szczególnie zaś ministra spraw wojskowych, generała Szeptyckiego, do osoby Marszałka Piłsudskiego.

Rozprawa rozpoczęła się w wojskowym sądzie okręgowym w Warszawie dnia 18 marca 1924. Przewodniczył pułkownik Daniec, oskarżenie wnosił prokurator major Rumiński, bronił oskarżonego adwokat Paschalski.

W czwartym dniu rozpraw. 21 marca, składał zeznania jako świadek Marszałek Piłsudski, dla stwierdzenia, że był inwigilowany. Tegoż dnia odroczono rozprawę dla rozszerzenia śledztwa i przesłuchania przez prokuratora nowych świadków. Dnia 19 listopada 1924 — po przeprowadzeniu dodatkowego śledztwa — zostało postępowanie karne przeciw porucznikowi Błońskiemu umorzone naskutek cofnięcia oskarżenia przez prokuraturę wojskową. Tem samem prokurator uznawał fakt zarządzenia inwigilacji osoby Marszałka Piłsudskiego przez oficerów II Oddziału Sztabu Generalnego.

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW.

(Liczby arabskie — tekst; liczby rzymskie — przypisy; liczby rzymskie z dodatkiem litery w — wstęp. Liczby, ujęte w nawias, — nazwiska w tekście nie zostały wymienione).

Albrecht, arcyksiążę — 298
Aleksander II — (258, 259, 266).
Aleksiejew — 313—315, 319.
Anusz Antoni — 51, VI.

Batory Stefan — IX.
Bazaine — 289, 290.
Belina — zobacz Prażmowski Władysław.
Berg Mikołaj — 275.
Bernadotte — 283, 285.
Beseler Hans, von — 331, 334.
Bethmann - Hollweg Teobald — 298, (301).
Biernacki — 187.
Billewiczówna — 61.
Błoński — 327—335, XXI, XXII.
Bobiatyński — 188.
Bobrowski Stefan — 267.
Bogdański Zygmunt — (227—230, X), XI.
Bonaparte — zobacz Napoleon I.
Briand — 194.
Brzozowski — 185.
Brzózka Stanisław — 274.
Bukowiecki — (43), VI.

Car — 217, (218).
Chrzanowski — 193, 292.
Cincinat — 309.
Conrad von Hetzendorf — 298
Czachowski Dyonizy — 262, 272, 292.

Daniec — (329, 330, 331, 335), XXII.
Davoût — 282, 283, 285.
Dąbrowski Henryk — 269.
Dąbrowski Jarosław — 267.
Dąbski Jan — VII.
Denikin — 202, 203.

Dreszer Gustaw — 106, 107.
Dubiecki Marjan — 270.
Dybicz — 193.
Dziewulski — 189.

Eustachiewicz — 136.

Ferdynand I, król Rumunji — 33—36, V, VI.
Foch Ferdynand — 25—28, IV, V.
Franciszek Józef — (298).
French — 292—298.
Frossard — 289, 290.
Fryderyk Karol, książę — 286—288, 314, (315).
Fryderyk Wielki — 310, (311).

Giller Agaton — 267.
Głąbiński Stanisław — 333.
Goltz, von der — 312, 313.
Grabski Stanisław — 224.
Grabski Władysław — VI w., VIII w., IX w., 207, 244, XIII, XIX.

Haller Józef — 182, 189.
Haller Stanisław — V, XXI.
Hamilton Jan — 317, (318).
Heine Henryk — 122.
Henrys — 183.
Hetzendorf — zobacz Conrad von Hetzendorf.
Hindenburg — 298.
Hohenzollernowie — 288.
Hollweg — zobacz Bethmann-Hollweg Teobold.

Iwaszkiewicz — 131.

Janowski Józef — 259.
Jerzy V — (293, 297).
Jeż Teodor Tomasz — zobacz Miłkowski Zygmunt
Joffre — 294, 295.
Junosza Klemens — 260, 271, 272, (273).

Karol I — 140, 142, 298.
Kasprzycki Tadeusz — 178, 187.
Kawekami — 194, (195).
Kipling — 222.
Kitchener — 292—298.
Kołakowski — VI.
Kossak Wojciech — 109.
Kościuszko Tadeusz — 47, 193.
Kromvell — 297.
Kucharski Władysław — (227—230, X), XI.
Kuroki — 316—318.
Kuropatkin — 170, (171), 194, 195, 313—319.
Kutrzeba Tadeusz — (281, 304, 305), 306, 310, 312, 319, XVIII.

Langiewicz Marjan — 262, 263, (266), 267.

Lasocki — 184.
Limanowski Bolesław — VI.
Lipecki Jan — zobacz Pannenkowa Irena.
Lloyd George — (65), 194, 299.
Ludendorff Erich — 298.

Łapiński — 143, 144.
Łubieński — 193.

Maciejewicz — 217.
Mackiewicz (pułkownik) — 186.
Mackiewicz Stanisław — (163—165), VIII.
Malinowski Aleksander — 235—240, XI—XIII.
Marja, królowa Rumunji — V.
Métman — 289.
Michalski Jerzy — 63, 64, 209.
Michałowicz — 42, (43), VI.
Mickiewicz Adam — 190.
Mierosławski Ludwik — 263, (266), 267.
Mikołaj I. — 258.
Mikołaj Mikołajewicz, wielki książę — 301.
Miles — zobacz Kutrzeba Tadeusz.
Miłkowski Zygmunt — 269.
Moltke — 286—288, 290, 291, 314 (315).
Moraczewski Jędrzej — VI.
Moreau — 284.
Napoleon I — 121, 122, 177, 183, 184, 192, 194, 283—285, 292, 311, 317.
Napoleon III — 289.
Narutowicz Gabrjel — V w., (3), 4—7, (53), 57—93, 213, 218, 220, 331, 335, III, VII.
Narutowicz (brat) — 61.
Narutowiczowie — 6.
Nedek J. — V.
Niewiadomski Eligjusz — (3), 4, (92, 93, 331, 335), III.
Nivelle — 182, 193, 194, 298—300, 303, 304.
Nowak (premjer) — 71.
Nowak Stanisław — 233.

Obst Jan — 213—215, 219.
Oksiński Józef — 260, 261.
Owidjusz — 218.
Oyama — 194.

Paderewski Ignacy — 182, 200—202.
Padlewski Zygmunt — 260, (261), 267.
Panafieu — IV.
Pannenkowa Irena — (219).
Paschalski — (329), 331—334, XXII.
Paskiewicz — 258.
Pieczonka — 329, XXII.

Piłsudska Jadwiga — (139, 145, 219, 220).
Piłsudska Wanda — (139, 145, 219, 220).
Piłsudski Jan — (219), VIII.
Piotr Wielki — 310, (311).
Pius XI — 137.
Poniatowski Józef, książę — 54 (55), IV.
Ponikowski — 9, 62, 70.
Popławski Feliks — 227—230, (X), XI.
Prażmowski Władysław — 113, 184—187, 189, 196.
Prądzyński — 170, 192, 193, 292.

Radziwiłł Stanisław — 189.
Rataj — (53).
Rawicz — 274, 275.
Rawlinson — 294, 295, (296).
Ribot — 194.
Rogiński Roman — 261, (262).
Roja — 142, 146.
Rosner Ignacy — (3—15), III.
Rozwadowski Tadeusz — 10 (11), 142, 149—151.
Rumiński — (334), XXII.
Rybak — (31), V.
Rydz Edward — 142, 184, 186—188.

Sacharow — 314.
Seyda Marjan — 333.
Sikorski Władysław — V w., VII w.—IX w., XIII w., 204, 321—325, XVIII—XXI.
Skarbek — 12.
Skirmunt — 64, 67.
Skobielew — 313.
Skrzynecki — 192, 193, 291, 292.
Skrzyński Aleksander — X w., XI w., 204.
Skulski Leopold — 9, (10), 61.
Skwarczyński Adam — IV.
Słowacki Juljusz — 110, (111), 190, (276—278).
Sosnkowski Kazimierz — VI w., VII w., 10, (11), 91, 104, 140, 178, 244, XIII, XVIII XXI.
Stachiewicz Juljan — 178.
Stackelberg — (318), 319.
Stec — 143, (144), 145, (146).
Steinmetz, von — 286—288, 290, 291, 314, (315).
Szeptycki Stanisław — VI w., VII w., XIII w., 178, 183, 184, 331, 332, 334, XIX, XXII.
Szwarce Bronisław — 263, 264, 269.

Śliwiński — 71.
Śmigły — zobacz Rydz Edward.
Śniadeccy — IX.
Świerzyński — 140.
Świtalski Kazimierz — 332.

Taraszkiewicz — 219.
Thugutt Stanisław — VI w., 243, 244, XIII.
Tokarzewski — 146, 159, 178.
Traugutt Romuald — 268.
Trąmpczyński Wojciech — (50, 53).

Uspienskij Gleb — 123.

Wartensleben — 286, (287).
Wasilewski Leon — XII.
Wellington — 283.
Wende — XVII.
Weygand — 10, (11).
Wielopolski Aleksander — 258, 259, 262, 264, (266, 277).
Wilson — 200.
Witos Wincenty — V w.— VIII w., XI w., 244, 332, (V), XIII, XVIII, XXII.
Władek — zobacz Malinowski Aleksander.
Wojciechowski Stanisław — VI w., (VII w., IX w., X w., 27 ,35, 36), 84, 85, 182, 189, IV, VI.
Wojłaszek Władysław — (227—230, X), XI.
Wyspiański Stanisław — 172.

Zamorski — 216.
Zamoyski Andrzej — 259.
Zamoyski Maurycy — 82, 84.
Zawistowski — 188.
Żeligowski — 12, 203, 207—210.

SPIS RZECZY TOMU VI.

WSTĘP V

WYWIADY REDAKTORA „KURJERA POLSKIEGO“ 1
Wywiad pierwszy 3
Wywiad drugi 8

SPRAWA OBRONY PAŃSTWA 17
PRZEMÓWIENIE DO MARSZAŁKA FOCHA . . . 25
POŻEGNANIE W SZTABIE GENERALNYM . . . 29
PRZEMÓWIENIE DO KRÓLA RUMUŃSKIEGO FERDYNANDA I 33
PRZEMÓWIENIE NA BANKIECIE W HOTELU „BRISTOL“ 37
WSPOMNIENIA O GABRJELU NARUTOWICZU . . 57
O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGJONÓW 95
PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW WE LWOWIE 127
OBRONA LWOWA 135
WYWIAD „SŁOWA“ WILEŃSKIEGO 161

DOWODZENIE PODCZAS WOJNY 167
Wykład pierwszy 169
Wykład drugi 173
Wykład trzeci 180
Wykład czwarty 186
Wykład piąty 192

SPRAWA WILEŃSKA 197
Wykład pierwszy 199
Wykład drugi 206
LIST DO FELIKSA POPŁAWSKIEGO 227
PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE NAUCZYCIELSTWA 231
ZE WSPOMNIEŃ O ALEKSANDRZE MALINOWSKIM 235
O WARUNKACH PRACY W WOJSKU 241
ROK 1863 247
NACZELNI WODZOWIE 279
LIST DO GENERAŁA SIKORSKIEGO 321
ZEZNANIA W PROCESIE PORUCZNIKA BŁOŃSKIEGO 327
PRZYPISY I
SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW . . XXIII

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
16278/1 T.6
11-016278-006-0